

HILARY COLE
OSZOŁOMIENIE



Przełożyła Małgorzata Kowalska

Prolog

CHESTERFIELD PRIVATE INVESTIGATIONS 1241 Cable
Avenue Mount Haven, Nowy Jork

Jane Walker 15 stycznia

2248 Broad Street Laurel, Tennessee

Najdroższa Jane, dziękuję Ci za prezent gwiazdkowy. Nie jadłem pierniczków domowej roboty od czasu, gdy rok temu zmarła ciocia Lenore. Myśląc o jej odejściu, chcę poinformować Cię o moim odejściu na emeryturę. Zdecydowałem się wycofać z zawodu detektywa. Nie potrafię się już w to cały zaangażować. Za dwa miesiące wyruszam w podróż dookoła świata, by zobaczyć wszystkie egzotyczne miejsca, które zawsze chcieliśmy odwiedzić razem z Lenore. Być może moja podróż skończy się nawet tym, że osiedlę się na stałe na Thaiti albo w innym ciepłym kraju - gdziekolwiek, byle nieustanne wspomnienia Lenore nie nawiedzały mnie w tym miejscu.

Jedyna rzecz, która stoi mi na przeszkodzie, to interes, w który od trzydziestu lat wkładam serce i duszę. Nie zniósłbym myśli, że muszę sprzedać biuro obcej osobie. Dlatego postanowiłem spisać odpowiednią umowę, oddając niniejszym jedną połowę udziałów w Chesterfield Private Investigations Tobie, a drugą połowę powierzając pewnemu detektywowi, S.S. Wilderowi z Nowego Jorku, który pięć lat temu uratował mi życie, gdy zajmowaliśmy się sprawą o morderstwo. Zawsze byłem i jestem mu bardzo wdzięczny. Pomyślałem więc, że będzie to dobry sposób, by wyrazić moje uczucia. Nie przejmuj się tym, że musiałabyś odwoływać się do niego w sprawach dotyczących działalności firmy. Jestem pewien, że wolałby pozostać „cichym” współnikiem. Mieszka w Nowym Jorku od lat. Ty, kochanie, jesteś jeszcze za młoda, by się tym martwić, ale ja jestem zadowolony, że odkładałem pieniądze, planując przejść na emeryturę. W przeciwnym razie nie mógłbym mieć takich planów, jak mam obecnie.

Wykorzystaj tę szansę, Jane, marnujesz się jako maszynistka w dużej, małej firmie prawniczej. Potrzebna Ci jest ucieczka od wspomnień z przeszłości, tak samo jak mnie. Kiedyś w Chicago byłaś niezłym prywatnym detektywem. Chciałbym zobaczyć, jak zagrzasz na bis i potworzysz te sukcesy w Mount Haven.

Całuję mocno, Wuj Bert

* * *

JANE WALKER 2248 Broad Street Laurel, Tennessee

Bert Chesterfield

Chesterfield Private Investigations 1241 Cable Avenue Monut Haven,
Nowy Jork

Drogi Wujku Bercie,

20 stycznia

tak się cieszę, że smakowały Ci pierniczki. Upiekłam je według przepisu ciotki Lenore. Twoja hojność poruszyła mnie do głębi. Proponujesz mi, bym wróciła do zawodu detektywa, aleja nie mogłabym ot tak po prostu spakować się i...

21 stycznia

Drogi Wujku Bercie,

wyobrażasz sobie moje zaskoczenie, gdy dostałam Twój list To więcej niż miło z Wujka strony, że proponuje mi, bym zaczęła jeszcze raz. To mi pochlebia. Jednakże...

22 stycznia

Drogi Wujku Bercie,

to trzeci list, który zaczynam pisać do Ciebie w ciągu ostatnich trzech dni. Pierwsze dwa były utrzymane w tonie wdzięczności, lecz i wahania się. Dzisiaj jednak, po nieprzespanej nocy, rozważyłam wszystko od nowa. Twoja propozycja skłoniła mnie do przeanalizowania swojego życia. Naprawdę tęsknię już za tym, by znów pracować jako prywatny detektyw i dowieść samej sobie, że potrafię odnaleźć się w tym zawodzie.

Co do pozostałych spraw masz świętą rację. Potrzebna mi jest zmiana tempa, jakieś wyzwanie. Do zobaczenia za kilka tygodni.

Ucałowania, Jane.

P.S. Doceniam twoją troskę o pana Wildera. Bądź pewien, że będę prowadzić dokładny rejestr, tak by otrzymał swoją połowę dochodów firmy. Może powinnam przysyłać mu miesięczne sprawozdania? Bez wątplenia przyjmie z wdzięcznością przychody, jakie otrzyma z racji swoich udziałów w zyskach firmy. Jak mówiłeś sam, planowanie przed przejściem na emeryturę jest bardzo ważne.

Rozdział I

W holu cuchnęło dymem z cygara i tanimi perfumami. Marszcząc nos, Jane wyszła z windy i energicznym krokiem pośpieszyła w kierunku biura na końcu korytarza. Zatrzymała się przed drzwiami do Chesterfield Private Investigations. Zastanawiała się, czy trudno będzie zamienić słowo „Chesterfield” na „Walker”. Gdy podeszła bliżej, odkryła, że wyraziste, czarne litery namalowane są farbą na szybie z matowego szkła.

„To nic - pomyślała z uśmiechem. - Po pierwszej udanej sprawie stać mnie będzie na wymianę całych drzwi, jeśli tak mi się spodoba.” Pogrzebała w torbie przewieszanej przez ramię i odnalazła ciężki, mosiężny klucz, który dziś rano wręczył jej wuj Bert Ogarnęło ją podniecenie. Stała na progu nowej drogi życia.

Gdy kilka miesięcy temu skończyła trzydzieści lat, wpadła w depresję. Dręczyła ją obawa, że być może resztę swych dni spędzi w Laurel z teściową. List od wuja Berta dał jej siłę, której potrzebowała, by zrobić coś ze swoim życiem. Mimo iż z początku odniosła się negatywnie do jego szczodroblivej propozycji, to im dłużej zastanawiała się nad nią, tym rozsądniejsza się jej wydawała. Od chwili, gdy ją wreszcie przyjęła, na nowo poczuła, że ma cel w życiu i że jest niezależna. Nie. Poczwała wtedy coś więcej: szczęście. Zupełnie tak jak teraz. Nic nie było w stanie popsuć jej świetnego humoru.

Wzięła głęboki oddech i włożyła klucz do zamka. Gdy odkryła, że drzwi były otwarte, na chwilę osłupiała ze strachu, aż olśniło ją oczywiste wytłumaczenie tego stanu rzeczy. Wuj Bert najwyraźniej tak był zaaferowany swą podróżą, że zapomniał zamknąć drzwi na klucz, po tym jak tu właśnie pożegnał się osobiście z miejscem, które przez tak wiele lat było mu domem.

Jane popchnęła drzwi i weszła do niedużego foyer, z którego wchodziło się do biura. Drugie drzwi również nie były zamknięte. Cóż, nie mogła przecież obwiniać wuja o to, że jest niedbały. Oboje byli równie podekscytowani tym, że zaczynają swe życie od nowa. Nucąc pod nosem, Jane wkroczyła stanowczo do biura. Dwoje ludzi podniosło na nią zdziwiony wzrok. Na rogu biurka stojącego przy oknie, siedziała jakaś dziewczyna, która miała nie więcej niż osiemnaście lat, a jasnorude włosy obcięte na punka. Ubrana była w wełniany sweter, sięgający kolan i obcisłe, czarne rajstopy.

- Przykro mi, ale jeszcze nie otworzyliśmy biura. Jutro. Proszę przyjść do nas jutro - odezwała się pretensjonalnie.

Na obrotowym krześle siedział mężczyzna, w wieku około czterdziestu lat. Oparł stopy o biurko, na którym rozsiadła się dziewczyna i uśmiechnął się od niechcienia, wydychając ogromny obłok dymu z cygara.

Jane była tak wstrząśnięta, że potrzebowała pełnych dziesięciu sekund, by zareagować odpowiednio na obecność obcych ludzi w biurze wuja. Ledwo zdobyła się na to, by przemówić.

- Chwileczkę... Nie sądzę, że pan...

- Proszę pani, mogę zapisać pani nazwisko i numer telefonu - przerwała niecierpliwie nastolatka - albo nawet zanotuję ważne informacje dotyczące pani sprawy, tak by Wilder...

Jane, zmieszana i zaniepokojona, przystąpiła do działania. Podeszła do biurka.

- A teraz posłuchajcie, co powiem. Nie wiem, kim jesteście, ale wiem jedno: S.S. Wilder jest współnikiem tej firmy i tak się składa, że mieszka w Nowym Jorku. Nie przyszedł tu w żadnym wypadku jako klientka. Jestem tu po to, by przejąć biuro. A więc mówcie, kim jesteście?

Dziewczyna otworzyła ze zdziwienia usta i prędko ześlizgnęła się z biurka, by skryć się za krzesłem, na którym siedział mężczyzna.

- O Boże, Wilder! Jesteśmy w niebezpieczeństwie! Weźmie nas jako zakładników!

Z początku do Jane dotarły jedynie słowa „w niebezpieczeństwie” i „weźmie nas jako zakładników”. Dopiero później zaświtało jej w głowie, że dziewczyna nazwała mężczyznę „Wilder”. Niemożliwe. S.S. Wilder był w wieku jej wuja.

- Daj jej pieniądze, Wilder! - krzyczała nastolatka. - I swoje karty kredytowe! Pewnie ma pistolet w tej torbie na ramieniu.

Mężczyzna uśmiechnął się, zwróciwszy wzrok na Jane.

- Sądzę, że nie masz racji, Ginny. Uspokój się już, kotku -mówił zachrypniętym głosem, swobodnie wymawiając wszystkie głoski. - Dostatecznie długo pracuję jako detektyw, by rozpoznać znikowaną osobę, gdy tylko ją ujrzę. I dałbym głowę, że ta śliczna młoda dama nie jest wcale szalona, lecz po prostu okropnie wściekła.

Jane opuściły siły; zbiło ją z tropu opanowanie mężczyzny i jego pewność siebie. Oparła się mocno o blat biurka.

- Czy pan... pan nazywa się Wilder? - wykrztusiła.

- We własnej osobie. Pani, jak mi się wydaje, jest siostrzenicą Berta. Jane... - Pstryknął palcami, jakby chciał odblokować swoją pamięć.

- Walker. Nazywam się Jane Walker. - Chrząknęła z zakłopotaniem.

Wilder zdjął długie nogi z biurka, wstał i podał Jane dłoń. Ona wolno podała mu swoją. Po jej ramieniu przebiegł przyjemny dreszcz.

- Obawiam się, że nie rozumiem... - zaczęła słabym głosem. Aż do tej chwili sądziła, że S.S Wilder jest w wieku jej wuja, tuż przed emeryturą. Ten zaś mężczyzna był niewiele starszy od niej; wysoki, dobrze zbudowany; ubrany w wyblakłą koszulkę i dżinsy. Jego ciemne faliste włosy były przyprószone na skroniach kilkoma srebrnymi nitkami. Kwadratowy podbródek przecinało lekkie wgłębienie, podkreślające wyraziste usta. Pod krzaczastymi brwiami źrenice mężczyzny jaśniały intensywnym odcieniem błękitu. Miał regularne rysy twarzy i Jane pomyślała, że chyba nie ma kobiety, która mogłaby mu się oprzeć. S.S. Wilder był atrakcyjnym mężczyzną. Bardzo atrakcyjnym. Wciąż trzymał jej dłoń.

- Pani też nie wygląda tak, jak się spodziewałem. Ogarnął ją wzrokiem pełnym podziwu. Jane poczuła, że płoną jej policzki.

- Nie... nie zdawałam sobie sprawy, że wuj Bert miał na myśli... albo może po prostu założyłam, że...

Wyrwała dłoń z jego dłoni. Teraz lepiej. Teraz mogła wreszcie zebrać myśli.

- Chodzi mi o to, że założyłam, że jest pan w wieku mojego wuja. Dał mi w liście do zrozumienia, że będzie pan wolał pozostać „cichym współnikiem” i że swoje udziały w zyskach agencji przeznaczy pan na czarną godzinę. Pomyślałam więc... że wybiera się pan wkrótce na emeryturę - zakończyła niepewnym głosem.

Wilder skinął głową z powagą.

- Jako prywatny detektyw, powinna pani lepiej znać się na rzeczy i nie przyjmować pochopnie niektórych przypuszczeń za pewniki. Chociaż, w istocie, pani również nie wygląda na detektywa, więc nie ma się czemu dziwić.

Jane zeszywniała. Jak można powiedzieć coś tak obcesowego!

- A jak według pana ciasnych poglądów powinna wyglądać kobieta-prywatny detektyw?

Wilder uśmiechnął się.

- Nie tak jak pani, z całą pewnością. Jesteś zbyt delikatna, by poradzić sobie w sytuacji zagrożenia. Czyż nie mam racji? Masz zaledwie metr pięćdziesiąt w kapeluszu i jesteś tylko trochę cięższa niż piórko... - nie

czekając na jej odpowiedź, dalej prawił swoje szczególne komplementy.
 - Twarz chińskiej laleczki, do tego z dołeczkami w policzkach. Długie, kręcone włosy blond, założę się, że wpadają ci do oczu tak, że strzelając nie możesz trafić do celu. Duże, zielone oczy o niewinnym, anielskim wyrazie. No i to ubranie. Wszystko połączone w piękny zestaw kolorów: zielony blezer, bluzka z postawionym kołnierzem i świeżo wyprasowana spódnica - strój raczej dla kierownika banku niż prywatnego detektywa.

Wilder z niedowierzaniem kręcił głową, kończąc swój profesjonalny wywód na temat Jane. Po jego oczach jednak bez trudu można było poznać, że podziwia tę drobną, subtelną dziewczynę.

„Najwyraźniej Wilder naoglądał się zbyt wielu filmów sensacyjnych z lat czterdziestych, w których kobieta była albo pięknym ornamentem, albo uosobieniem zła o wyglądzie ulicznicy” - pomyślała Jane.

- A może... - zaczęła lodowatym tonem - może właśnie to, o czym pan przed chwilą mówił, sprawia, że jestem taka dobra w swym zawodzie. Nie pasuję do stereotypu. Pana zdaniem określony ubiór i swobodny sposób bycia składają się na właściwy wizerunek detektywa. Dlaczego, tego nie potrafię pojąć - dodała, choć naprawdę dobrze to rozumiała. Wildera cechowała nonszalancja, która musiała wywierać odpowiednie wrażenie, a zarazem stanowiła kamuflaż dla wyjątkowo bystrego umysłu, o czym Jane była coraz bardziej przekonana.

Zza krzesła Wildera wyłoniła się Ginny, wyraźnie zadowolona, że Jane okazała się osobą zupełnie nieszkodliwą.

- Chcesz, żebym jej przyłożyła, Wilder? - spytała wojowniczo. Zachichotał, gasząc cygaro.

- Nie, Ginny. Myślę, że sam sobie poradzę.

Wyjął z kieszeni zgnieciony banknot i wręczył go dziewczynie.

- Może przejdziesz się do tej kawiarenki, którą widzieliśmy na rogu ulicy i przyniesiesz nam jakieś kanapki i wodę sodową? Już prawie druga, a myśmy nie zjedli lunchu. Sądzę, że zabawimy tu jeszcze trochę - dodał, uśmiechając się znacząco do Jane.

Ginny rzuciła w jego kierunku spojrzenie pełne uwielbienia.

- Jasne. Będę z powrotem za minutę.

Przemknęła zuchwale obok Jane, mierząc ją wyzywającym spojrzeniem i zmuszając do wdychania zapachu swoich tanich perfum.

Jane patrzyła, jak dziewczyna wychodzi z biura, po czym zwróciła swą twarz do Wildera.

- Mamy sobie dużo do powiedzenia - stwierdziła z naciskiem.

- Tak... dlaczego nie usiądziesz? - Wilder wskazał krzesło stojące naprzeciwko, a sam zajął miejsce za biurkiem.

Zapalił kolejne cygaro i oparłszy plecy o poręcz krzesła, wpatrywał się w swoją współpracowniczkę poprzez obłok dymu. Jane zakaszłała, bynajmniej nie dyskretnie.

- Przeszkadza ci dym z cygara? - spytał rzeczowym tonem.

- Tak.

Czekała, że je zgasi, lecz on jedynie uśmiechnął się przeproszająco i wypuścił kolejną chmurę dymu. Był wyjątkowo denerwującym mężczyzną - aroganckim, balansującym na granicy bezczelności. A jednak Jane wbrew wszelkiej logice po prostu oszalała na jego punkcie i zupełnie nie potrafiła tego zrozumieć. Przypomniała sobie jednak, że znajduje się przecież w przełomowym momencie swojego życia i zapewne dlatego jest bardziej podatna na wszystkie wpływy.

- Panie Wilder, ja...

- Mów mi Wilder.

- Dziękuję, ale nie mam zwyczaju zwracać się do ludzi po nazwisku. Wydaje mi się, że jest to takie... niegrzeczne. Czy mogę mówić do pana po imieniu? S.S. przecież na pewno coś znaczy.

Wilder oparł nogi o biurko, a Jane mimo woli śledziła wzrokiem ów ruch, zafascynowana muskularnymi udami w obcisłych dżinsach. Pośpiesznie opuściła wzrok, ale przedtem zauważyła na twarzy mężczyzny uśmiech człowieka, który wszystkiego się domyśla. Zakłopotana, skupiła uwagę na jakimś punkcie ponad jego głową i zaczęła mówić coś bez sensu, próbując ukryć zdenerwowanie.

- S.S. Wilder... To ładna nazwa dla statku, prawda? Nie odpowiedział. Jane złożyła ręce na kolanach.

- A więc... co to znaczy? Stefan? A może coś wielkopańskiego, jak na przykład Sudlow?

W jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia.

- Po prostu Wilder - powtórzył. - Tylko tyle. Prosto i zwyczajnie.

Jane poddała się - już po raz dziesiąty od czasu, gdy przekroczyła próg biura - zmęczeniu i irytacji. Jak, u licha, miała stać się równorzędnym partnerem mężczyzny, który nie chciał zdradzić jej swego imienia i który nazwał ją chińską lalczką? Mężczyzny, którego wspaniały wygląd rozpraszał ją i sprawiał, że stopniowo traciła nawet tę resztkę zimnej krwi, jaka jej jeszcze pozostała. Zagryzła wargę.

- Przede wszystkim, muszę przyznać, iż jestem trochę zdziwiona tym, że mój wuj nie uprzedził mnie o pańskim zamiarze uczestniczenia w działalności biura.

- Nie wiedział o tym. Gdy przysłał mi dokumenty do podpisania i klucze od biura, nie wspomniał nic o żadnych zastrzeżeniach. Podejrzewam, że Bert po prostu założył, że nie będę chciał się ruszyć z Nowego Jorku. I miał rację. Jednak kilka dni temu zmieniłem zdanie.

- Więc, na litość boską, dlaczego mu pan o tym nie powiedział? - spytała nerwowo.

Wilder wzruszył ramionami i wypuścił z ust mały obłok dymu, który zawisł złowieszczo nad głową Jane.

- Nie sędzę, żeby sprawiło mu to jakąś różnicę, tym bardziej że nigdy o to nie pytał. A ty wpadłaś jak burza... Do licha, dopiero co sami przyszedliśmy tu z Ginny. Ledwie zdążyliśmy się rozejrzeć.

Wilder zerknął na nią z ukosa, śmiejąc się nieszczerze.

- Przyłapałaś nas, a my daliśmy się zaskoczyć. Jane wyprostowała się na krześle.

- Tak pan to mówi, jakbym była jakimś intruzem. Wuj Bert z pewnością powiedział panu, że to ja będę tym drugim partnerem i że według jego planu mam prowadzić firmę...

Wilder ściągnął brwi.

- Oczywiście. Wspomniał coś o tym. Napisał mi wszystko o tobie: że jesteś wdową, że masz licencję prywatnego detektywa i... - Zmarszczył czoło. - Hm... No tak. Powiedział również, że jesteś uczciwa i porządna, więc nie powinienem martwić się, że źle poprowadzisz księgowość.

- Rozumiem. Cóż, w takim razie, wiedział pan, że należy się mnie spodziewać.

- Raczej, czego mam się spodziewać po tobie. Mniej więcej.

- Mniej czy więcej?

Wilder pochylił się do przodu, mierząc ją od stóp do głów spojrzeniem, które ścina z nóg.

- To znaczy, śliczna damo, że teraz, kiedy już cię poznałem, nie jestem ani trochę przekonany co do twojej wiedzy o tym, jak wygląda prawdziwa praca detektywa. W tym biznesie trzeba umieć zdać się na partnera, z którym pracuje się nad jakąś sprawą, bo inaczej może się to źle skończyć.

Jane policzyła w myślach do dziesięciu, zanim odpowiedziała.

- Posłuchaj, Wilder, zapewniam się, że jestem bardzo zdolnym prywatnym detektywem. Pracowałam dla Lockwood Agency w Chicago przez trzy lata.

Wilder zmrużył powieki.

- Agencja Lockwood? Słyszałem o nich. Specjalizują się w zarabianiu pieniędzy na bogatych donżuanach. Nic, co mogłoby wiązać się z niebezpieczeństwem. I z całą pewnością nic, w co można by się zaangażować bez reszty.

- To nieprawda. Prowadziłam różne sprawy... - Zabrakło jej odwagi, by mówić dalej, gdy zauważyła sceptyczną minę Wildera. Zimny drań. Jane znużonym gestem odgarnęła z oczu niesforny kosmyk włosów. „Dlaczego, do licha, usprawiedliwia się przed tym człowiekiem? Dlaczego on wywiera na niej tak niewiarygodne wrażenie?” Wzięła głęboki oddech i rzuciła mężczyźnie jeden ze swoich uśmiechów pełnych wyrozumiałości. Zaczynała boleć ją głowa.

- Wiążę z tym interesem... - zawahała się znacząco - ogromne nadzieje.

Rysy twarzy Wildera wypogodziły się. Ton jego głosu zmienił się nagle.

- Wciąż możesz mieć nadzieje. Jestem rozsądnym facetem. Wierzę, że potrafimy postawić to na nogi. Będziemy musieli tylko zgodnie ze sobą współpracować, nic więcej. Nie jesteś pesymistką, prawda?

- Cóż, nie jestem... ale wydaje mi się, że oboje bardzo różnimy się od siebie, panie Wilder, i dlatego nie wiem, jak sobie...

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru. Nie stać mnie na to, by wykupić twoją część udziałów. Nie licz jednak, że sprzedam ci moje. Myśl o tym, że mam swój własny biznes coraz bardziej mnie cieszy. Poza tym, mam osobiste powody, dla których chcę osiedlić się w Mount Haven.

- O... - Uśmiechnęła się słodko. - Czy to ma coś wspólnego z Ginny? Nawet nie drgnął mu żaden mięsień twarzy.

- Jest moją serdeczną przyjaciółką. Jest też naszą sekretarką. Właśnie przyjąłem ją do pracy.

„Tego już za wiele” - pomyślała Jane.

- Pan wybaczy, ale czy nie sądzi pan, że należało przynajmniej porozumieć się ze mną w tej sprawie? Choćby po to, by porozmawiać o kwalifikacjach tej dziewczyny? Przecież to jeszcze dziecko. - Jane zrozumiała, że traci panowanie nad sobą, ale nic na to nie mogła

poradzić. - I sądząc z tego, co widziałam, ona nie ma właściwego podejścia do ludzi. A jej garderoba...

Jane przycisnęła dłoń do czoła, próbując znaleźć słowo, które najlepiej oddawałoby to, co chciała powiedzieć.

- Jej strój nie jest chyba najodpowiedniejszym dla sekretarki. Wilder skinął głową.

- Tak... to prawda, ale ta praca jest jej potrzebna. Ginny zostaje. Jane podniosła dłonie.

- Nie mogę w to uwierzyć. Pańskie pojmowanie współpracy jest nie do przyjęcia. Jeśli ty, Wilder, będziesz podejmował wszystkie decyzje, to co ja mam robić? Kupować kwiaty do biura?

Wokół ust Wildera widać było wyraźnie zmarszczki, gdy na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Sądę, że byłoby to odpowiednie zajęcie dla ciebie - odparł krzywiąc się, po czym dodał nieco poważniejszym tonem: - Posłuchaj, Walker. Według mnie możemy poradzić sobie z rym w prosty t sposób. Ty zajmujesz się swymi sprawami, ja swoimi, a Ginny zadba, by panował w tym porządek.

- Ginny nie wygląda na osobę, która potrafi zadbać o siebie. Choć najwyraźniej cię uwielbia... - Jane urwała w pół zdania, gdyż przyszło jej coś na myśl. Och, Boże, chyba Wilder i Ginny nie są...

Czytał w jej myślach.

- Nie, Walker. Z Ginny łączy mnie jedynie zwykła przyjaźń.

Jane niespodziewanie poczuła ogromną ulgę. Czekwała niecierpliwie, aż mężczyzna powie coś więcej o roli Ginny w swoim życiu, lecz on milczał i obserwował ją przez unoszącą się w górę spiralę dymu, ściskając cygaro w kąciu ust. Spróbowała więc nakłonić go do zwierzeń.

- Tak... a jak ją poznałeś? Chodzi mi o to, dlaczego czujesz się za nią odpowiedzialny?

- Przypadek zrządził, że zetknęliśmy się ze sobą w Nowym Jorku i zaproponowałem jej swoją pomoc - odparł krótko Wilder.

Wyraźnie nie miał ochoty zwierzać się komuś, kogo jeszcze dobrze nie poznał. Jane, po dwóch latach spędzonych w Laurel, rozumiała taką postawę. Tam, gdzie mieszkała, każdy chciał wtrącać się w cudze sprawy.

- Ach... cóż... przypuszczam, że polubię Ginny, gdy ją lepiej poznam. Z przyjemnością nauczę ją...

- Możesz spróbować - stwierdził bez zająknięcia, choć dziewczyna usłyszała w jego głosie nutkę sceptycyzmu. Dodał więc jeszcze, jakby chciał to zatuszować:

- Wszystko dobrze się ułoży, jeśli tylko będziemy zajmować się swoimi sprawami.

Jane podniosła dłoń do bolącej skroni. Nie wróci do Laurel. Ta firma należy zarówno do niej, jak i do Wildera, i zamierzała dać mu to do zrozumienia. Zresztą, po tym co dzisiaj zobaczyła i usłyszała, bałaby się zostawić całą spuściznę wuja w rękach tego irytującego mężczyzny.

- Właśnie o to chodzi, Wildfr. To nasza firma, więc uważam, że powinniśmy podejmować decyzje wspólnie. Nie chcę, by tym, nad czym wuj Bert pracował ciężko przez trzydzieści lat, kierował ktoś bezmyślnie. Musimy działać odpowiedzialnie.

- Walker, Walker - strofował ją drwiącym głosem. - Tylko dlatego, że mam więcej niż ty swobody w sposobie bycia, wydaje się, że nie jestem profesjonalistą. Ja po prostu wkładam więcej energii w działanie, niż w mówienie o nim. Nie przywiązują takiej uwagi do ubioru jak ty.

Znów objął wzrokiem jej schludny, trochę w staroświeckim stylu, strój. Lecz tym razem uczynił to umyślnie, a w jego badawczym spojrzeniu kryło się tak szczere pożądanie, że Jane poczuła dreszcze na plecach. Nagle zrozumiała, że celowo użył słowa „działanie”.

Zmieniła niewygodną pozycję na krześle i odwróciła wzrok. W co się wpakowała? Myślała, że zacznie w Mount Haven nowe, niezależne życie, wolne od krępujących jej swobodę wpływów. Zamiast tego spadło na nią coś... tak dziwnego i nieoczekiwanego. Nie mogła temu zaprzeczyć. Wyczuła niebezpieczny, wzajemny pociąg Fizyczny. Niebezpieczny, gdyż mieli z Wilderem tyle wspólnego, co istoty z dwu różnych planet. Niebezpieczny, bo chciała sobie tak wiele udowodnić podjęciem próby odniesienia sukcesu w Firmie wuja. A teraz ten Wilder zamierzał odebrać jej pierwszoplanową pozycję i skłonić, by zdała się na jego wątpliwy profesjonalizm. Gdyby związali się ze sobą prywatnie, ich współpraca układałaby się z pewnością jeszcze gorzej.

Jane, mimo woli, przeniosła ponownie wzrok na Wildera, który uśmiechnął się do niej nagle i niespodziewanie. Oszłomił ją ten spontaniczny i pełen ciepła odruch. Wstrzymała oddech. Nikt przedtem tak na nią nie patrzył. Nawet Howard, wtedy gdy udawał, że stała się najważniejszą osobą w jego życiu. Jane, trochę oszłomiona, usilnie próbowała ustalić powody, dla których Wilder uśmiechał się do niej. Czyżby był na tyle przebiegły, by myśleć, że swym urokiem zmusi ją do

usunięcia się na drugi plan? Jakoś nie chciała w to uwierzyć. A może jest po prostu typem faceta, który zwykle patrzy w ten sposób na każdą spotkaną kobietę? Możliwe. Ale mimo całej zmysłowości Wildera, Jane wyczula, że nie jest on kobieciarzem, i Uśmiechnęła się wbrew samej sobie. Serce zaczęło jej bić mocniej.

Urokliwy nastrój zepsuł odgłos uderzenia w drzwi. Wróciła Ginny. Jane wykorzystała tę chwilę, by odetchnąć. Czyniła sobie w myślach wyrzuty, że sama prowokowała Wildera. Ginny brawurowo popłynęła do biurka, utrzymując w równowadze napoje i ogromną papierową torbę na kartonowej tacce.

- Przepraszam, że to tak długo trwało, Wilder. W tej głupiej kafejce było strasznie dużo ludzi.

- Nic nie szkodzi, Ginny.

Głos Wildera brzmiał lekko i beztrzesko, jakby tych kilku ostatnich chwil w ogóle nie było.

- Spędziliśmy ten czas na rozmowie o interesach. Walker będzie chciała pogadać z tobą później o twoich obowiązkach w biurze.

Dziewczynie opadła szczęka ze zdziwienia.

- To ona zostaje?

Wilder zabrał od niej torbę i tacę.

- No cóż... tak, kochanie. Jest współwłaścicielką firmy. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy, jadąc tu dzisiaj?

- Tak... ale mówiłeś, że ona z pewnością nie wytrzyma nawet dziesięciu minut, gdy jej pokażemy, co potrafimy.

Jane wbiła w Wildera bezlitosny wzrok.

- Och... wiem, Ginny. Ale okazuje się, że ta mała dama ma dużo sprytu. Wszyscy będziemy musieli ze sobą współpracować. Dobrze?

- Współpraca jest konieczna - przypomniała dziewczynie łagodnie Jane. - Ja postaram się najlepiej, jak potrafię i jestem pewna, że ty też.

„Może pozytywne podejście do dziewczyny odniesie wreszcie jakiś skutek” - pomyślała Jane, uśmiechając się wyczekująco.

Twarz Giny zachmurzyła się. Nie zadała sobie nawet trudu, by spojrzeć na swą pracodawczynię.

- No to... będziemy teraz jeść?

- Pewnie. - Wilder zanurzył dłoń w torbie. - Ginny, tu są tylko trzy kanapki.

Marszcząc brwi, przeniósł wzrok na tacę z napojami.

- I tylko dwie wody sodowe.

- Tak... dwie sałatki z tuńczykiem dla ciebie, jedna dla mnie. No i po puszcze wody dla każdego.

- A dla Walker? - spytał z naciskiem.

GINNY teatralnym gestem wzruszyła ramionami.

- Sądziłam, że jak tu wrócę, to jej już nie będzie.

Wilder wstał z biurka i położył swą dużą dłoń mocno na ramieniu dziewczyny^

- Rozejrzysz się po biurze i wrócisz tu z kubkiem, byś mogła podzielić się z Jane swoją wodą. Ja oddam jej jedną kanapkę.

GINNY wyglądała tak, jakby chciała kogoś zamordować.

- Nie! To znaczy nie mam nic przeciwko temu, by podzielić się swoją wodą, ale ty zawsze zjadasz dwie kanapki. Przyniosłam je dla ciebie!

Jane postanowiła, że jeszcze raz spróbuje zyskać życzliwość GINNY, która wyraźnie traktowała Wildera zbyt zaborczo.

- GINNY - zaczęła spokojnie. - Wszystko w porządku. Naprawdę niczego nie chcę.

Wilder stanowczo zaprzeczył ruchem głowy.

- Owszem, chcesz. Zwrócił się znów do GINNY.

- Poszukaj kubka. No już!

Podał kanapkę Jane i usiadł z powrotem na krześle ze swoją porcją.

GINNY poczłapała do kredensu na drugim końcu biura i dała popis przeszukiwania jego zawartości. Na dolnej półce znalazła plastikowy kubek. Mijając Jane jak burza, wcisnęła go do jej ręki. Potem z wściekłością otworzyła puszkę wody sodowej i z rozmachem napełniła kubek. Jane była pewna, że dziewczyna ją obleje. Odetchnęła, gdy tak się nie stało.

- Dziękuję - odezwała się niepewnym głosem.

- Proszę - wymamrotała GINNY, siadając na rogu biurka. Przez kilka minut jedli w absolutnej ciszy, aż wreszcie Jane ogarnęło zniecierpliwienie.

- Od lat nie byłam w biurze wuja - zaczęła nerwowo. Powoli jej głos nabierał mocy. - Widzę, że nie czuł on nawet potrzeby odnowienia biura. Tak tu ciemno... Oczywiście. Będziemy musieli kupić dla mnie biurko. Naturalnie GINNY też potrzebuje biurka, gdzieś w pobliżu foyer, skoro ma być sekretarką. Myślicie, że wkrótce otworzymy biuro dla klientów? Może powinniśmy zająć się umieszczeniem jakichś ogłoszeń w gazecie. Sądzę, że w tym tygodniu moglibyśmy trochę doprowadzić to miejsce do porządku. Pomalować, rozjaśnić całe wnętrze, coś zrobić...

Jane gwałtownie umilkła, z przykrością zdając sobie sprawę, że paplała jak dziecko.

- Dlaczego po prostu nie wytapetujemy całego biura? - spytała sarkastycznie Ginny. - Założę się, że odpowiadałyby ci słodkie wzorki z małymi kwiatuśkami, do których dobrałabyś zasłony. Przykro mi, że nie umiem szyć. Byłabym taka szczęśliwa, mogąc zrobić dla ciebie pokrowce na krzesła i biurka.

Jane poczuła, że od migreny bolą ją nawet oczy. Zachowanie tej dziewczyny było nie do przyjęcia.

- Powiem ci coś, Ginny - zaczął Wilder surowym tonem. - Jeśli kiedyś zdecydujesz się na to, by zrobić karierę w zawodzie dekoratorki wnętrz, to możesz śmiało nazwać swoją firmę „Kpiny Ginny”. Wiesz o co mi chodzi? Uważam, że winna jesteś pani Walker przeprosiny za swój niewyparzony język, młoda damo.

- Przepraszam - powiedziała nieszczerze Ginny.

Przynajmniej Wilder próbował wygzekkować od Ginny kulturalne zachowanie. Jane, podniesiona na duchu przez poparcie, jakiego udzielił jej mężczyzna, nagle zdobyła się na to, by poczęstować dziewczynę odrobiną sarkazmu we własnym wykonaniu.

- Wiesz co, Ginny, przyjmuję twoje przeprosiny, jeśli pozwolisz, że zafunduję ci kurs kroju i szycia dla początkujących. Nie sądzę, by to drogo kosztowało i...

Mocno pomalowane oczy niesfornej nastolatki zaokrągliły się z wrażenia. Odwróciła nerwowo głowę w stronę Wildera.

- Ojej! Ona nie mówi poważnie, chodzi mi o to, że naprawdę nie lubię szyć i nie nadaję się do tego. Proszę!

Wilder mrugnął porozumiewawczo do Jane, gdy Ginny zakryła dłonią oczy.

- Powiedz „proszę” poprawnie, Gin, a wtedy Walker pomoże ci wybrać materiał - zażartował rozbawiony.

Ginny zrozumiała, o co chodzi. Odpowiedziała już bez dawnego uporu:

- Tak? Chyba, że da mi najpierw jakieś środki uspokajające.

Gryząc z wściekłością kanapkę, obserwowała Jane spod pokrytych grubą warstwą tuszu rzęsy. Wyglądało jednak na to, że ma dla niej odrobinę szacunku.

„Prawdopodobnie Ginny nie sądziła, że jestem zdolna odciąć się jej złośliwie” - pomyślała Jane, zadowolona z siebie. Miała nadzieję, że nie będzie musiała więcej odwoływać się do takich metod i że wkrótce

dojdzie do porozumienia z Ginny. A co do Wildera... Cóż, po prostu będzie musiała udowodnić mu, że jest tak samo dobra w zawodzie detektywa jak on. Teraz jednak pragnęła tylko zanurzyć się w gorącej kąpieli, żeby zapomnieć choć na chwilę o ciętym języku Ginny i niepokojącej zmysłowości Wildera. Uczucie wyczerpania uświadomiło jej, że ma za sobą długi, trudny dzień.

- Dziękuję za lunch - powiedziała trochę zbyt wesoło. - Nie znoszę jeść i zaraz gdzieś biec, ale muszę sprawdzić, czy przyjechał mój bagaż. Samolot, którym przyleciałam rano, spóźnił się, a nie chciałam stracić ostatniej szansy na pożegnanie wuja Berta. Tak się złożyło, że zostało tylko kilka minut do odplynięcia jego statku, więc załatwiłam, by moje torby pojechały autobusem. Czy w tym biurze jest książka telefoniczna, Wilder? Chcę zadzwonić po taksówkę.

Znów się jej przyglądał. W jego spojrzeniu dostrzegła mieszaninę zaciekawienia i czegoś, co odebrała jako cień współczucia. Może Wilder rzeczywiście rozumiał, że zachowanie jego i Ginny stanowiło dla Jane ogromnie stresujący test na wytrzymałość.

- Niepotrzebna ci taksówka, możesz pojechać ze mną i z Ginny. Z przyjemnością cię podwieziemy.

- Och, nie. Nie chciałabym wam przeszkadzać. Naprawdę protestowała. Pragnęła zostać sama, by móc sobie wszystko przemyśleć i nareszcie odzyskać siły.

- Dokąd jedziesz, Walker?

- Aleje Crestview. To straszna część miasta i...

- Aleje Crestview! - przeraźliwie krzyknęła Ginny. - O, Boże! Wilder ściągnął krzaczaste brwi. Po chwili jednak wyraz zmieszania zniknął z jego twarzy.

- Pozwól mi zgadnąć, Walker... twój wuj powiedział ci, że możesz zamieszkać w jego domu. Mam rację?

Jane skinęła głową.

- Tak. Przesłał mi list, w którym zaproponował, żebym się tam zatrzymała. Pisał, że wolałby nie wynajmować domu obcym. Nie był jeszcze przygotowany psychicznie, by go sprzedać...

Nagle przyszła jej do głowy okropna myśl.

- O, nie! Nie powiedział ci tego samego, prawda? Migrena męczyła ją teraz ze zdwojoną siłą.

- Tak... powiedział.

Ginny uderzyła się pięścią w czoło.

- O, Boże, Wilder! Nie dosyć, że musimy z nią pracować, to jeszcze mamy razem mieszkać!

Jane zerwała się z krzesła.

- Wilder, to niemożliwe! Patrzył na nią ponuro.

- Bert mówił mi od samego początku, że jeśli zdecyduję się na pracę w jego biurze, to mogę zatrzymać się u niego.

Jane opadła bez siły na krzesło. Pulsujący ból głowy sprawił, że nie mogła zebrać myśli.

- Ale... to... to nie jest sytuacja do przyjęcia! Wuj Bert był po prostu uprzejmy, bo... - Podniosła niebezpiecznie głos. - Bo... Spójrzmy prawdzie w oczy, Wilder. Wuj Bert złożył ci tę propozycję tylko dlatego, że nie spodziewał się takiego rozwoju sytuacji. Nic przecież nie wskazywało na to, że zechcesz prowadzić biuro. Nigdy nie zadałeś sobie trudu powiadomienia o tym wuja. Jestem pewna, że gdyby znał twoje plany, byłby zmuszony wycofać propozycję dotyczącą domu! Wuj nie zaproponowałby nam wspólnego mieszkania!

Twarz Ginny rozjaśniła się.

- Wspaniale. Podrzucimy cię do hotelu. Jane miała już wszystkiego dosyć.

- Nie, młoda damo, nie podrzucicie. Jeśli ktoś z nas pójdzie do hotelu, to na pewno będziesz to ty i Wilder.

Wzięła się pod boki i zaczęła złowrogo wpatrywać się w znajdującą się przed nią parę.

Ginny wytrzymała jej spojrzenie.

Wilder wyglądał tak spokojnie, jakby opalał się na plaży.

- Przykro mi, Walker, ale to niemożliwe. Pomyśl, jakby to wyglądało, gdybyśmy z Ginny zamieszkali razem w hotelu. Poza tym, ona potrzebuje nieco więcej stabilizacji w życiu.

Gdyby Jane nie była tak zdenerwowana, rozśmieszyło by ją słowo „stabilizacja” w odniesieniu do Ginny. W tej chwili poczuła, że rośnie jej depresja.

- W takim razie poszukaj mieszkania do wynajęcia!

- To trochę potrwa, Walker. Na razie będziesz skazana na nas, skoro nie chcesz znaleźć sobie innego lokum...

Jane opuściła ramiona.

- Naprawdę nie mogę sobie na to pozwolić. Przynajmniej nie teraz - powiedziała cicho ze zmęczenia.

Nie zamierzała wcale spieszyć z wyjaśnieniami, że jej teściowa trzyma rękę na spadku, który zostawił Howard. Ta neurotyczna kobieta z

pewnością nie da ani centa na sfinansowanie czegoś, czemu była od samego początku przeciwna.

- A zatem uważam sprawę za zakończoną - skwitował wesoło Wilder.
- Ty, Gin i ja zostaniemy jedną rodziną.

Ginny wydała z siebie żalorny, przenikliwy głos.

Jane oparła się plecami o poręcz krzesła i zamknęła oczy. W czym, u licha, tak bardzo pomyliła się dwa lata temu? Wyszła za człowieka, który okazał się być całkowicie poddany wpływom matki. Po jego niespodziewanej śmierci Jane została z większym poczuciem winy niż spadkiem po mężu. No i teraz musi zamieszkać pod jednym dachem z wrogo do niej nastawioną, arogancką nastolatką i jej pełnym zmysłowości opiekunem. Tylko silne pragnienie posiadania własnej firmy powstrzymało ją od histerycznego krzyku i powrotu najbliższym samolotem do Chicago, gdzie Agencja Lockwood z pewnością znów przyjęłaby ją do pracy.

Zale Jane nad samą sobą gwałtownie przerwał piskliwy głos Ginny.

- Mówię ci od razu, że nie nadaję się do pracy w domu. Za długo hodowałam swoje paznokcie, żeby je teraz zniszczyć w gorącej wodzie.

- Ginny! - odezwał się ostro Wilder. - Wszyscy będziemy musieli współpracować ze sobą, tak jak ci to wcześniej mówiłem. Rozumiesz? Domyślam się, że Walker jest bardzo wymagająca, jeśli chodzi o domowe obowiązki. Dlatego oboje będziemy musieli je dobrze wypełniać.

Głośne „uff” stanowiło odpowiedź dziewczyny.

Jane z trudem zachowała spokój, widząc jak Ginny ze smutkiem ogląda swoje długie paznokcie pomalowane purpurowym lakierem.

- Dziwię się, Ginny, że tak inteligentna osoba jak ty nigdy nie słyszała o gumowych rękawiczkach. Po drodze do domu zatrzymamy się, żeby kupić je dla ciebie - odparła Jane z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

Wilder spisywał się na piątkę. Zawsze próbował rozładować napięcie, któremu Jane ulegała w widoczny sposób. W supermarkecie zaproponował, że on i Ginny kupią połowę rzeczy ze spisanej pośpiesznie listy Jane, podczas gdy ona sama robi resztę zakupów. Zgodziła się na to z ochotą. Poczuli ulgę, uwalniając się od zazdrosnej Ginny i seksownego Wildera. Potrzebowała chociaż półgodzinnej rozłuki z nimi.

- Wyglądasz na zmęczoną - zagadnął ją Wilder, upychając torby z warzywami na tylne siedzenie samochodu wypożyczonego z dworca kolejowego. Ginny została jeszcze w sklepie, w dziale z kosmetykami.

Jane przyglądała się z zachwytem dobrze rozwiniętym mięśniom na plecach Wildera, gdy ten ustawiał ostatnią ciężką torbę.

- Myślę, że dzieje się tak, ponieważ wpakowałam się w coś, na co nie byłam przygotowana.

Z trudem oderwała wzrok od szerokich barków Wildera. Zatrzasnął drzwi od przyczepy i oparł się o samochód ze złowrogo skrzyżowanymi na piersiach rękami.

- W takim razie, po jakie licho zostałam prywatnym detektywem? Cholera, przecież nie potrafisz nawet wyciągnąć wniosków z ustalonych faktów, by rozwiązać sprawę, nie mówiąc już o utrzymaniu się własnego planu.

Jak miała mu wyjaśnić, że ta nieprzemyślana uwaga nie miała nic wspólnego z jej poglądami na temat zawodu detektywa, ale związana była z tym, jak reaguje na jego osobę? Jane przez kilka chwil wpatrywała się w swoje równo obcięte paznokcie, po czym spojrzała na Wildera. Ubrany był w obcisłą wytartą wiatrówkę z podniesionym kołnierzem, obrzeżonym czerwono-czarną lamówką. Gdy mężczyzna badał ją wzrokiem, podmuch wiatru potargał jego ciemne włosy. Jane złapała się na tym, że z niezrozumiałych powodów porównuje go w myślach do Howarda. Wilder był o wiele bardziej męski, nie tylko w wyglądzie, ale także w tym, jak mówił i gestykulował, w swym rubasznym i pełnym rozmachu podejściu do życia... No i oczywiście to jego cudowne ciało, ta męska pewność siebie, która nie miała nic wspólnego z noszeniem drogich garniturów, jakie uwielbiał Howard. „Tak naprawdę - pomyślała - nigdy nie znałam dwóch mężczyzn, którzy by się bardziej różnili.”

- Nie odpowiedziałas mi - przypomniał Wilder.

A Jane liczyła na to, że on rozładuje jej napięcie. Więc, chociaż od dłuższego już czasu starała się nie okazywać złości ani żadnych innych emocji, które wzbudzał w niej Wilder, teraz rozgniewała się po raz kolejny.

- Dlaczego przez cały czas dajesz mi do zrozumienia, zresztą w mało subtelny sposób, że na pewno jestem marnym detektywem? Nie mogę zrozumieć, czy jesteś zwykłym antyfeministą, zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety wykonujące twój zawód, czy po prostu... jestem zbyt kobieca jak na twój gust

Wilder przez chwilę patrzył na nią przenikliwym wzrokiem, który doprowadzał Jane do szaleństwa. Potem uśmiechnął się leniwie.

- Uwierz mi, Walker, żadna z twych tez nie jest prawdziwa. A szczególnie ta ostatnia. Ja po prostu... - Przerwał, marszcząc czoło. Jane

odniosła wrażenie, że mężczyzna jeszcze raz chce przemyśleć to, co właśnie zamierzał powiedzieć.

- Nie rozumiem, dlaczego ktoś o tak ustabilizowanym trybie życia chce wykonywać zawód detektywa. Ponieważ teraz jesteśmy partnerami w interesie, uważam, że mam prawo zapytać cię o to.

„Może i ma” - przyznała w duchu Jane. Ale jeśli tak jest naprawdę, to i jej przysługuje takie samo prawo.

- Zostałam prywatnym detektywem, gdyż uznałam, że świetnie radzę sobie z rozwiązywaniem problemów. Uważam, że jeśli wykonuje się pracę detektywa w logiczny, gruntownie przemyślany sposób i jest się dobrze przygotowanym, to powinno się unikać wielu kłopotliwych niespodzianek.

Jane pogratulowała sobie tego rzeczowego wyjaśnienia. Pomyślała, że jej współnik nie zasługuje na nic więcej, przynajmniej teraz.

- Niezła mówka, Walker, aleja nie dam się na nią złapać. Wilder szybko zbliżył się do niej.

- Praca detektywa stanowi kawał życia, często ten nie najlepszy. Wymaga ona zdolności sięgania poza to, co powinno się zdarzyć, albo też nawet poza to, co się w danym przypadku rzeczywiście stało.

- Wiem - odparła broniąc się Jane. Wolała, żeby stanął dalej od niej. Bliskość jego wspaniale zbudowanego ciała i świeży zapach mydła sprawiły, że czuła się krucha i podatna na zranienie. O wiele za bardzo przypominała teraz chińską laleczkę, do której porównywał ją kilka godzin wcześniej. Wilder pochylił lekko głowę, w jego oczach, odbijających blask późnego popołudnia, tańczyły niebieskie i zielone refleksy.

- Mówię tylko - zaczął tonem Humphreya Bogarta - że metody pracy w stylu „liczą się fakty, proszę pani” należą już do przeszłości. Dobry detektyw często kieruje się intuicją.

- Czy tak właśnie było wtedy, gdy uratowałeś życie wujowi Bertowi? - spytała zaciekawiona. - Polegałeś na zwykłym przeczuciu?

Wilder wzruszył ramionami.

- Tak... tak się stało, że nasze drogi zeszły się, gdy Bert śledził w Nowym Jorku Monte Tulane'a, znanego złodzieja w białych rękawiczkach. Tu lane wykorzystywał Mount Haven jako bazę dla operacji związanych z sabotażem przemysłowym - kradł i sprzedawał wynalazki z dziedziny technologii komputerowej. Jedną z firm, którą okradł, wynajęła Berta, by zajął się rozwikłaniem tej sprawy. Pracowałem w tym czasie dla innej firmy komputerowej poza Nowym

Jorkiem. Tulane był również na mojej liście głównych podejrzanych. Gdy spotkaliśmy się z Bertem, obaj doszliśmy do tego samego wniosku: Tulane zrobił sobie kryjówkę z opuszczonego magazynu w pobliżu skał nad wodą. Prawdopodobnie nie miał pojęcia, że jest śledzony. Spędziłem wiele czasu obserwując go i nie byłem już wcale pewien, czy on nie zaczyna się czegoś domyślać.

Wilder przerwał na chwilę i przecesał dłonią włosy.

- Po prostu miałem takie przeczucie, wiesz? W każdym razie, plan Berta polegał na tym, że ja musiałem stać na czatach przed magazynem, podczas gdy on miał wśliznąć się do środka, by sfotografować Tulane'a i jego towar. Zgodziłem się, bo Bert był uparty, ale gdy tylko wszedł bocznymi drzwiami do magazynu, wczłogałem się tam za nim. Tulane czekał. Wyszedł z ciemności i skoczył na Berta, wyszarpnął mu broń z ręki i przyłożył lufę do jego skroni. Przykucnąłem za klatką do przewożenia towarów i musiałem błyskawicznie podjąć decyzję, czy wymierzyć pistolet w serce tego bandyty... Na szczęście nie chybiłem, bo inaczej ja i Bert wylądowalibyśmy na wysypisku śmieci. Koniec.

Jane w zamyśleniu kręciła głową.

- Byłeś bardzo odważny. Nigdy jeszcze nikogo nie zabiłam...

Ale cieszę się, że byłeś tam z wujem Bertem. To dzięki niemu wybrałam zawód prywatnego detektywa. Zawsze podziwiałam jego i tę profesję.

Wilder uniósł w górę krzaczastą brew.

- Tak? Więc dlaczego na dwa lata wycofałaś się z zawodu?

- Skąd to wiesz? - spytała ostro. Nic dziwnego, że niezbyt wierzył w jej umiejętności. Prawdopodobnie sądził, że brakuje jej samozaparcia.

- Bert wspomniał o tym w jednym ze swoich listów... a mówiąc szczerze, to ja spytałem go o parę szczegółów na twój temat

Wilder uśmiechnął się.

- Chciałem się upewnić, że druga połowa spadku trafiła w dobre ręce.

- Żałuję, że nie pomyślałam wcześniej o tym, by zapytać wuja o ciebie - mruknęła pod nosem.

- Pewnie wtedy nie przyjąłabyś propozycji wuja.

- Być może.

Wilder zachichotał. Wyraźnie nie był zakłopotany tym, co usłyszał.

- A zatem...- odpowiedział jej.

„Jest uparty jak Ginny” - doszła do wniosku Jane.

- No więc, przestałam pracować jako prywatny detektyw na prośbę swojego męża.

Powinna była ugryźć się w język, zanim to powiedziała. Teraz Wilder pomyśli, że jest bezwolną babą. I, co gorsza, nie może mu mieć za złe, że tak ją osądzi.

Lecz on nie wykorzystał możliwości, by znów ją zaatakować.

Przemówiło to na jego korzyść.

- Rozumiem. Martwił się, że przez cały czas grozi ci niebezpieczeństwo?

- Tak...

Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Wciąż było jej trudno pogodzić się z tym, że tak bardzo pomyliła się, wychodząc za Howarda. Zaraz po ślubie zgodziła się porzucić pracę w Chicago i przeprowadzić do rodzinnego miasta męża w Tennessee. Prędko jednak pojęła, że jej rola polega jedynie na byciu żoną Howarda Walkera i uroczą damą z towarzystwa; zajęcia Jane ograniczyły się zatem do bywania, razem z neurotyczną teściową, na herbatkach w gronie osób zaabsorbowanych działalnością charytatywną. Ponieważ nie potrafiła sobie samej wytłumaczyć żadnej z tych decyzji, nie mogła wyjaśnić ich komuś, kto - jak Wilder - był uosobieniem pełnej niezależności, jeśli ona w ogóle istnieje.

Tymczasem Wilder przysunął się bliżej i delikatnie odgarnął dłonią kosmyk włosów, który wiatr rzucił Jane na twarz.

- Od jak dawna nie żyje twój mąż? - spytał miękko.

- Prawie od roku.

- Tęsknisz za nim?

Jane była oszołomiona zarówno obcesowością pytania, jak i troską, którą spostrzegła w oczach Wildera.

- Ja... Howard chorował przez trzy miesiące, zanim zmarł... zdążyłam się przygotować...

Boże, teraz mówi tak, jakby jej nie zależało na mężu. Lecz nie potrafiła okłamywać Wildera. Prawdą było, że nie tęskniła za Howardem. Wychodząc za niego, popełniła straszliwą pomyłkę. Zrobiła to po prostu pod wpływem impulsu. Tylko dlatego, że był przy niej, by ją podtrzymać na duchu i pocieszyć, gdy o mały włos nie straciła życia w sprawie Melone. Jane nie zdawała sobie z tego sprawy aż do momentu, gdy było już za późno. Howard okazał się mistrzem w pozbawianiu jej pewności siebie i wewnętrznego spokoju, tak że lękała się wszystkiego. Czynił to w imię jakiejś desperackiej miłości, która dla Jane stała się niewolą. Każde słowo pocieszenia ze strony Howarda było po prostu formą zyskiwania nad nią kontroli.

- Doświadczyłaś ciężkich chwil, Jane, prawda? Nie tyle przez śmierć męża, co w ogóle od życia. Mam rację?

A niech to! Dostrzegł wszystko.

Jane zdobyła się na swobodną odpowiedź.

- Och, nie przeżyłam niczego, z czym nie mogłabym sobie poradzić... Ale dosyć o mnie. Opowiedz lepiej o sobie. Dlaczego zostałeś detektywem? Powiedz mi coś o swojej rodzinie.

Mimo że usiłowała odwrócić jego uwagę, by nie zadawał więcej pytań o jej związek z Howardem, Wilder nie dał się oszukać. Poznała to po jego oczach. Jednak nie wrócił już do tematu jej małżeństwa.

- Wyrosłem w rodzinie, w której było pięciu synów. Ojciec pracował jako gliniarz w policji nowojorskiej. Wuj też. Teraz obaj przeszli już na emeryturę. Czterej moi bracia są policjantami. Gdy byłem dzieckiem, mieszkaliśmy na Brooklinie. Kilka lat temu rodzice przeprowadzili się na Long Island. Zostałem prywatnym detektywem, bo chciałem być inny niż reszta rodziny, ale nie zupełnie inny.

Jane roześmiała się.

- I to wszystko? Wilder skinął głową.

- Tak. To cała historia w paru słowach. Obawiam się, że nie mam nic ciekawszego do opowiedzenia. Takie to zwyczajne i nieskomplikowane.

„A... tu się mylisz” - pomyślała Jane. Wilder podniecał ją szalenie. Był bardzo interesujący. Przez jedno krótkie popołudnie zaobserwowała u niego gamę różnorodnych cech: od opryskliwości, czy wręcz arogancji, przez natarczywość i upór, aż do delikatności. Jego osobowość opierała się wszelkim próbom jednoznacznej klasyfikacji. A takiej klasyfikacji poddała Jane we wspomnieniu Howarda. Związek z mężczyzną skończył się dla niej zagrożeniem utraty własnej osobowości. Przyrzekła więc sobie, że nigdy nie pozwoli, by się to powtórzyło. Lecz uśmiechając się w odpowiedzi na uśmiech Wildera, Jane wiedziała bez cienia wątpliwości, że jest on mężczyzną, przez którego zapomni o danym sobie przyrzeczeniu. Wilder wciąż uśmiechał się do niej z tą swoją pewnością siebie, a mimo tego ów uśmiech wydawał się zupełnie naturalny... i jakiś szczególny. Jakby zawierała się w nim cała istota charakteru Wildera. Jane nie przypominała sobie, by kiedykolwiek równie mocno pragnęła poznać i zrozumieć jakiegoś mężczyznę. I z pewnością nigdy przedtem nie zastanawiała się, jak niebezpieczne może być pożądanie.

Działo się tak prawdopodobnie dlatego, że nie spotkała dotychczas mężczyzny, który wzbudziłyby w niej tyle mieszanych uczuć.

- Hej! Przepraszam, że to tak długo trwało, Wilder! - krzyczała Ginny, przedzierając się przez zatłoczony parking. - Ta głupia dziewczyna przy stoisku nie mogła znaleźć szminki Pinkest Passion i...

Urwała w pół zdania, bezbłędnie odgadując, że zjawiła się w chwili, gdy między Wilderem i Jane działo się coś ważnego.

- O co chodzi? Znow jest niegrzeczna?

Wilder odwrócił się i uśmiechnął się do dziewczyny.

- Nie, Gin. Rozmawialiśmy o interesach. Co myślisz o tym, by wreszcie ruszyć w drogę tym pojazdem?

Ginny zawahała się przez moment, zerkając to na Wildera, to na Jane.

- Pewnie... ale chcę znowu siedzieć z przodu!

Gdy dziewczyna pośpiesznie usadowiła się na przednim siedzeniu, Jane przyznała w duchu, że życzenie Ginny wybawiło ją z kolejnej kłopotliwej sytuacji.

Dom wyglądał prawie tak, jak Jane go zapamiętała, choć nie była tu od pogrzebu ciotki. Dwupiętrowy budynek w stylu z okresu kolonii holenderskiej, o imponującej - choć skromnej - konstrukcji, był oddalony od ulicy i okolony porośniętym drzewami dziedzińcem. Jane często zatrzymywała się tutaj z matką, głównie w okresach, gdy rodzicielka zmieniała słabo opłacane posady lub kolejnych niezaradnych kochanków. Bezdzienny wuj Robert i ciotka Lenore zawsze chętnie je przyjmowali. Byli zachwyceni obecnością dziecka, które wyraźnie potrzebowało tego, co sami chętnie by mu zapewnili - wychowania w pokoju i miłości.

- Ludzie! To dopiero dom! - wrzeszczała Ginny, gdy Wilder wjechał na podjazd.

- Spójrz, Wilder! Dziedziniec i drzewa!

Jane popatrzyła na nią zaskoczona. Po raz pierwszy widziała, jak Ginny okazuje zainteresowanie czymś więcej niż własnym makijażem.

- Mam miłe wspomnienia związane z tym domem - rzekła miękkim głosem. - Cieszę się, że ci się podoba.

Jej słowa pozostały bez echa. Ginny nie zwracała na nią uwagi wierząc się, by podążyć za Wilderem, który właśnie wysiadł z samochodu. Jane, wzdychając, również wysiadła i weszła po schodach na werandę. Przerzuciła zawartość swojej torebki, szukając kluczy od domu. Wilder łagodnie odsunął Ginny na bok, by Jane mogła otworzyć drzwi.

Weszli do środka. Dom, zbudowany na przelomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, posiadał cechy charakterystyczne dla architektury tego okresu: wysoki sufit, ogromne pokoje i prowadzące na piętro

solidne schody z orzecha, ozdobione wyrafinowanymi rzeźbieniami. Szeroki parapet, na którym można było siedzieć, tworzył przytulny kącik w ogromnym oknie gościnnego pokoju.

- To cudowny dom - rzekł cicho Wilder, stając blisko Jane. Odwróciła wzrok od mahoniowych stołów.

- Tak... ale wygląda na to, że wuj Bert nie sprzątał tu od czasu, gdy umarła ciotka. Wszędzie pełno kurzu. Tylko spójrz na ten perski dywan - trzeba go koniecznie odkurzyć.

Jane ze smutkiem pokiwała głową.

- Boję się nawet zaglądać do kuchni. Co będzie, jeśli wuj zostawił tam stertę naczyń sięgającą do sufitu? - Zaśmiała się nerwowo. Czyż on nie wiedział, że trzeba wiele zrobić, by dało się tu mieszkać?

Położył lekko dłoń na jej ramieniu.

- Nie jest tak źle. Przecież możemy uporać się z tym wszyscy, żeby było tak, jak chcesz.

Cierpliwość Wildera zaskoczyła ją i ukoiliła jej stargane nerwy. Jane zdała sobie sprawę, że jej rozdrażnienie ma niewiele wspólnego ze stanem domu wuja. Brało się raczej stąd, że nagle ogarnęła ją panika na myśl o konieczności zamieszkania z Wilderem i Ginny pod jednym dachem.

- Masz rację - przyznała. - Chyba jestem po prostu zmęczona.

- To był ciężki dzień. Posłuchaj, teraz rozpakuję nasz bagaż i zakupy. Przygotujemy z Gin obiad, a potem wszyscy odpoczniemy.

Jane uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Byłoby miło. Dziękuję. Zrobił do niej oko.

- W porządku. Jeśli znajdę dostatecznie duży fartuch, to włożę go na siebie, żeby wyglądać po domowemu. Zrobię to dla ciebie. Zgoda?

Jane, wyobrażając sobie Wildera ubranego w ozdobiony falbankami fartuszek cioci Lenore, opinający jego muskularne uda, wcale nie czuła się uspokojona. Wręcz przeciwnie, widok ten podniecał ją erotycznie. Klócił się bowiem z wyobrażeniem mężczyzny „udomowionego”.

- Och tak, zgoda, Wilderze - skłamała.

- Świetnie. Rozejrzyj się jeszcze trochę po domu, a ja wypakuję w tym czasie nasze rzeczy z przyczepy.

Zaledwie Wilder wyszedł za próg pokoju, Jane ciężko opadła na fotel. Strach ścisnął jej gardło, a serce łomotało jak szalone.

Rozdział II

Dwie godziny później przywieziono cały jej bagaż. Była właśnie zajęta odkurzaniem sypialni na piętrze, gdy Wilder przyniósł walizki.

- Obiad prawie gotowy. Może zjemy najpierw, a potem się rozpakujesz?

- Tak... oczywiście.

Dotkliwie odczuwała obecność mężczyzny, który obezwładniał jej zmysły. Rozgrzała się pracując, więc zdjęła blezer i rozpięła pierwsze trzy guziki przezroczystej bluzki. Teraz niezdarnie przykrywała dłonią nagie ciało w miejscu, gdzie rozchylił się materiał.

- Zaraz zejść.

Wilder nawet nie drgnął. Wpatrywał się w nią. Jego wzrok przykuła miękka krągłość piersi Jane.

- Myślę, że jest ci do twarzy w domowym stroju, Walker - odezwał się niskim, zmysłowym głosem. - Wyglądasz na bardziej wypoczętą.

„Wypoczętą”? Chyba żartował! Jane doznawała obecnie wszystkich uczuć z wyjątkiem odprężenia. Nie mogła pojąć takiego stanu rzeczy. Nawet we wczesnej fazie związku z Howardem, który przez cały czas zapewniał, że kocha ją nad życie, nie doświadczyła choćby części tego nadzwyczajnego ciepła, które rozgrzewało ją w tej chwili.

- Jest mi... było mi... gorąco - odparła słabym głosem.

- Tak... rzeczywiście, ciepło tu na górze. Temperatura rośnie, rozumiesz... - Chrząknął, wciskając dłonie do kieszeni.

- Och... Tak. Pamiętam, że kiedyś uczyłam się o tym na lekcji fizyki.

Z ogromnym wysiłkiem oderwała wzrok od namacalnego dowodu podniecenia Wildera.

- Pewna jesteś, że nie było to na biologii? - zapytał perfidnie. Jane zacisnęła palce na bluzce.

- Nie wiem... nie interesowałam się takimi rzeczami... wtedy. - Uśmiechnęła się nerwowo.

- Ja też nie. Jakie to dziwne, że doświadczenie w codziennych sytuacjach tego, o czym uczono nas w szkole sprawia, że nagle sobie o niej przypominamy. Czyż nie?

Jane skinęła głową bojąc się, że straciła głos. Czowała, że nogi ma jak z waty. W gardle jej zaschło.

- Dobrze... zejdź zaraz na dół, proszę. Nie mogę dłużej czekać. Nie panuję już nad swoim apetytem.

Błyskawicznie odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Jane zmuszała się do zjedzenia obiadu. Drażniła ją Ginny, nie odpowiadająca na zadawane jej przy stole pytania. Poza tym Jane doświadczała dziwnych sensacji żołądkowych, jakby połknęła kamień. Zaczęło się to od rozmowy z Wilderem w sypialni. Potem sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Okazało się bowiem, że Ginny i Wilder są najgorszymi kucharzami na świecie. Steki były przesmażone, pieczone ziemniaki spalone, a sałatka wyglądała raczej jak skoszona trawa niż jadalna warzywna przystawka.

Wilder i Ginny jedli ze smakiem. Opróżnili talerze do czysta.

Jane przełknęła zaledwie kilka kęsów.

- Czas na deser - oznajmiła Ginny, zbierając w biegu talerze, by zanieść je do zlewu.

- Ginny - Wilder upomniał ją stanowczo. - Walker jeszcze nie skończyła jeść. Powinniśmy zaczekać.

Ginny wróciła do stołu, posyłając w kierunku Jane pogardliwe spojrzenie.

- Je jak ptaszek - rzuciła w kierunku Wildera.

- Naprawdę, nie jestem wcale głodna-wyjaśniła Jane.- Proszę, zjedzcie deser. Ja nie chcę swojego.

Ginny podbiegła przez kuchnię do spiżarni. Gdy otworzyła drzwiczki, Jane nie mogła uwierzyć własnym oczom. Na półkach stało tylko kilka puszek z jedzeniem. Resztę miejsca wypełniały chipsy, precelki, puszki z wodą sodową, ciasteczka i cały asortyment gotowej żywności.

- Mój Boże! Skąd się to wszystko wzięło? Czy wuj Bert jadł takie rzeczy przez cały ostatni rok?

Ginny odwróciła się, trzymając w rękach paczkę różowych, pulchnych przysmaków. Sam ich widok wywoływał mdłości.

- Wilder kupił to razem ze mną w supermarkecie - odparowała. - Kupiliśmy to, co najbardziej lubimy.

- Nie nazwałabym tego jedzeniem. - Jane była wyraźnie przerażona. - Nie uczono cię w szkole, jak należy się odżywiać?

Ginny wruszyła ramionami.

- Nie pamiętam.

Jane miała ochotę zadać dziewczynie więcej pytań. Czy w ogóle chodziła do szkoły średniej? Czy ma gdzieś rodzinę? Jeśli nie, to jak radziła sobie, zanim związała się z Wilderem? Bolesne wspomnienia wczesnej młodości uprzytomniły Jane, że często istnieją powody, dla których ktoś nie chce rozmawiać o środowisku, z którego wyszedł.

- Mam siedemnaście lat, a właściwie prawie osiemnaście - oświadczyła Ginny - więc jestem wystarczająco dorosła, by wiedzieć, co chcę jeść.

- Chęć i potrzeba to dwie różne rzeczy. Powinnaś bardziej dbać o własne zdrowie, a możesz to uczynić przez właściwe odżywianie się. Pewnego dnia z pewnością zostaniesz matką i będziesz musiała nauczyć swoje dzieci, jak mają się odżywiać, jak odpoczywać... Wyglądało na to, że Wilder czuł się winny za zaniedbanie kontroli nad sposobem odżywiania się Ginny.

- Powinienem mieć więcej do powiedzenia w tej sprawie, Gin. Oboje przyzwyczailiśmy się żyć na luzie - jeść to, co pod ęką, siedzieć długo po nocach... Walker kupiła owoce. Może zje-ny je, zamiast tuczyć się rafinowanym cukrem?

Ginny spojrzała na niego tak, jakby poprosił ją, by zjadła robaki.

- Wilder, ona wszystko psuje! Nigdy przedtem nie kazałeś mi tego jeść! Szczerze mówiąc, zanim ona weszła nam w drogę, nieźle nam było ze sobą!

Ginny wybiegła z pokoju, rzucając na podłogę paczkę różowych puszków. Gdy biegła po schodach, odgłos jej kroków rozlegał się w całym domu.

Jane odsunęła talerz.

- Przykro mi, Wilderze. Sądzę, że nie powinnam była się wtrącać.

- Nie. Nie przepraszaj. Masz całkowitą rację. Obawiam się, że niewiele wiem o tym, jak nauczyć dzieci prawidłowego odżywiania. A poza tym długo mieszkałem samotnie i także nabyłem kilku raczej złych nawyków, jeśli chodzi o tryb życia... - Wzruszył ramionami. - Ginny potrzebna jest pomoc w wielu innych sprawach. Czy pomożesz mi nauczyć ją paru rzeczy?

Jane popierała go całym sercem. Spostrzegła coś niewiarygodnie ujmującego w tym, że dojrzały mężczyzna przyznaje, że nie zjadł wszystkich rozumów i prosi o radę... Położyła swoją dłoń a dłoni Wildera, nie zastanawiając się nad konsekwencjami tego gestu.

- Tak. Spróbuję porozumieć się z Ginny. Naprawdę. Ale potrzebuję twojego wsparcia.

- Masz je. Chcę dać Ginny życiową szansę.

Skinęła głową. Uprzymiotniała sobie po raz kolejny różnorodność uczuć, jakich doznawała... współczucie, szacunek, pożądanie...

- Czy Ginny ma rodziców?

- Tak, na dobrą sprawę ma. Matkę i ojczyma w Kalifornii, gdy zetknąłem się z nią cztery miesiące temu, kradła w sklepie, którego tymczasowo pilnowałem. Wybroniłem ją od zarzutu kradzieży i nakłoniłem, by pozwoliła mi zadzwonić do swoich rodziców.

Wilder odwrócił wzrok i zaczął wpatrywać się w przestrzeń. Splótł swe palce z palcami Jane.

Po ramieniu dziewczyny przebiegły dreszcze. Zapomniała na chwilę o wszystkim. Potem z trudem powróciła myślami do tematu rozmowy.

- L..? Nie. Pozwól mi zgadywać. Rodzice Ginny nie chcieli jej z powrotem.

Wilder z powagą skinął głową.

- Tak. Powiedzieli mi, że stale ucieka z domu, że przysparza im jedynie kłopotów i że zgadzają się, bym przekazał ją władzom, które wymierzą jej karę.

Jane pochyliła głowę.

- O mój Boże! Wilder...

Tylko tyle zdołała wykrztusić. Ginny mogła znaleźć się w tak samo trudnym położeniu jak niegdyś ona. Jane miała jednak dużo szczęścia i samozaparcia.

Nigdy nie dowiedziała się kim był jej prawdziwy ojciec. Przez ich skromny dom w Chicago przewinęło się wielu ojczymów, którzy razem z jej matką zaniebdywali wychowanie przedwcześnie dojrzałego, żywo reagującego na brak stabilizacji w swoim życiu, dziecka. Jane gotowała, sprzątała bałagan pozostawiony przez matkę i jej kochanków, wyklócała się z gospodarzami, gdy przychodzili odebrać zaległy czynsz... Wreszcie, w wieku szesnastu lat, zmęczona i sfrustrowana rolą opiekunki dorosłych ludzi, Jane uciekła i zamieszkała u wuja Berta. Zanim jej matka zadzwoniła, aby sprawdzić, co się z nią dzieje, minął miesiąc.

Wilder niby od niechcenia odwrócił dłoń tak, by ręka Jane spoczęła we wnętrzu jego dłoni.

- Chcę ci podziękować za zrozumienie. Życie Ginny nie było do tej pory bajką. To lekko stuknięty dzieciak, ale postanowiłem, że wpoję w nią dobre zasady, ile to będzie możliwe. Głównie dlatego przyjąłem propozycję Berta. Mount Haven jest mniejsze niż

Nowy Jork, bardziej przypomina przedmieście. Mam przecucie, że Gin lepiej się tu zadomowi.

- Rozumiem - odparła Jane. Naprawdę go rozumiała. Gdyby nie jej wujostwo, ona sama mogła przecież stać się wrogo usposobioną do

świata nastolatką, jaką była Ginny. Jane postanowiła, że wykaże więcej cierpliwości i spróbuje skłonić dziewczynę do brania z niej przykładu.

- Doceniam to, że dzielisz się ze mną tym wszystkim, Wilderze. Bardzo mi to pomoże w kontaktach z Ginny.

Wilder spoglądał rozmarzonym wzrokiem.

- Wiesz, nie jestem facetem, który patrzy na świat przez różowe okulary. Ale mocno wierzę w to, że można pomóc dzieciakom takim jak Ginny, jeśli zapewni się im odpowiednią opiekę. Przeżyła jeden paskudny wstrząs po drugim... Zresztą, chyba czuję się trochę odpowiedzialny za to, by przekazać jej przynajmniej część tych wartości i ciepła, które otrzymałem od moich rodziców.

- Podziwiam twoje podejście - odparła cicho Jane. „J ciebie Wilderze” - dodała w duchu. Właśnie stała się świadkiem kolejnej odsłony: Wilder udowodnił, że potrafi być... wrażliwy. Był niezwykłym człowiekiem, pomimo swych oczywistych wad. Jane zastanawiała się, czy kiedykolwiek pozna całą prawdę o nim. Przymknęła ze znużenia powieki.

Otworzyła szeroko oczy, gdy Wilder podniósł jej rękę do ust

- Ginny ma tylko mnie... nas. Mam nadzieję, że nie wpakuje się w żadne kłopoty, jeśli damy jej ciepło rodzinne. Poza tym, powstrzymają od tego odpowiedzialność w pracy, gdzie będę miał ją stale na oku.

Wilder powoli oswoił dłoń swojej współpracownicy, lecz nadal patrzył jej w oczy.

Jane ledwo mogła pozbierać myśli, była wstrząśnięta jego intymnym gestem i zauroczona głębokim spojrzeniem. Problem Ginny wydał się nagle odległy, a jej własne zmęczenie mało ważne.

- Ginny mnie nie lubi - odezwała się niepewnym głosem. - Zdobycie jej zaufania może zabrać mi sporo czasu. Podejrzewam, że uważa mnie za... kogoś w rodzaju pretendenci do twoich uczuć, [czyli swoją potencjalną rywalkę.

- Po prostu damy jej jasno do zrozumienia, że nie ma konkurencji. A teraz może pójdziesz na górę, żeby trochę odpocząć? Ja zajmę się zmywaniem, a potem pójde do sypialni. Aha, przy okazji, wybrałem sobie pokój po drugiej stronie korytarza, naprzeciwko ciebie. Postaram się nie zachowywać zbyt głośno.

- A gdzie... gdzie będzie Ginny? - spytała Jane, wstając od stołu.

Wilder ze stertą naczyń ruszył w kierunku zlewu.

- Chce mieć sypialnię na strychu, żeby spokojnie słuchać taśm. Wtedy żadne z nas nie będzie jej nagabywać, żeby ściszyła magnetofon. W porządku?

Kiwnęła głową w milczeniu i wyszła z pokoju. Doszła już do połowy schodów, gdy nagle coś jej się przypomniało. Co właściwie Wilder miał na myśli mówiąc „nie ma konkurencji?” Chodziło mu o nią czy o Ginny? A może po prostu chodziło mu o to, że jego uczucia dla nich obu są zbyt różne, by dać się porównać? Jeśli tak, to co o niej myślał teraz, kiedy spędzili ostatnie kilka godzin we dwoje? Czy odczuwał, jak ona, pożądanie? Czy pragnął jedynie namówić ją, by zaopiekowała się Ginny? Czy chociaż ją polubił?

Przyciskając palce do bolącej skroni, Jane pobiegła schodami na górę. Zamknęła z pośpiechem drzwi do swojej sypialni, jakby chciała przez to uwolnić się od wewnętrznego zamętu i wątpliwości.

RS

Rozdział III

Tej nocy Jane nie mogła zasnąć.

Leżąc w łóżku, ustawicznie wracała myślami do poobiedniej rozmowy. Im dłużej ją rozważała, tym lepiej uświadamiała sobie, że nie wolno jej wiązać się bliżej ani z Ginny, ani z Wilderem, mimo całego autentyzmu i intensywności obudzonych przez niego uczuć. Chociaż podobał się jej - chwilami nawet go podziwiała - był człowiekiem ulepionym z innej gliny. Reagował spontanicznie - podejrzewała, że jest tak samo namiętny także w innych sferach życia. Jej charakter nie pozwalał natomiast na równie gorącą odpowiedź. A przynajmniej nie taką, jakiej oczekiwał Wilder.

Wolała, by jej życiem kierowały ostrożność i porządek. Wilder zupełnie na odwrót. Działał impulsywnie, bez żadnych zahamowań. Był najbardziej bezpośrednią osobą, jaką знаła. Taki mężczyzna nigdy nie znajdzie szczęścia przy kobiecie o jej charakterze. Poza tym, nie miała zupełnie pojęcia, czego mógł od niej chcieć i na jak długo. Możliwe, że pragnął jedynie przelotnego romansu. A może poszukiwał mamusi dla Ginny. W każdym razie Jane przeczuwała, że i tak skończy się na tym, że Wilder złamie jej serce. A wtedy, jak mieliby pracować razem? Powtarzała sobie, że teraz zajmie się wyłącznie firmą, nie potrzeba jej miłosnych komplikacji.

A co do Ginny... z pewnością wiele przeżyła i Jane współczuła jej szczerze. Dziewczyna zbyt przypominała jej własne lata dogrzewania, a to bolało. Podstawowa różnica między nimi dwiema polegała na tym, że Ginny wyrażała swój bunt poprzez różne ekscesy, którymi usiłowała zwrócić na siebie uwagę otoczenia, natomiast Jane - będąc w jej wieku - przyjęta postawę osoby dorosłej, poważnie podchodzącej do życia. Wciąż jeszcze odczuwała skutki swego trudnego dzieciństwa. W obu przypadkach przyczyną takiego stanu meczy był brak stabilizacji domowej.

Jane miała ochotę podzielić się z Ginny swoimi refleksjami, nie chciała jednak ożywiać przeszłości. Zbyt wiele czasu poświęciła na to, by uporać się z dręczącymi ją wspomnieniami. Doszła więc w końcu do wniosku, że jedyne, co może teraz uczynić, to nie zwracać uwagi na złe zachowanie Ginny i mieć nadzieję, że prędzej czy później dziewczyna zacznie rozsądnie patrzeć na życie.

Następnego dnia Jane rzuciła się w wir ciężkiej pracy. Pragnęła stworzyć bezpieczny dystans pomiędzy sobą a pozostałą dwójką.

Sporządziła rozkład zajęć związanych z gotowaniem i sprzątaniami i powiesiła go na ścianie w kuchni. W biurze zajęła się wieloma sprawami, które według niej trzeba było uregulować przed otwarciem firmy dla klientów. Następnie przydzieliła każdemu z ich trójki inne obowiązki, tak że mieli bardzo mało czasu i okazji na osobiste kontakty, które według Jane są warunkiem udanej i długotrwałej współpracy.

Późnym popołudniem, pod koniec tygodnia, wszyscy troje pracowali w agencji. Zmęczona Jane próbowała za pomocą szczotki na kiju usunąć pajęczynę z rogu sufitu. Zerkając przy tym na pokój, zauważyła, że Wilder odłożył na bok wałek malarski i przyglądał się rezultatom swojej pracy.

- Chyba miałeś rację - przyznał, odwracając się do niej. - Rzeczywiście, gdy pomalowaliśmy te dwie ściany, biuro od razu zaczęło lepiej wyglądać.

Jane skinęła głową z zadowoleniem.

- Tak... naprawdę uważam, że jasna kość słoniowa doskonale współgra z kolorem mahoni. Przedtem było tu stanowczo za ciemno.

- Ee tam... mnie się to nie podoba - oświadczyła Ginny, wymachując miotłką z piór w okolicy szafek na książki. - Tutaj przydałyby się ostre kolory: pomarańcz, czerwień, różne odcienie żółtego... może nawet ze dwa plakaty.

- Gin - przerwał jej Wilder. - Wierz mi, kochanie, że jeśli chodzi o kolory, to wystarczysz już ty sama.

Ginny, chichocząc, wykonała błyskawiczny obrót, by zaprezentować swój strój. Jane po raz kolejny zrozumiała, jak trudno jej będzie przekonać dziewczynę, by ubierała się tak, jak powinna ubierać się zawodowa sekretarka. Estrawancka nastolatka miała dość osobliwy gust. Dzisiaj, na przykład, włożyła na siebie jaskrawo-pomarańczowy sweter ściągnięty mocno szerokim skórzanym pasem, przy którym kołysało się kilka bajecznie kolorowych, plastikowych krążków. Suto marszczone, tureckie pantalone miały barwę wścieklej purpury. Żółte, spuszczone niedbale skarpetki Ginny wyłożyła na fioletowe botki. No i włosy. Odstawały równo wokół głowy, tworząc osobliwe aureolę. Kilkucentymetrowej długości, sterczące kosmyki pokryte były - według Jane - co najmniej kilogramem lakieru.

- Cóż, jeśli nie mogę mieć dobrego humoru, to chociaż niech wyglądam tak, jakbym go miała. Całymi dniami tylko praca, praca, praca! Jestem zmęczona.

Ginny opadła bez życia na krzesło, odrzucając głowę na oparcie.

- Taaaka zmęczona - powtórzyła.

Jane zgromiła ją spojrzeniem. Dziewczyna nie zrobiła nawet jednej dziesiątej tego, co ona albo - jeśli chodzi o ścisłość - tego, co wykonał Wilder. Tak naprawdę, to podjął się niemal wszystkich zadań po to, by nadzorować pracę Ginny. Policzywszy po cichu do dziesięciu, Jane odstawiła szczotkę. Zmęczona opadła na fotel. Przypomniała sobie, że wcześniej postanowiła nie zwracać uwagi na biadolenie Ginny, która najwyraźniej szukała zaczepki.

Wilder spojrzął na Ginny, uniósłszy w górę krzaczastą brew.

- Uczynisz nam prawdziwą przysługę, jeśli teraz trochę odpoczniesz. Może zrobisz zakupy?

Ginny, choć niedawno całkowicie wycieńczona, ożywiła się w magiczny sposób. Zerwała się z krzesła, podskoczyła z rozpromienioną twarzą do Wildera i wzięła od niego banknot. Za drzwiami biura wykonała jeszcze kilka teatralnych ruchów. Po jej wyjściu Jane ogarnęło uczucie ulgi.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się słabo do Wildera. - Naprawdę starałam się nie rozdrażnić jej bardziej. Takie chwile wytchnienia pomogą mi umocnić się w postanowieniu.

Wilder skinął głową, podchodząc do krzesła, na którym siedziała.

- Tak... wiem... Powiem ci, czego potrzebujesz, Walker - dobrego masażu. Jesteś za bardzo spięta.

Dotyk jego rąk był ostatnią rzeczą, której potrzebowała!

- O Boże, nie. Naprawdę. Czuję się świetnie. Poza tym, mamy jeszcze dużo pracy. - Chciała podnieść się z krzesła, ale Wilder posadził ją lekko z powrotem.

- Odpręż się... Pochyl się trochę do przodu. No chodź, Walker, przecież nie gryzę.

Jane, trochę wbrew samej sobie, pochyliła głowę.

Poczuła, jak Wilder dotyka swymi mocnymi dłońmi napiętych mięśni jej barków. Z początku ów dotyk tak ją przejmował, że oddychała nierówno, odczuwając narastanie innego rodzaju napięcia. Już po chwili trochę się jednak rozluźniła. Wilder masował jej ramiona aż ból zastąpiło błogie uczucie odprężenia. Jane westchnęła głęboko.

- Dobrze ci? - spytał. Pochylił się nad nią jeszcze niżej, tak że poczuła jego oddech na szyi.

- Mmmm., cudownie. Gdzie się tego nauczyłeś?

- Robiłem ten masaż matce, gdy mieszkałem w domu. Cierpi od czasu do czasu na powypadkowy uraz nazwany „kręcem”. Podczas ataku

twardnieją i napinają się mięśnie. Stąd mam sporo praktyki w masażu. Często była to jedyna okazja, by mieć mamę tylko dla siebie. W czasie tych krótkich „sesji” odbyliśmy wiele ciekawych rozmów.

Jane przypomniała sobie, jak jej skacowana matka domagała się, by masować jej kark. Nie była to scena równie idylliczna jak ta, którą przedstawił Wilder. Jane nie pamiętała, by kiedykolwiek rozmawiała szczerze z matką, choć tak bardzo tego pragnęła. Po wielu wykrętnych odpowiedziach w stylu: „Jane, jestem zmęczona,” „Mam za dużo własnych problemów, by słuchać o twoich, w dodatku wymyślonych” albo „Jesteś dzieckiem. Jakie masz powody do smutku?” - Jane nauczyła się polegać tylko na sobie i unikać sytuacji, w których musiałaby się uzewnętrznić. Obawiała się, że próbując zwierzyć się matce, zostanie wyśmiana i odrzucona.

- Czy twoi rodzice jeszcze żyją? - spytał z ciekawością Wilder, wprawnymi dłońmi kontynuując masaż.

- Tak... moja matka. W Chicago... Wilder, posłuchaj, czy zadzwoniłeś do tej gazety i zamieściłeś ogłoszenie, że po weekendzie otwieramy biuro dla klientów?

- Tak jak mi poleciłaś... Jesteście blisko ze sobą? Jane znieruchomiała. Nie, na to mu nie pozwoli.

- Nie... Matka jest bardzo lekkomyślna.

- I założę się o ostatniego centa, że właśnie dlatego ty jesteś przeciwieństwem lekkomyślnej kobiety.

- Co to ma znaczyć?

- Chodzi mi tylko o to, że jesteś nadzwyczaj skrupulatna, Walker.

- Z pewnością istnieją gorsze wady.

- Tak... ale jesteś zbyt surowa dla samej siebie, nie uważasz? Przez ostatnie trzy dni nalegałaś, byśmy pracowali w agencji od rana do wieczora. Po powrocie do domu froterowałaś i odkurzałaś wszystko, co miałaś w zasięgu wzroku. O mało co nie wydłubałaś mi zatyczek z uszu wczorajszej nocy.

Jane wcale nie zareagowała śmiechem na ten żart

- Po prostu lubię, gdy... wszystko jest zadbane.

Wilder przesunął palce po jej karku, pieszcząc delikatnie niewielkie wgłębienie. Jane przeszył cudowny, łagodny dreszcz.

- To znaczy, gdy się wszystko układa na swoim miejscu, tak? Szczególnie ludzi. Ale ja jestem, jak to zwykł mawiać mój wuj, „kłopotliwym szczeniakiem, którego trudno utrzymać w jednym miejscu”... A więc... co zamierzasz ze mną uczynić... Walker?

Wilder niespodziewanie dotknął ustami szyi Jane. Delikatnie łaskotał wargami wrażliwe miejsca. Jego krótkie, drobne pocałunki sprawiły, że Jane zapłonęła. Straciła panowanie nad sobą, szumiało jej w głowie. Próbowwała zrozumieć sens słów Wildera, lecz przyspieszone tętno przyprawiało ją o zawrót głowy.

Przez okno wpadało do pokoju popołudniowe słońce, sącząc i się przez szpary nowych żaluzji, które zamocował Wilder. Dwie sylwetki, opromienione strumieniem światła, rzucały cień na świeżo pomalowaną ścianę. Jane wstała gwałtownie. Odwróciła się niezdarnie twarzą do Wildera.

- Co chcesz mi udowodnić? - zapytała, uświadamiając sobie z rozpaczą, że głos jej drży.

Mężczyzna chwycił oparcie krzesła. Zmienił niecierpliwie pozycję. Promienie słońca zdawały się przesuwac razem z nim. Wydawał się jej wyższy, niż był w rzeczywistości.

- Co chcę udowodnić? - powtórzył za nią opryskliwym tonem. - Na początek... że musisz się rozchmurzyć, Walker.

Zrobił krok w jej stronę.

- Potem, że musisz przestać zachowywać się jak przemęczony robot. Nie powinnaś unikać szczerych rozmów ze mną i z Ginny.

Zbliżył się do niej nieco.

- Że spodobałiśmy się sobie od chwili, gdy pierwszy raz weszłaś do tego biura jako głównodowodzący.

Jeszcze jeden krok.

- Że nie powinna odżegnywać się od doświadczenia prawdziwych emocji... gniewu, radości, bólu, obawy. To nie zbrodnia czuć coś... szczególnie pożądanie.

Jednym szybkim ruchem zbliżył się do niej i wziął ją w ramiona.

Przez moment, zanim usta Wildera dotknęły jej ust Jane spojrzała w jego twarz. Oczy mężczyzny, odbijające dotąd blask słońca, pociemniały i wypełniły się taką żądzą, jaką wcześniej widywała jedynie w oczach gwiazd filmowych. Potem Wilder pocałował ją mocno, jedną dłonią przytrzymując jej podbródek, drugą zaś przyciskając jej ciało do swej pobudzonej męskości. Wilder był znacznie wyższy od Jane, więc opór był bezcelowy, nawet gdyby próbowała walczyć. Wcale tego jednak nie chciała. Poddała się rozkosznemu oszołomieniu. Ramiona same uniosły się w górę, by otoczyć szyję mężczyzny. Ciało Jane ogarnęło cudowne ciepło, gdy poczuła go tak blisko.

Nie miała pojęcia, jak długo trwał ów pocałunek, lecz kiedy się skończył, z trudem mogła złapać oddech. Wilder cofnął się, ale nadal trzymał dłonie na jej ramionach. Jane wpatrywała się w niego. Był niewiarygodnie wspaniały. Puścił ją. Wciąż jeszcze oszołomiona szczęściem, z trudem stała na własnych nogach. Nie przychodziło jej na myśl nic, co mogłaby powiedzieć, więc to, co wymknęło się z jej ust, pochodziło z podświadomości.

- Je... Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie pocałował.

W oczach Wildera, ciągle jeszcze pociemniałych od żądz, pojawiło się zaskoczenie.

Jane siłą woli powstrzymała się od przyciśnięcia dłoni do ust. Nie mogła uwierzyć, że zdobyła się na to, by powiedzieć głośno coś takiego. Ona, która zazwyczaj starannie dobierała słowa; która, choć w głębi duszy ubolewała nad brakiem bogatych doświadczeń erotycznych, nigdy nie przyznałaby się do tego nikomu; ona, której dokuczano w Lockwood Agency przezywając ją „Panną Nienaganną”, co było dość złośliwym określeniem jej staranności i perfekcji w działaniu. Zawstydzona, oderwała wzrok od Wildera.

- Ale przecież byłaś mężatką... prawda? - W jego głosie nie było już zwykłej pewności siebie.

Jane założyła ręce na piersi, przyciskając je do siebie tak mocno, że aż zabolą ją kciuki.

- T... Tak.

- No i...? Nie rozumiem. - Wilder naprawdę był zdziwiony, któżby nie był? Żyjemy w dwudziestym wieku, Jane ma trzydzieści lat. Jak miała wyjaśnić Wilderowi, że w dzieciństwie musiała przyglądać się przerażającym ekscesom własnej matki z mężczyznami i że dlatego własne życie erotyczne ograniczyła do kilku raczej beznamiętnych randek z mężczyznami o wiele od niej starszymi, takimi jak Howard. Wybierała takich, wobec których mogła zachować bezpieczny uczuciowy dystans, coś, czego nigdy nie udało się osiągnąć jej matce, miotającej się wciąż między jedną a drugą „miłością” swego życia...

- Nie... nie powinnam mówić... tego, co powiedziałam... - bąknęła.

- Ale czy to prawda? - badał ją delikatnie Wilder.

Jane nigdy nie potrafiła otwarcie kłamać. Napawały ją odrazą nieustanne kłamstwa, którymi jej matka raziła każdego, nawet swego brata Berta.

- ... Obawiam się, że to prawda.

Poczucie dumy zwyciężyło w końcu. Jane uniosła do góry podbródek w buntowniczym geście.

- Tak. To prawda.

Wilder z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Jak to się stało, u licha, że wyszłaś za faceta, który... - Przerwał, przeczesując palcami włosy. - Który nie wiedział nawet, jak się obchodzić z piękną i zmysłową kobietą?

Jane zamrużyła powiekami. Więc Wilder uważał ją za piękną i zmysłową? Mężczyzna, który z całą pewnością mógł mieć każdą ponętą kobietę, jakiej zapragnął? Kiedy widywała inne kobiety, uważane za pociągające, zawsze uświadamiała sobie, że nie dorównuje im w niczym. Okazywały uczucia równie beztrosko jak swe skąpo odziane ciała. Były otwarte, zachęcające, żądne mocnych wrażeń, których Jane się lękała.

- Walker?

„Opowiedz mu, Jane, może wtedy przestanie tak cię naciskać”.

- Howard był... o wiele starszy ode mnie, ale nigdy przedtem nie miał żony... Wydał mi się taki opiekuńczy i kochający. Kiedy go poznałam, potrzebowałam oparcia. Howard okazał się bardzo... miły.

Jane rozplotła dłonie i bezradnie opuściła ręce wzdłuż ciała. Chciała za wszelką cenę wyglądać na opanowaną, tak by jej wyjaśnienia zabrzmiały rzeczowo. Lecz wyraz bystrych oczu Wildera powiedział jej, że mężczyzna nie nabierze się na jej sztuczki.

- Moja damo, każdy potrzebuje opieki i miłości. Ale nie każdy decyduje się na małżeństwo z pierwszą lepszą osobą, która złoży mu miłą propozycję.

Cholerny Wilder! Był pierwszym od długiego czasu człowiekiem, który potrafił obudzić w niej spontaniczne uczucia. Jane zdenerwowała się tak bardzo, że jej oddech stał się głośny i ciężki.

- Obrażasz mnie! Nie o to chodziło, ale ty przecież nie rozumiesz okoliczności, w jakich doszło do tego małżeństwa. Poza tym, to nie twój interes! Moje życie osobiste nie dotyczy ciebie! -Wykonała dłonią nietypowy dla niej, teatralny gest

Wilder błyskawicznym ruchem złapał czubki jej palców.

- To jest mój interes, skoro oboje chcemy być dla siebie kimś* więcej niż tylko współwłaścicielami firmy. I nie staraj się, Walker, temu zaprzeczyć. Ty też czujesz ten płomień uczucia między nami.

- Proszę... - Utknęła, nie wiedząc, co powiedzieć. Paliła ją dłoń dotykana przez Wildera. - Aleja nie chcę tego czuć!

Spojrzał na nią łagodniej, lecz nie uwolnił jej ręki z uścisku.

- Rozumiem. Pragnę tylko wiedzieć, dlaczego...

Jane zagryzła wargę, odwracając wzrok. Wilder ujął dłonią jej podbródek i lekko odwrócił ku sobie twarz kobiety.

- Walker, żeby poradzić sobie z terażniejszością, trzeba najpierw rozprawić się z przeszłością. A wszystko wskazuje na to, że coś, co działo się z tobą, zanim się spotkaliśmy, ma wpływ na twój pełen rezerwy stosunek do Ginny i do mnie... Po naszej rozmowie, tamtego pierwszego wieczoru, spodziewałem się, że lepiej się poznamy, ale ty celowo tak ułożyłaś nam program zajęć, żebyśmy nie mieli do tego okazji. Żywiłem też nadzieję, że spróbujesz zaprzyjaźnić się z Ginny... nawet gdyby oznaczało to bolesne konfrontacje... a ty zamiast tego, po prostu nie zwracasz na nią uwagi. Kochanie, ta agencja to niewielkie przedsięwzięcie. W domu Berta zamieszkamy tylko we troje. To wszystko z konieczności zbliża nas do siebie.

- Można pracować i mieszkać z ludźmi bez spoufalania się z nimi - mruknęła. Zbyt intensywnie odczuwała bliskość jego twarzy pochylonej nad swoją.

- To prawda, w niektórych przypadkach. Ale nas to nie dotyczy. Jane próbowała jeszcze się bronić, usiłując zachować opanowany głos.

- O ile pamiętam, to ty mówiłeś, żeby każdy pilnował swoich spraw. Powiedziałeś to pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy.

„Jak na to zareaguje?” - zastanawiała się wzburzona. Wilder powoli zdjął dłoń z podbródka Jane, potem uwolnił jej palce. Podeszedł do swojego biurka, zapalił cygaro i zwinnie usadowił się na rogu blatu. Jane czekała, aż mężczyzna przemówi, lecz on milczał. Wbił w nią wzrok, zaciągał się płytko, po czym gwałtownie wypuszczał dym. Nie wiedziała, czy znów zastanawia się nad nią, czy próbuje zebrać słowa. A może był po prostu wściekły. Nie miała pojęcia, co ze sobą zrobić. Usiadła za swoim nowym biurkiem i zajęła się przekładaniem ołówków w szufladzie.

- Myślałem na początku, że to będzie możliwe - odezwał się nagle.

Jane podniosła wzrok. Zaniepokoiła ją nuta powagi w jego głosie, coś na co nigdy przedtem się nie zdobył.

- Myślałem tak jeszcze jakiś czas po tym, jak po raz pierwszy wpadłaś do biura niczym burza. Ale później, tamtego wieczoru... gdy rozmawialiśmy po kolacji... wiedziałem, że nie możemy zająć się wyłącznie swoimi sprawami.

Jane zamknęła szufladę.

- Dlaczego?

Wilder zgasił nerwowo cygaro.

- Dlatego że... przez kilka chwil przestałaś się kontrolować i wówczas zobaczyłem prawdziwą Jane... Kobiętę, która pragnie się wyzwolić... Kobiętę, która czuje, współczuje, kocha... Kobiętę, która nie ukrywa się za tą szczelną zasłoną chłodu i perfekcji, za barierą starannie dobranych słów. I naprawdę spodobało mi się to, co zobaczyłem.

Jane wstała, przytrzymując się brzegu biurka.

- Ty... ty nie wiesz, jaka...

Wilder szybko włożył kurtkę. Jednym mocnym szarpnięciem zasunął suwak i ruszył w stronę drzwi. Chwytnąjąc za klamkę, odwrócił się jeszcze ku Jane.

- W porządku, Walker. Nie wiem, jaka jesteś, bo mi na to nie pozwalasz. Chyba więc będziemy musieli pilnować jedynie własnych spraw... ale gdybyś kiedyś zmieniła zdanie, to krzyknij do mnie, gdy będę w kuchni. Mam tam dyżur w środy.

Pośpiesznie wyszedł z biura. Drzwi zamknęły się za nim z hałasem.

Rozdział IV

Jane wysiadła z windy i kulejąc podążyła korytarzem w stronę drzwi agencji. Żałowała, że nie jest typem kobiety, która zawsze i wszędzie bez skrępowania potrafi zrzucić z nóg buty. Bolały ją stopy. Przez ostatnie dwa tygodnie zajmowała się sprawą, którą uważała za stratę własnego czasu i pieniędzy klienta. Otóż właściciel Double Dip Ice Cream Plant utrzymywał, że jego była - niezadowolona z posady - pracowniczka dokonała sabotażu firmy, sprzedając największemu rywalowi wytwórni tajemnice handlowe.

Z tego właśnie powodu Jane spędzała ostatnie dni na sumiennym śledzeniu tej kobiety, podczas gdy tamta robiła zakupy w sklepach z sezonową obniżką cen, spożywała obiady w tanich barach i próbowała poderwać mężczyzn w każdym parku Mount Haven. Jak dotąd podejrzana nie zjadła nawet jednego loda, nie mówiąc już o tym, by przeszła obok głównego konkurenta Double Dip.

Zbliżając się do drzwi agencji, Jane usłyszała podniesione głosy. Jeden z nich był niewątpliwie głosem Ginny. Drugi także należał do kobiety, tyle że starszej i mówiącej ze szczególnym akcentem. Jane prędko weszła do środka. Ginny pochłonięta była ożywioną rozmową z niską, przysadzistą kobietą pod sześćdziesiątkę, ubraną w czarny płaszcz i czarny filcowy kapelusz. Wilder siedział ze stopami opartymi o blat biurka. Zdawał się być całkowicie zajęty czytaniem gazety.

- Tak - mówiła Ginny. - Wiem, o co pani chodzi. Mój stary też tak postępował z moją matką. Oczywiście, ona na to zasługiwała, a pani nie. W każdym razie, gdy tylko będę mogła pani por móc i dać mu szkołę, zaraz to zrobię.

Jane złowrogo chrząknęła, patrząc na Wildera, który nawet nie zadał sobie trudu, by wyrzeć zza gazety. Była to kropla, która przepełniła kielich. Jane wiedziała, że Wilder wciąż się na nią gniewa, ale jak mógł zlekceważyć klienta do tego stopnia, by oddać jego sprawę w ręce Giny. Tego było już za wiele! Zaciśnęła zęby.

- Ginny, czy mogę przez chwilę porozmawiać z tobą na osobności?

Uśmiechnęła się przepraszająco do klientki, która nerwowo machnęła rękami.

Ginny rzuciła Jane jadowite spojrzenie.

- Nie teraz. Jestem zajęta.

- Ginny!

Jane ściągnęła z siebie płaszcz i niedbale rzuciła go w stronę stojącego w przedpokoju wieszaka.

- Ojej, na litość boską.

Ginny podniosła się z krzesła, przekopała stertę magazynów leżących na biurku, gdzie panował okropny bałagan, wcisnęła do rąk klientki kilka numerów jakiegoś miesięcznika.

- Proszę, pani S. Niech pani sobie to przejrzy, zanim nie dowiem się, czego ona chce ode mnie.

Potem zwróciła się do Jane, w której wszystko się gotowało, i wzruszyła ramionami.

- A więc... gdzie chcesz odbyć tę prywatną rozmowę? Na zewnątrz na parapecie?

Jane bez słowa położyła dłoń na ramieniu Ginny i wyprowadziła ją na korytarz. Dziewczyna wyrwała się jednak. Oparła się niedbale o ścianę i zaczęła przyglądać się swoim polakierowanym paznokciom. Jane była wzburzona.

Od czasu, gdy oznajmiła, że każdy będzie pilnował własnych spraw, Wilder stosował tę zasadę co do joty. Nawet nie raczył porozmawiać z nią na temat sprawy, którą właśnie prowadził, choć Jane podejrzewała, że jego zadanie jest o wiele ciekawsze od sprawy, którą sama się zajmowała. Wilder ograniczał się jedynie do wymiany konwencjonalnych grzeczności. W konsekwencji Ginny, naśladowując go we wszystkim, lekceważyła Jane, gdy ta usiłowała nauczyć ją profesjonalizmu w pracy, a także w sposobie ubierania się. Cała ta sytuacja doprowadzała Jane do szaleństwa, lecz mimo to dziewczyna nadal starała się za wszelką cenę odnosić do Wildera i Ginny powściągliwie i uprzejmie, tak by nie domyślili się, jak ją denerwują. Tym jednak razem nie mogła już dłużej kryć swoich uczuć. Zresztą, prędzej czy później musiał nastąpić wybuch.

- A więc... będziemy rozmawiać czy nie? - Zaczęła Ginny.

- Ginny, jesteś wyjątkowo niegrzeczna! - upomniała ją Jane niebezpiecznie podniesionym głosem. - Zrobiłam, co mogłam, z Wilderem i z tobą. On wcale nie konsultuje się ze mną w sprawach zawodowych, a ty jak widać w ogóle nie przejmujesz się moimi uwagami dotyczącymi twego ubioru. Nadal wyglądasz w pracy jak punkowa. Malujesz paznokcie przy biurku, nie umiesz dobrze zapisać, kto i po co do mnie dzwonił, a napisanie listu na maszynie zajmuje ci cały dzień! Ale teraz... - przerwała w pół słowa, by powstrzymać się od krzyku. - Teraz przesłaś sama siebie! Nie masz licencji prywatnego detektywa i to

nie ty masz proponować klientowi zajęcie się jego sprawą. Poza tym, podejrzewam, że oboje z Wilderem weszliście w znowę, by wszystkie apetyczne kąski przypadały w udziale jemu, podczas gdy ja spędzam pierwszy tydzień po otwarciu biura na poszukiwaniu zaginionego psa zarejestrowanego w AKC, a kolejne dwa tygodnie na śledzeniu kogoś, kogo największą zbrodnią jest to, że odbierał zasiłek dla bezrobotnych, do czego zresztą ma prawo. No i wreszcie twój tupet, który pozwala ci odnosić się do klientki z taką poufałością, by nazwać ją „pani S”. To jest nie do przyjęcia!

Nadaśana Ginny przybrała wojowniczy wyraz twarzy.

- Wilder uważa, że świetnie sobie radzę. I tylko z jego zdaniem się liczę. To moja rzecz, w co się ubieram do pracy. W takim granatowym kostiumie, jak twój, wyglądałabym jak stypendystka!

Ginny z pogardą ogarnęła wzrokiem strój Jane.

- A jeśli chodzi o tamtą panią..., muszę mówić do niej „pani S”. Jane poczuła skurcz w żołądku, nie tylko z powodu impertynencji dziewczyny, ale także z winy tłustego hamburgera, którego zjadła w mieście, podążając za rzekomą sabotażystką z wytwórni lodów.

- Z całą pewnością nie musisz zwracać się do klientki, używając jej... przezwiska! Chyba, że poprosi cię o to, a ja nie sądzę, by tak było w tym przypadku. Mam rację?

- Nie.

- W takim razie, Ginny, dlaczego traktujesz tę kobietę bez odrobiny szacunku.

Ku zdziwieniu Jane, nastolatka zachichotała.

- Bo... bo jeśli... nazwę ją pełnym nazwiskiem, to będę... jeszcze bardziej niegrzeczna.

- Nigdy nie słyszałam czegoś bardziej idiotycznego! Ginny rozłożyła bezradnie ręce.

- Hej, zdecyduj się w końcu. Kazałaś mi odnosić się do klientów z szacunkiem, więc właśnie staram się to robić. Byłam dla niej bardzo miła. Idź i zobacz na karcie ewidencyjnej, jak brzmi jej nazwisko. Zapisałam je tak, jak mi je podała. Ale nie próbuj z nią dyskutować. Naprawdę.

Jane kręciła z niedowierzaniem głową. Dlaczego w ogóle rozmawiała z tą smarkulą? Dziewczyna słuchała jedynie Wildera, który spokojnie godził się, by sprawa z „panią S.” wzięła w łeb na jego oczach. Czy rzeczywiście nie kierował się żadną etyką zawodową? Jane zdecydowanym gestem dłoni wskazała drzwi agencji.

- Naprawimy to natychmiast Teraz ja zajmę się tą kobietą, ponieważ tylko ja jestem tu osobą odpowiedzialną i wykwalifikowaną.

Ginny, mrużąc coś pod nosem, wpadła z powrotem do pokoju, Jane weszła tam za nią.

- Przepraszam za zwłokę - odezwała się do damy w kapeluszu, która nie bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje.

- Proszę, niech pani siądzie przy moim biurku, zbierzemy wszystkie fakty dotyczące pani sprawy.

Przechodząc obok Wildera, wbiła w niego przenikliwy wzrok.

Wychylił się zza gazety, kręcąc głową, jakby chciał ją zniechęcić. Jane kipiała ze złości. Co go, do licha, ugryzło? Czy sądził, że stać ich na to, by tracić okazję zarobienia pieniędzy przez nieuprzejme traktowanie klientów?

Ginny z podejrzanym uśmiechem podała Jane formularz, na którym napisane było nazwisko i adres klientki. Gdy Jane go przejrzała, natychmiast zrozumiała zachowanie dziewczyny. Klientka nazywała się Henryka Svyha. Jane domyśliła się, że nazwisko trzeba czytać „Suga”. Ginny najwyraźniej sądziła, że wymowa jest niebezpiecznie podobna do słowa „suka”. Jane mimo woli uśmiechnęła się nieznacznie. Zerknęła na dziewczynę, lecz spotkała tylko jej wyniosły wzrok.

- Może dokończysz pisanie na maszynie, Ginny, a ja porozmawiam z panią Svysą?

Ginny zrobiła duże oczy.

- Z kim? Och! Teraz rozumiem.

Jane odwróciła się do klientki. Była z siebie wyjątkowo zadowolona.

- Nazywam się Jane Walker i pracuję w tej firmie jako prywatny detektyw. W czym mogę pani pomóc?

Kobieta z afektacją przewróciła oczami i zaczęła mówić trudno zrozumiałym językiem.

- Ta sama stara śpiewka, kochanie. - Ostatnie słowo wymówiła „kochanie”.

- To znaczy? - Jane wzięła do ręki długopis, by zrobić notatki.

- Mój Henryk. Nic dobrego, ten chłopak. Robi to od lat Mówić, że idzie do sklepu i nie wracać do domu godzinami. Nie ma wątpliwości. Henryk mnie oszukuje. Jest pewnie z jakąś młodą, no wie pani, dupką. To pani musi go przyłapać ze spuszczoneymi portkami. Ty rozumieć? Ze spuszczoneymi portkami.

- Tak, oczywiście. Ale najpierw musi mi pani udzielić kilku informacji. Dokąd on chodzi, o jakiej porze i...

Pani Svyha zamachała niecierpliwie dłonią.

- Henryk wychodzi z domu, wie pani, żeby sobie pobłaznować. Potem on wraca do domu taki zmęczony, że jutro czasami nie chodzić do pracy. Ledwie mogę jeść, kochanie. Więc Henryk musi pracować, żeby dać pieniądze najedzenie. Ja nie mogę. To on musi. Niewdzięczny, czy co. Ja złamać rękę, przygotowując mu posiłki takie jak lubi, prać jego ciuchy, siedzieć w domu, czekając na niego. Ty rozumieć? Jane skinęła głową.

- Tak... pani sądzi, że Henryk zajmuje się jakimiś błżeństwami, podczas gdy pani zapracowuje się, żeby utrzymać dom. Mimo to, muszę znać parę szczegółów, by dalej zajmować się tą sprawą, wiec...

Znów wydała jej się, że mówi do ściany. Pani Svyha zaczęła dalej opowiadać po swojemu, powtarzając to, co powiedziała poprzednio. Jej skargi obfitowały w przekręcone idiomy. Ginny przerwała pisanie na maszynie. Wilder odłożył gazetę, patrząc na Jane, jakby chciał zapytać „Co teraz zrobisz?”. Dostrzegła też w jego oczach odrobinę współczucia. Nawet Ginny wyglądała na zaciekawioną.

- No to, kochanie, jest dla mnie, rozumiesz, ptakiem u szyi? Ty rozumieć?

- Albatrosem? - mruknęła Jane.

- Nie znam takiego gościa. Ale jeśli on też lata, tak jak Henryk, to zgadza się na sto procent Henryk przez cały czas biega jak Gidy-Sponzales.

- Speedy Gonzales? - domyśliła się Jane, odkładając pióro.

- Nie kochanie, tak jak ja powiedziałam.

Przez cały czas to samo. Pani Svyha wciąż plotła trzy po trzy, nie dopuszczając do rozpatrzenia choćby jednego powodu, dla którego snuła domysły względem Henryka. Kuranty wielkiego zegara na kościelnej wieży oznajmiły, że wybiła siedemnasta. Pani Svyh trajkotała już od prawie pół godziny.

Nagle Jane zaświtała w głowie genialna myśl. Wstała i zwróciła się do Wildera:

- Czy Henryk nie zostawił przypadkiem wiadomości dla pani Svyh? - spytała głośno, powstrzymując drżenie głosu.

Jej pytanie odniosło magiczny skutek. Pani Svyh urwała w pół zdania. Wilder przyglądał się Jane z podziwem i prędko kiwnął głową do Ginny. Ta zawahała się przez moment, po czym wydarła z notatnika kartkę. Podaała ją Wilderowi, który uważnie przebiegł wzrokiem po świstku papieru, następnie zmarszczył czoło.

- Hm.. Henryk musi natychmiast zjeść obiad.

Pani Svyha energicznie poprawiła kapelusz i zerwała się z krzesła, jakby uderzył w nią piorun.

- Ojej! Muszę iść! Dzisiaj piątek. Henryk chodzi grać w kręgle. Przedtem musi zjeść gulasz. Porozmawiamy dłużej dwa do dwóch następnym razem.

Nie oglądając się za siebie, pani Svyha drobnymi kroczkami wybiegła z biura.

- Jeden do jednego - powiedziała Jane, przedrzeźniając uciążliwą klientkę. Opadła bez sił na krzesło, zupełnie wyczerpana nerwowo.

Wilder spokojnie podszedł do Jane i zajął miejsce, na którym poprzednio siedziała pani Svyha.

- Tym razem naprawdę pokazałaś, na co się stać, Walker.

- Próbowałam ją powstrzymać - odezwała się Ginny z udaną skruchą w głosie. - Ale ona nie chciała mnie słuchać. Wiesz jaka jest

- Gin, może zejdiesz już na dół i poczekaasz na mnie w samochodzie?

- Poprosił Wilder opanowanym głosem. - Chcę porozmawiać z Walker sam na sam.

Ku zdziwieniu Jane, Ginny nie stawiała oporu. Chwyliła płaszcz i wyszła z biura. Wilder usiadł na poręczy krzesła i przechyliwszy głowę, spoglądał na Jane z ukosa.

- Masz zły zwyczaj wpadania do biura cała rozdygotana. Poza tym, zanim zbierzesz wystarczającą ilość faktów, wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

Jane obrzuciła go nieprzyjaznym spojrzeniem i przycisnęła dłoń do czoła. Tym razem nie miała siły na replikę.

- Czasami - ciągnął - trzeba w tym zawodzie stawiać czoła problemom, Walker. Jestem pewien, że wyjątkowo prestiżowa agencja Lockwood zatrudniała całą ekipę ludzi, którzy badali klientów, zanim ty czy którykolwiek z inspektorów miał z nimi do czynienia. Nasze biuro nie może sobie pozwolić na taki luksus, choć Gin mimo wszystko starała się, jak mogła. Sama zresztą powinnaś to zauważyć.

- A ty powinieneś mnie ostrzec! - wrzasnęła tracąc cierpliwość. - Skąd miałam wiedzieć, skoro nikt mi tego nie powiedział, że ta pani Svyha jest... wariatką.'

Wobec jej nagłego wybuchu gniewu Wilder pozostał niewzruszony.

- Obserwuj, Walker. Spostrzegawczość to jedna z najważniejszych cech prywatnego detektywa.

- Naprawdę? A ty spojrzaleś tylko na tę Svyha i już wszystko wiedziałeś? - warknęła wściekle. - Czy było w niej coś takiego, co od razu dało ci do myślenia? Jej kapelusz?

- Nie. Choć zauważyłem, że niedobrze jej w tym kolorze. Tak naprawdę, Walker, wydała ją jej kartoteka. - Uśmiechnął się chytrze, zapalając cygaro.

- Kartoteka?

- Uhm. Zasada numer jeden: gdy masz do czynienia z nowym klientem, sprawdź, czy miał poprzednio kontakt z agencją.

Jane zerwała się i podbiegła do szafy z segregatorami. Przerzucając nerwowo karty na literę S, natrafiła na tę podpisaną Henryka Svyha. Poczula, że się czerwieni. Powoli otworzyła kopertę i przeczytała treść karty. W połowie strony wuj Bert napisał na czerwono, dużymi literami: „Pani Svyha regularnie zwraca głowę agencji”. Pod spodem było więcej informacji, starannie przepisanych na maszynie:

„Mąż pani Svyha nie żyje. Jej trzydziestopięcioletni syn, Henryk junior, kawaler, mieszka razem z matką. Kobieta obsesyjnie kontroluje jego życie prywatne. Posunęła się nawet do wynajęcia detektywów z całego miasta, by śledzili jej syna. Henryk junior obiecał, że postara się trzymać matkę z dala od naszego biura”.

Jane odwróciła się na pięcie.

- Henryk, ten Henryk, o którym mówiła pani Svyha, jest jej synem? Dorosłym synem?

- Obawiam się, że tak. - Wilder z roztargnieniem strzepywał opiól na podłogę, którą dzień wcześniej Jane szorowała do późna.

- Właśnie wróciłem z terenu, gdy przyszła ta Svyha. Sądzę, e Henryk junior nie miał komu powierzyć opieki nad nią. W każdym razie pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, gdy podała nam swoje nazwisko, było sprawdzenie kartoteki. Pokazałem ją także Ginny. Dziewczyna współczuła pani Svyha, więc pozwoliłem jej poużalać się trochę nad nią. Po kilku minutach miałem jednak ochotę wsadzić panią S. w autobus do domu.

- Byłoby miło, gdyby Ginny okazała mi odrobinę współczuła. A w ogóle, dlaczego wcześniej nie wyjaśniłeś mi, o co chodzi?

Jane postawiła segregator z powrotem na półce i ze złością podreptała w stronę Wildera, bosy, z rękami na biodrach, próbując zgromić mężczyznę wzrokiem.

Podniósł się z krzesła, kładąc cygaro na brzegu biurka. Spopielona końcówka zawisała w powietrzu, dymiąc złowieszczo. Jane, patrząc na

Wildera, pomyślała znowu, jak wielki wydawał się przy niej. Minęło już więcej niż trzy tygodnie od czasu, gdy po raz pierwszy stała tuż obok niego. Pomimo gniewu, jej zmysły zareagowały na bliskość Wildera. Pachniał dymem z cygara, wiatrem i... samym sobą. Ta kompozycja przyprawiała Jane o zawrót głowy. Z trudem przełknęła ślinę. Jak to możliwe? Ten mężczyzna doprowadzał ją do wściekłości i lekcewał ją prawie za każdym razem, gdy się spotkali.

- Przykro mi, Walker. Może powinienem oszczędzać ci kontaktu z panią S. Ale kiedy wkroczyłaś tu pełna świętego oburzenia i rzuciłaś płaszcz, zamiast powiesić go starannie - jak to zawsze czynisz - pomyślałem, że najlepiej będzie dać ci szkołę... Chciałem, żebyś doświadczyła tego na własnej skórze.

Jane pochyliła głowę. Trudno było jej zebrać myśli, gdy widziała z bliska ładną twarz Wildera. Wciąż się na niego gniewała, ale bardziej była zła na samą siebie. Jak mogła nie pomyśleć o sprawdzeniu kartoteki wuja? Dlaczego nie wypytała Giny szczegółowo w celu uzyskania niezbędnych informacji? No i wreszcie, dlaczego nie skonsultowała się z Wilderem?

Jane знаła odpowiedzi na wszystkie te pytania. Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy, bo chciała udowodnić im, że jest mądra i niezależna. Nie doceniała jednak ich kompetencji. I jeszcze coś. Czowała się urażona cichą złąmą Wildera i Giny. Przez ostatnie trzy tygodnie skutecznie wykluczali Jane ze swego życia. Spędzała bezsenne noce, żałując, że ich stosunki nie układają się najlepiej. Mimo to nie zdobyła się na rozmowę z Wilderem. Wiedziała dobrze, że będzie usiłował skłonić ją do zwierzeń. Jane bała się, by Wilder nie poczuł się rozczarowany, gdy pozna ją naprawdę.

Niepewnie podniosła wzrok.

- Może... Zasłużyłam na tę lekcję... - przyznała drżącym głosem. -... ale tak dłużej już być nie może, Wilderze. Ta sytuacja jest nie do zniesienia i nie sądzę, bym tylko ja ponosiła za nią winę. Nie ma między nami trojgiem prawdziwego porozumienia, tylko wciąż to okropne napięcie. Czuję się niepotrzebna...

Ku swemu przerażeniu poczuła na policzkach gorący strumień łez.

- Musimy to... jakoś rozwiązać - zatkała.

Wilder z czułością w oczach dotknął dłonią jej policzka, wycierając kciukiem wielką łzę.

- Przepraszam, że do tego doszło... że mieszkamy i pracujemy ze sobą jak obcy. Ale miło jest widzieć, jak w końcu przyznajesz się do swoich

uczuc i okazujesz je. To dobry początek. Poza tym, masz rację, dłużej już tak nie może być. Ale teraz twoja kolej, Walker. Wszystko zależy od ciebie. Jeśli zdobędziesz się na to, by nie stać na uboczu i nie kryć się ze swymi uczuciami za murem, który tak pracowicie zbudowałaś... tylko wtedy nasz osobisty i zawodowy związek ma szansę na powodzenie.

Jane pociągnęła nosem, ale nie poszła po chusteczkę. Chciała być blisko Wildera.

- T-tak... Dobrze. Naprawdę postaram się. Chodzi tylko o to, że... nie jestem przyzwyczajona do tego, by dawać z siebie tak dużo. Nikt nigdy tego ode mnie nie wymagał.

- Tylko dlatego, że starannie unikałaś kontaktu z osobami, które mogły tego zapragnąć. O ile się nie mylę, ty zawsze wybierasz sobie partnerów, którzy albo chcą przejąć nad tobą całkowitą kontrolę, albo są równie małowolni i skryci jak ty. Jeżeli o mnie chodzi, nie należę ani do jednych, ani do drugich.

- Nigdy nie znałam nikogo takiego jak ty.

- Ale w głębi duszy pragniesz mnie poznać, Walker. Czuję to. Jesteś mną równie mocno zainteresowana, jak i przerażona. Dla ciebie uosabiam wszystko, co niemiłe i nie do przyjęcia, ale jednocześnie pociągam cię. Cóż, podajmy sobie ręce. Jeśli tak dalej pójdzie, to skończę jak pani S., czyli będę tak samo pomylony, bo doprowadzasz mnie do szału.

Jane oddychała pośpiesznie.

- Naprawdę?... Nigdy bym się nie domyśliła. Od trzech tygodni nie zwracasz na mnie uwagi, tak zły jesteś na mnie.

- Mam wiele powodów do złości. I chyba każdy z nich świadczy o tym, że mi na tobie zależy. Gdyby było inaczej, nie gniewałbym się tak bardzo... ani nie byłbym taki sfrustrowany. To samo dotyczy ciebie, Walker. Mówię to na wypadek, gdybyś sama jeszcze do tego nie doszła.

Przesunął swoje palce po jej policzku. Głaskał ją delikatnie. Wtem, z widoczną niechęcią, sięgnął po cygaro. Popiół spadł na podłogę. Mężczyzna w rozrządzeniu rozgniół go stopą. Jane nawet nie pomyślała, by zganić Wildera za niechlujstwo.

- Sądę, że musimy już iść. Nie mogę pozwolić, by Ginny czekała dłużej. Włóż buty i płaszcz.

Odwrócił się i prędko przeszedł przez pokój po swoją marynarkę, wiszącą na krześle przy biurku.

- Odprowadzę cię do samochodu.

Jane bezwiednie wsunęła stopy w czółenka i podeszła do wieszaka. Na twarzy wciąż jeszcze czuła ciepło dłoni Wildera.

Zakładając płaszcz, przyglądała się, jak mężczyzna wrzuca do szuflady stertę luźnych kartek. Uśmiechnął się jak chłopiec, którego przyłapano na tym, że kradnie ciasteczka z kredensu.

- Moje rachunki - wyjaśnił. - Któregoś dnia wezmę się za nie.

Jane przez chwilę pomyślała o własnej starannie prowadzonej księdze przychodów, potem o nieuporządkowanej dokumentacji Wildera, o izbie skarbowej i księgowych z ponurym wyrazem twarzy. Uśmiechnęła się do Wildera.

Wydawało się, że życzliwa reakcja Jane na jego bez troskę trochę go zaskoczyła. Spojrzał na nią czule.

- Chciałem ci powiedzieć, Walker, że ten chwyt z wiadomością od Henryka dla pani S. był całkiem niezły.

Jane skromnie wzruszyła ramionami.

- Cóż... pomyślałam sobie, że skoro Henryk jest dla niej tak ważną osobą... A przy okazji, na tej kartce nic nie było, prawda?

Wilder uniósł w górę brew.

- Tylko sześć sposobów, na jakie Ginny próbowała zapisać „Gidy Sponzales”.

Jane wybuchnęła śmiechem. Wilder zachichotał. Skierowali się do drzwi. Mężczyzna wyciągnął dłoń, by zgasić światło i, niby przypadkiem, pogłaskał szyję Jane. Jej ciało przeszły cudowny dreszcz.

- Dziękuję, że chcesz mi pomóc wybrnąć z niezręcznej sytuacji... doceniam to - odparła, nie patrząc na niego. Była wzruszona.

- ... co zostanie należycie ocenione. Kapujesz?

- Chyba nareszcie tak - powiedziała szczerze.

Rozdział V

Jane postanowiła naprawić stosunki między sobą a Ginny i to jeszcze tego samego wieczoru. W tym dniu dyżur w kuchni pełniła właśnie Ginny. Na kolację podała jajecznicę, tosty i rostbef na zimno. „Wygląda na to, że czyni pewne postępy w doborze menu i w zdobywaniu umiejętności kulinarnych” - pomyślała Jane. Ostatnio posiłek przygotowany przez Ginny składał się z letniej zupy pomidorowej, niedosmażonych ziemniaków i czereśniowej galaretki, przypominającej raczej syrop wykrztuśny, który Jane piła, będąc dzieckiem.

Kobiety skończyły sprzątać ze stołu i zaczęły wkładać naczynia do zmywarki. Wilder ukrył się w gabinecie, by poczytać gazetę. Jane wzięła głęboki oddech. Postanowiła wykorzystać to, że zostały z Ginny same.

- Winna ci jestem przeprosiny za ten dzisiejszy incydent z panią S. Straciłam... panowanie nad sobą. Wpadłam do biura i od razu chciałam przejąć kontrolę nad całą sprawą.

Na twarzy Ginny pojawiło się zdziwienie, które jednak zaraz zniknęło, gdyż dziewczyna zamaskowała je jedną ze swoich nastroszonych, lekceważących min.

- Tak? Cóż... sądzę, że mimo wszystko miałaś trochę racji. Ja po prostu wiedziałam, że Svyha czyta się „Suga”. Wilder ani razu nie wymówił tego nazwiska. Pokazał mi tylko informację o pani S. w kartotece.

Jane skinęła głową.

- Teraz już wiem i nareszcie rozumiem, dlaczego nie zadałaś sobie trudu, by zapoznać mnie ze sprawą tej kobiety. Być może postąpiłabym tak samo, gdyby ktoś na mnie napadł, tak jak ona na ciebie.

Tym razem wyraz zaskoczenia nie zniknął z twarzy Ginny.

- Ty? Niemożliwe! Ty jesteś za doskonała. Zawsze robisz wszystko dobrze.

Ginny pokręciła głową, wkładając talerze do zmywarki.

- To nieprawda, Ginny. Ja też popełniam wiele błędów, większość z nich - choć przykro mi to mówić - dotyczy kontaktów z ludźmi. Tak jak na przykład dzisiaj z tobą... a poza tym, jestem od ciebie starsza, więc miałam więcej czasu na nauczenie się pewnych zachowań. Niestety, nie zawsze potrafię sprostać sytuacji.

Ginny wyglądała na zaciekawioną.

- Tak? Czujesz, że masz szczególną ochotę na... pewne rzeczy? - spytała trochę dwuznacznie.

- Właśnie - odparła Jane, zabierając się do zmywania sztućców. - Wiesz, myślę, że to, jacy jesteśmy, w dużej mierze zależy od środowiska w którym wzrastaliśmy. Ja nie miałam zbyt., stabilnego życia rodzinnego. Moja matka jest osobą niedojrzałą. Zawsze interesowała się tylko swoją osobą. Więc, od kiedy pamiętam, próbowałam grać w rodzime rolę dorosłego. W rezultacie nie potrafię żyć na luzie... ani zdać się na los, nie mówiąc już o podejmowaniu ryzyka.

Jane przełknęła ślinę. Dzielenie się z kimś refleksjami na własny temat okazało się dla niej bolesnym doświadczeniem.

- Jesteś... zbyt poważna.

Ginny wzięła sztućce od Jane i ułożyła je ostrożnie w zmywarce.

- Chciałabyś sprawować kontrolę nad rzeczami i ludźmi i jednocześnie zachować wobec nich dystans. Może dlatego, że nie chcesz, by coś się uraziło czy dotknęło. Postępujesz zupełnie jak moja matka.

Ginny pacnęła się w czoło.

- Moja matka jest bardzo dokładna we wszystkim, co robi! Wiedziałam, że nigdy jej nie dorównam... że nie stanę się perfekcjonistką jak ona. Czułam, że jest mną rozczarowana. Więc... chyba trochę przesadziłam, usiłując stać się jej całkowitym zaprzeczeniem, wiesz?

- Tak samo jak ja z moją matką. Tak. Rozumiem to, Gumy. I wiem, że trudno się zmienić, gdy jest się przyzwyczajonym do pewnego sposobu bycia. Ale czasami trzeba odmienić coś w życiu, rozwinąć swoją osobowość, przystosować się do nowych sytuacji, lepiej żyć z ludźmi, na których nam zależy. Ja... próbuję, staram się.

- Tak? No... W porządku. Dobrze. Chyba wszyscy możemy stać się lepsi, nie? Ja nigdy nie czułam się akceptowana przez matkę, a co dopiero mówić o jej miłości do mnie. Doprowadzało mnie do szału. Dlatego współczułam pani S. Pomyślałam, że nie ma nikogo, kto by ją kochał i dlatego postanowiłam posłuchać jej przez chwilę. - Ginny skręciła krótki, sterczący kosmyk włosów. - Rozumiesz, nie miałam wtedy nic lepszego do roboty. Naprawdę. Z pisaniem na maszynie radzę sobie już nieźle. Miałam wszystko napisane, zanim kazałaś mi dokończyć.

- To miło z twojej strony, że byłaś taka uprzejma dla pani Svyha, Ginny. I cieszę się, że nauczyłaś się szybciej pisać na maszynie. Powinnam cię lepiej obserwować, a nie z góry zakładać, że... - Jane zamilkła i gestykulowała bezradnie. - Przepraszam, Ginny.

Dziewczyna czuła się niepewnie, lecz Jane dostrzegła, że twarz jej rozmówczyny rozpuodziła się nieco.

- Tak? Och... jeśli naprawdę zamierzasz się rozchmurzyć... Zobaczymy, jak to będzie. W porządku, chyba mogę teraz odejść? Muszę porozmawiać z Wilderem.

GINNY skierowała się do drzwi. Jane skinęła głową.

- Oczywiście. Cieszę się, że mnie wysłuchałaś, Ginny. Dziewczyna stanęła w progu i odwróciła się do Jane.

- Pewnie. Zresztą lepsze już to niż robienie porządków w kuchni w zupełnej ciszy, tak jak zawsze bywało, gdy wypadł nam wspólny dyżur. Do zobaczenia później!

GINNY zakręciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami.

Jane złożyła szmatkę i umyła zlew, potem ciężko oparła się łokciami o blat, rozkoszując się chłodem jego powierzchni. Udało jej się przeprowadzić trudną rozmowę z Ginny. Gdyby mogła jeszcze dojść do porozumienia z Wilderem. Wyrażając w myśli owo życzenie, wiedziała, że nie będzie to wcale łatwe. Ich stosunki zbyt się skomplikowały. Nie tylko z winy Wildera, ale i z jej własnej.

Miał całkowitą rację, co do ognia, który spalał ich oboje. Czują ten ogień. A mimo to, w przeciwieństwie do Wildera, bała się oddać całą nowemu uczuciu. Ich osobowości różniły się od siebie zasadniczo. Mieli także zupełnie inne doświadczenia życiowe. Wilder nie mógł wiedzieć, jakie do tej pory było jej życie. Naprawdę nie mógł? Wyglądało na to, że jest dobry w ocenie ludzi i odgadywaniu powodów, dla których są tacy, a nie inni. Jane była jednocześnie przerażona i zafascynowana Wilderem.

Zgasiła światło nad zlewem i wyszła na korytarz. Przez kilka chwil stała pod drzwiami gabinetu, wsłuchując się chciwie w głośny śmiech Wildera i Ginny. Poczowała zakłopotanie, przypomniawszy sobie nagle pewien epizod z dzieciństwa.

Któregoś popołudnia próbowała przyłączyć się do matki i jej przyjaciela, którzy siedzieli na kanapie, żartując i zaśmiewając się. Mężczyzna miał na imię Fred. Podniósł wzrok na Jane i powiedział: „O kurczę, Marjorie, dzieciak nie śpi. Lepiej zrób coś z tym”.

Odpowiedź matki wciąż brzmiała w uszach Jane: „E tam, Fredziu, nie zwracaj na nią uwagi. Panna Schludna i Poprawna nie wie, co to dobra zabawa”.

„Może nadal nie wiem - pomyślała Jane. - Może kiedy teraz wejdę do gabinetu, Wilder i Ginny po prostu zamilkną. Jeszcze nie jestem gotowa na takie ryzyko”. Powoli wyprostowała się i skierowała do swojego pokoju. - „Ale już niedługo będę gotowa. Mam dosyć stania z boku i przyglądania się.”

Przez następne trzy dni udało się Jane przekonać właściciela Doule Dip Ice Cream Plant, że jego pracownica nie zajmuje się niczym, co mogłoby wskazywać na sabotaż, a poza tym prowadzi leniwy, beztroski tryb życia. Jane przekazała dokładne, udokumentowane fotografiami sprawozdanie, nad którym długo wcześniej rozmyślała. Wreszcie klient przyznał, że jego podejrzenia okazały się bezpodstawne.

Jane wróciła do agencji podniesiona na duchu zakończeniem nudnego śledztwa i niemalym czekiem za usługi.

Weszła lekko do biura i natknęła się na Wildera, który dokądś telefonował. Nieobecność Ginny wydała jej się podejrzana.

- Wyglądasz jak kot, który właśnie zjadł śmietankę. O co chodzi, Walker? Też czujesz wiosnę w powietrzu?

- Tak, ale jest coś jeszcze lepszego. Otrzymałam pełne wynagrodzenie za sprawę, którą się zajmowałam. - Jane zawadiacko pomachała mu czekiem przed nosem.

- Gratuluję. - Uśmiechnął się szeroko

- Dzięki. Te pieniądze powinny pomóc nam wygrzebać" się z długów. Martwi mnie nasza sytuacja finansowa. Gdzie jest Ginny? Chcę jej pokazać, jak się księguje przychody.

Wilder chrząknął.

- Och, posłałem ją w pewnej sprawie. A poza tym ona już wie, jak się prowadzi księgi. Pokazałem jej wczoraj wieczorem. Teraz jest w banku i składa tam spory depozyt

Jane zmarszczyła brwi.

- Depozyt?

Wilder wpatrywał się w nią uważnie.

- Tak. Wczoraj zapłacono mi za sprawę, którą prowadziłem na zlecenie policji. Pomogłem im wytropić pewnego świadka.

Jane przypuszczała, że sprawa, którą zajmował się Wilder, była o wiele ciekawsza niż rzekoma kradzież przepisu na lody Double Dip. Nie sądziła jednak, by miał do czynienia z poważnym przestępstwem. Doznała uczucia zazdrości.

- A jak to się stało, że właśnie tobie trafiła się tak ważna sprawa? - spytała niewzruszonym głosem.

Wilder zapalił cygaro i oparł się o biurko.

- Cóż, po pierwsze, tak się złożyło, że byłem tu, gdy zadzwoniła policja. Facetowi zależało, by ktoś jak najszybciej wykonał dla niego tę robotę. Po drugie, to zadanie zlecił nam stary kumpel mojego ojca, więc

miałem informacje z pierwszej ręki. Ten biznes w wielu aspektach przypomina każdy inny. Czasem wiele zależy od tego, kogo znasz.

Wilder, mimo wszystko, wyglądał na nieco skruszonego. Jane nie potrafiła zakwestionować logiki, którą się kierował. Nie mogła też oskarżyć go tym razem, że postąpił nie fair, zagarniając dla siebie smaczniejszy kąsek. Mogła jednak i chciała zaspokoić swoją ciekawość.

- Czy robiłeś coś naprawdę ważnego dla policji? Wypuścił z ust obłok dymu. Nie spuszczał oka z jej twarzy.

- Tak. Sądzę, że tak. Facet, którego śledziłem, jest byłym członkiem mafii.

Jane wyraźnie zaniepokoiła się tym, co usłyszała. Jej zawodowa zazdrość zniknęła równie szybko jak dym z cygara Wildera.

- Mafii! Dobry Boże, przecież to było niebezpieczne! Mogli cię zabić, Wilder!

Zawahał się przez chwilę, po czym posłał jej łagodny uśmiech.

- Nikt nigdy nie powiedział, że praca detektywa polega na rutynowej inwigilacji, Walker. Wiesz przecież o tym.

- Oczywiście, ale... Po prostu nie wiedziałam, że zajmowałeś się...

- Nie wiedziałaś, bo ostatnio niewiele ze sobą rozmawiamy. Mam nadzieję, że to się wreszcie zmieni.

Jane w milczeniu skinęła głową.

- Tak... Czy w trakcie prowadzenia tej sprawy otrzymałeś jakieś telefony z pogróżkami?

Wilder zastanowił się przez moment

- Dlaczego pytasz? Brakowałoby ci mnie?

Powiedział to lekko, ale zarówno brzmienie jego głosu, jak i wyczekująca postawa podpowiadały Jane, że mężczyzna czeka na poważną odpowiedź.

Dziewczyna spojrzała Wilderowi prosto w oczy i doznała dziwnego uczucia. Był taki przystojny, taki silny, a przy tym niezwykle inteligentny. I tak oszałamiająco na nią działał, choć nie ubierał się w garnitur i kamizelkę, nie prowadził nienagannie uporządkowanych notatek i nie zawsze miał właściwy stosunek do życia.

- Tak - odparła miękko. - Bardzo by mi ciebie brakowało...

Czuła, że płoną jej policzki, ale postanowiła wyjawic Wilderowi swe uczucia. Pragnęła stać się częścią jego życia, a wiedziała, że może to osiągnąć tylko wtedy, gdy będzie z nim zupełnie szczerą.

- ... zależy mi na tobie, Wilderze. W jego oczach dostrzegła radość.

- Bardzo miło mi to słyszeć, Walker. Sięgnął ręką, by odgarnąć jej włosy z czoła.

- Taka jesteś zarumieniona i pachniesz wiatrem, kochanie. Jane z trudem złapała oddech.

- Nie... nie miałam czasu, żeby się odświeżyć po wyjściu z biura mojego klienta. A dziś jest taki ładny dzień. Kiedy wracałam tutaj, opuściłam wszystkie szyby w samochodzie.

Uśmiechnęła się bezwiednie.

- Wyglądasz cudownie. Gdybyś zdjęła tę bluzkę ze stójką i kostium, mogłabyś uchodzić za kobietę wyzwoloną.

Nachylił się ku Jane, wprawiając ją tym w zakłopotanie.

- Na dworze robi się coraz cieplej - szepnął. - Zupełnie jak w naszym związku. Wkrótce przekonasz się, że będzie za gorąco na te wszystkie ciuchy, w których się dusisz...

Jane odebrało mowę. Nikt przedtem tak do niej nie mówił. Wilder otworzył dla niej drzwi, których nawet w najśmielszych marzeniach nie ośmieliłaby się przekroczyć. Ale teraz przestąpiła już próg. Trochę to trwało, gdyż opierała się swoją trwożliwą nie-przystępnością. Lecz im częściej przebywała z Wilderem, tym bardziej pragnęła pozbyć się dawnych uprzedzeń i wykorzystać nowe możliwości, porzucić tę nieznośną, nadmierną ostrożność...

- Pocałuj mnie, Wilderze - poprosiła zadziwiająco czystym głosem. - Proszę.

Wilder zgasił cygaro, nie odrywając oczu od dziewczyny. Objął ją. Poczowała zapach świeżej bawełny i nagrzanego słońcem swetra. Mężczyzna pociągnął ją w kołyskę swoich silnych ud, Jane przywarła mocno piersiami do muskularnego torsu.

- Mam tylko jedną prośbę. Jeśli cię teraz pocałuję, to nie chcę, byś znowu ode mnie uciekła - dosłownie i w przenośni. Musimy sobie nawzajem ufać. Możesz mi to obiecać?

Jane poczuła jak ogarnia ją żądza i desperacka tęsknota za jego miłością.

- Obiecuję, Wilderze.

Wtedy ją pocałował, długo i namiętnie. Roztopiała się pod jego pocałunkami, pragnęła cała wtulić się w niego. Obsypywał ją pieścizotami, dopóki nie usłyszeli dochodzących z korytarza głośnych kroków Ginny. Wilder przyciągnął Jane do siebie. Pozostali tak przez krótką, fascynującą chwilę. Potem Wilder delikatnie oswobodził dziewczynę z uścisku.

- A teraz ja ci coś obiecuję. Dziś wieczorem, gdy tylko zostaniemy sami, będziemy to kontynuować od momentu, w którym się właśnie zatrzymaliśmy.

Wilder miał jednak kłopoty z dotrzymaniem Jane obietnicy. Można było pomyśleć, że wszystko sprzysięgło się, by domowe zajęcia odebrały im sposobność pozostania sam na sam. Tego dnia Ginny miała dyżur w kuchni, ale z jakiegoś powodu zaszyła się w swoim pokoju i Wilder musiał zaglądać o niej kilka razy, zanim się odezwała. Następnie, robiąc wrażenie niezwykle roztargnionej, przypaliła hamburgery, więc Wilder musiał pędzić do supermarketu po paczkę mielonej wołowiny. Po powrocie do domu pomógł Ginny usmażyć mięso. Jane zaś zdecydowała, że sama zajmie się przyrządzeniem sałatki. Właśnie usiedli do obiadu, gdy zadzwonił telefon. Ginny, biegnąc do aparatu, przewróciła krzesło.

- Wolniej, kochanie - upomniał ją Wilder, ale dziewczyna po raz pierwszy nie zwróciła na niego uwagi.

Pospiesznie chwyciła słuchawkę.

- Hallo, tu Ginny.

Jane nie wierzyła własnym uszom. Nigdy nie słyszała w głosie dziewczyny takiego ożywienia, które jednak zniknęło dość nagle.

- Och, cześć Julio... myślałam, że to może... ktoś inny. Tak. Co? Żartujesz! Przecież jeszcze za wcześnie... - Ginny rzuciła na Wildera przerażone spojrzenie. - Aha, aha. Tak. A więc bądź z nami w kontakcie... i... - Ginny znów przerwała, nerwowo zagryzając dolną wargę. - Powiedz jej, żeby tego nie spieprzyła, dobrze?

Powoli odłożyła słuchawkę. Była blada jak ściana, mimo mocnego różu na policzkach.

Wilder podszedł do dziewczyny i otoczył ją ramieniem.

- O co chodzi, Gin? - zapytał troskliwie. Jane odstawiła salaterkę z sałatką. Nie bardzo wiedziała, jak się powinna zachować.

Ginny gwałtownie gestykułowała.

- Jak to się liczy? Chodzi mi o to, że to o wiele za wcześnie, Wilder.

Jej oczy świeciły podejrzanym blaskiem. Zaczęła prędko mrugać powiekami, by powstrzymać się od płaczu.

Jane była wstrząśnięta. Nigdy nie wyobrażała sobie, że Ginny może całkowicie stracić fason. Coś strasznego musiało się wydarzyć. Podziwiała spokój Wildera, który opiekuńczo odprowadził dziewczynę do stołu, usiadł przy niej i wziął ją za rękę.

- Kochanie, weź głęboki oddech i powiedz, co się dzieje. Ginny połykała powietrze, głośno pociągając nosem.

- Tak... tak. Julia powiedziała, że Monika właśnie zaczęła... rodzić i że dziecko powinno przyjść na świat dopiero za pięć ty... tygodni!

Jane wstrzymała oddech. O kim, do licha, mówiła Ginny? O krewnej? Do tej pory Jane odniosła wrażenie, że dziewczyna nie utrzymuje kontaktów z żadnym członkiem swojej rodziny.

Znów przenikliwie zadzwonił telefon. Wilder, klepnawszy Ginny po ramieniu, podniósł słuchawkę.

- Tu Wilder. Tak... cześć Sadie. W porządku, kotku. Właśnie dzwoniła Julia. Jak wygląda sytuacja? Hm... dobrze. Czy Lucy jest przy Monice? W porządku. Zadzwoń do mnie, jak już będziesz wiedziała coś pewnego, i postaraj się nie przejmować tak bardzo.

Wilder odłożył słuchawkę i wrócił na miejsce obok Giny. Jane bezwiednie usiadła po jego drugiej stronie, zastanawiając

się, co powiedzieć. Możliwość powinna znaleźć pretekst, żeby zostawić ich samych.

- Chyba pójdę do siebie na górę i pozwolę wam obojgu... Przerwała w pół zdania, czując dłoń Wildera na ramieniu.

- Nie, to nie jest konieczne. I tak nadszedł już czas, żebyś się o wszystkim dowiedziała.

Odwrócił głowę do Ginny.

- Zgadzasz się, kotku?

- Aha, aha. Chcę, żeby ona została. Spotkała wzrok Jane.

- Naprawdę chce.

A więc przyjęli ją! Jane czuła i widziała, że mają szczerą intencję.

- Chcę wam pomóc najlepiej, jak potrafię.

- Dobrze. Posłuchaj mnie, Gin. Monika jest w szpitalu. Jest przy niej doktor Lucy, a wiesz, jaka ona jest doświadczona. Zrobi wszystko bardzo dobrze, a któraś z dziewcząt zadzwoni do nas, gdy tylko otrzyma jakieś konkretne informacje. Nie ma sensu popadać w rozpacz, Gin... Jeszcze nie teraz.

Po policzkach Ginny pociekły łzy. Jane bez zastanowienia wzięła dziewczynę za rękę.

- Nie wiem, o co chodzi, ale postaram się, jak umiem, podtrzymać cię na duchu.

Ginny chwyciła mocno jej palce.

- Czuję się okropnie! - krzyczała. - Spotkałam dzisiaj pewnego chłopaka i naprawdę spodobał mi się, więc miałam nadzieję, że zadzwoni. Potem okazało się, że to tylko Julia, byłam rozczarowana, a ona mówi mi, że z Moniką jest źle...

Przerwała, łapiąc oddech, i wytarła nos wierzchem dłoni

- W porządku, kochanie - pocieszał ją Wilder. - Skąd miałaś o tym wiedzieć. Nawet ja nie wiedziałem. Dziś po południu dzwoniła do mnie Sadie. Powiedziała, że z Moniką jest wszystko dobrze. To się czasami zdarza, Gin. Ale Monice zapewniono najlepszą opiekę, jaka w ogóle istnieje. W tej chwili możemy tylko czekać. Spróbuj teraz zjeść obiad.

Ginny stanowczo pokręciła głową.

- Nie... nie. Nie mogę, Wilderze. Naprawdę, nic nie przełknę. Jane nie miała żadnego doświadczenia jako powiernica, kierowała się więc instynktowną obawą o Ginny.

- Chcesz o tym porozmawiać? Będę bardzo dobrym słuchaczem.

Ginny uśmiechnęła się, cała rozedrgana. Łzy zmyły z jej twarzy makijaż. Jane uświadomiła sobie, jak młoda i bezbronna jest ta dziewczyna. Nawet jej głos, gdy zaczęła mówić, nie brzmiał już tak ochryple. Stał się łagodny, prawie dziecinny.

- O... ostatnio kiedy uciekłam z domu, pojechałam autostopem dalej niż kiedykolwiek przedtem. Je... jestem z Kalifornii i zwiewałam z domu od dwunastego roku życia. Ale kilka miesięcy temu postanowiłam, że ulotnię się na dobre. Więc przebyłam całą tę długą drogę do Nowego Jorku, udało mi się tam znaleźć pracę kelnerki w nędznej kafejce... i przetrwałam... aż rozpętałam wielką wojnę z szefem. Przystawiał się do mnie, ale ja nie chciałam...

Ginny odwróciła wzrok, jej warga drżała.

- Więc ten śmierdziel wyrzucił ją na bruk - dodał Wilder. - Ginny podzieliła los innych uciekinierów. Została na ulicy, próbując dorobić trochę do niewielkiej sumy, jaka jej została, tak żeby starczyło na jedzenie i dach nad głową,

Ginny opanowało wzruszenie.

- Tak właśnie. W każdym razie, na ulicy spotyka się ludzi. W ten sposób zetknęłam się z Sadie, Julią i Moniką. Zżyłyśmy się ze sobą, rozumiesz? Miałyśmy wiele wspólnych przeżyć. Żadna z nas nie była jednak odpowiednio wykwalifikowana, by dostać dobrze płatną pracę... tylko ja miałam maturę. Robiliśmy więc, co się dało... brałyśmy jakies dziwne zajęcia, byle tylko zdobyć pieniądze. Potem Monika czuła się coraz gorzej i powiedziała nam, że zaszła w ciążę z facetem z tego miasta, z którego uciekła. Tamten nie chciał się z nią ożenić. To był dla nas straszny cios.

- Bały się zwrócić do społecznej organizacji, bo Monika chciała zatrzymać dziecko, a dziewczyny nie były pewne, czy ludzie z opieki społecznej pozwolą jej na to - wyjaśnił Wilder.

- Więc - mówiła dalej Ginny - Sadie, Julia i ja próbowałyśmy zarobić tyle, by utrzymać siebie i Monikę. Ale było nam ciężko i musiałyśmy zostawiać ją samą na cały dzień w tym okropnym domu bez windy. I w końcu nie dałyśmy rady. Wtedy Wilder przyłapał mnie na kradzieży w sklepie.

- Gin zupełnie nie odpowiadała wyobrażeniu przeciętnego nastoletniego przestępcy, który kradnie po sklepach, - Wilder zaśmiewał się. - Nie ruszyła większych rzeczy, które mogłaby ukryć. Zamiast tego splądrowała dział ze zdrową żywnością.

Ginny roześmiała się.

- Tak. Wzięłam witaminy, naturalne składniki, wodę w butelkach - takie rzeczy. Mój płaszcz pękał w szwach!

- Ukradła to, czego według dziewczyn potrzebowała Monika i jej dziecko.

- Wilder był wspaniały - dodała Gina. - Wybronił mnie przed sądem, wysłuchał i znalazł wspaniałą paną doktor, która pomaga młodym dziewczynom. Doktor Lucy zabrała Monikę do swojego domu, przyjęła nawet Sadie i Julię na kurs przysposobienia do zawodu, prowadzony przez nią samą. Ja też to mogłam robić, ale jestem trochę starsza niż one i już miałam dość mieszkania na kupie... więc Wilder zaproponował, żebym zamieszkała u niego, jakbym była adoptowaną córką, rozumiesz?

Ginny uśmiechnęła się szeroko do swojego wybawiciela.

Jane poczuła przypływ uczuć. Już wcześniej odkryła, że ten twardy facet, który pali cygara i udaje beztroską obojętność, jest kimś szczególnym i potrafi się troszczyć o ludzi. Nie poznawał życia powierzchownie, tak jak ona. On potrafił i miał odwagę działać, podejmować ryzyko, także w sferze uczuć. Angażował się, był graczem, a nie widzem. Jane zaś prowadziła dotąd szczegółową kalkulację, nim uczyniła cokolwiek, by jak to kiedyś trafnie określiła Ginny, utrzymać wszystkich na dystans. Teraz jednak nie chciała już dłużej tak żyć. Pragnęła uczuć, nawet gdyby czasami musiał to być ból.

- Chcę wam obojgu podziękować za to, że przyjęliście mnie dziś wieczorem... za to, że pozwoliliście mi wysłuchać waszych ciekawych historii, za to, że włączyliście mnie w wasze życie. Przykro mi, że stało się to w takich okolicznościach. Żałuję, że nie mogę pomóc ci w konkretny sposób, Gin.

- Już jej pomogłaś. Zaczynasz wychodzić ze skorupy. Witamy w prawdziwym życiu. To wyboista droga, ale nie musisz wcale przebywać jej w samotności. Wystarczy, że zgodzisz się dzielić ją z innymi.

- Tak - odezwała się Ginny. - Wilder zapewniał mnie przez cały czas, że gdzieś pod tą maską, mówiącą: „zróbcie mi listę”, masz prawdziwe serce. Powinnam się domyślić, że miał rację. On się zna na ludziach, wiesz? I skoro mu się spodobałaś... no... to powinnam wiedzieć, że jest w tobie coś, co da się lubić.

Wzruszyła ramionami.

- Chyba zaczęłam rozumieć Wildera od wieczoru, gdy rozmawialiśmy ze sobą i ty mnie przeprosiłaś. W każdym razie dziękuję, że chciałaś mnie słuchać.

Jane skinęła głowę. Zdała sobie sprawę nie tylko z tego, że z trudem powstrzymuje łzy, ale także z tego, że Ginny kurczowo ściska jej rękę. Wyrzucała sobie, że wcześniej nie rozpoznała prawdziwych potrzeb dziewczyny i nie pomogła jej. Ale przecież ona sama długo nie wiedziała, czego chce. A pragnęła tylko tego, co Ginny: chciała odnaleźć swoje miejsce, potrzebowała miłości kogoś, kto nie pozbawiłby jej całkowicie niezależności, lecz pozwolił się w pełni rozwinąć.

- Chciałam cię wysłuchać, Ginny. Bardzo cię lubię. Dziewczyna zarumieniała się nieznacznie.

- Tak? Ty też nie wydajesz mi się już taka obca. Powoli wyzwoliła dłoń z ręki Jane.

- Może teraz coś zjem. Czy potem moglibyśmy zostać tu razem, aż dowiemy się czegoś o Monice?

Jane uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Ale najpierw włożę te hamburgery do mikrofalówki.

Gdy sięgała po tacę, Wilder szybko pocałował ją w policzek! Jane uradowana, ale i zaskoczona tym, że okazywał jej uczucia przy Ginny, niespokojnie spojrziała na nastolatkę.

Ta promieniała.

- Wilder naprawdę cię polubił. Cieszę się z tego. A na wypadek, gdybyś zastanawiała się, kim jest doktor Lucy, to... cóż, może dobrze, żebyś wiedziała, że ona ma sześćdziesiąt lat

Rozdział VI

Wilder i Ginny nauczyli Jane podstawowych zasad pokera i przez następnych kilka godzin wszyscy troje zabijali czas grą w karty. Wilder nieustannie szukał pretekstu, by stanąć za krzesłem Jane i pomagać jej w grze. Pochylał się wówczas nisko, tak że bez trudu mógł dotknąć jej barku czy ramienia. Dla Jane owe dowody uczucia były niezwykle podniecające.

Gdy około jedenastej w nocy zadzwonił telefon, Ginny znieruchomiała na krześle. Karty wyslizgnęły jej się z rąk.

- W... Wilder, proszę cię odbierz - powiedziała drżącym głosem.

Skinął tylko głową, lecz Jane zauważyła na jego twarzy zaniepokojenie. Podniósł słuchawkę dopiero po drugim dzwonku.

- Mówi Wilder. Tak. Cześć, Lucy. Jak się czuje Monika? Słuchał uważnie przez następnych kilka chwil. Jane zbliżyła się do Ginny i delikatnie gładziła jej ramiona. Wtem na twarzy Wildera pojawił się uśmiech.

- Naprawdę? I ona, i dziecko czują się dobrze? Bez komplikacji?

Jane ogarnęło uczucie ulgi, zauważyła też, że Ginny się odprężyła.

- W porządku, Lucy - mówił dalej Wilder. - Proszę, przekaz Monice ode mnie i od Ginny, że bardzo się cieszymy z udanego porodu. Będziemy w kontakcie.

Gdy odkładał słuchawkę, Ginny rzuciła się, by go uściskać.

- O Boże, Wilder, tak się bałam! - krzyknęła.

- Ja też, kochanie - mrucał, gładząc ją po włosach. - Ale Monice ani jej dziecku nic się nie stało. Dziewczynka nie cierpi nawet na kłopoty z oddychaniem, które mają niektóre wcześniaki - tak mówi doktor Lucy.

- Ona! - kwiknęła Ginny. - Dziewczynka! Taka byłam roztrzęsiona, że nawet nie zapytałam, czy Monika urodziła chłopca, czy dziewczynkę! - Zakręciła się na pięcie. - Czyż to nie cudowne? - zwróciła się do Jane.

Jane nie chciała psuć dobrego nastroju Ginny przypomnieniem, jakie trudy czekają teraz Monikę i jej dziecko. Bycie samotną matką to już wystarczający ciężar.

- Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło. Chciałam też pochwalić cię za twoją troskę o przyjaciółkę.

Ginny podeszła do Jane i zarzuciła jej ramiona na szyję.

- Dziękuję. Czasami tak trudno jest być dorosłą, nawet kiedy trzeba. O wiele łatwiej udawać, że się o nic nie dba i że nie zwraca się na nic uwagi... prawda?

Jane uściśnęła Ginny.

- Tak. Wiem o tym, nawet za dobrze.

Choć Ginny była zmęczona, bała się, że nie zaśnie. Poprosiła więc Wildera, aby posiedział przy niej przez chwilę.

Jane trochę dłużej niż zwykle krzątała się po kuchni. Nagle poddała się nurtującej ją myśli i popędziła do swego pokoju na górze. Szybko znalazła coś w dolnej szufladzie komody. Trzymając przed sobą wyrafinowany komplet bielizny, podeszła do dużego lustra, by się sobie przyjrzeć.

Koszula nocna w odcieniu bladego różu miała cieniutkie ramiączka, niski stan i szeroki dół do połowy łydki. Peniuar, w tym samym kolorze, z długimi luźnymi rękawami, zapinany był na małe perłowe guziczki. Jane nigdy nie miała go na sobie. Kupiła ten drogi komplet na tydzień przed ślubem z Howardem. Namówiła ją do tego koleżanka z Lockwood Agency, nalegała, by Jane sprawiła sobie coś oszałamiającego na miesiąc miodowy.

Jej miesiąc miodowy. Co za dziwne określenie czegoś, co nie było ani słodkie, ani upajające. Oboje z Howardem, po cichej ceremonii w urzędzie stanu cywilnego w Chicago, pojechali do ogromnego, luksusowego hotelu. Howard zarezerwował apartament dla nowożeńców, bardzo przestronny i pysznie urządzone. Lecz po pierwszym kieliszku szampana świeżo upieczony małżonek zaczął w głos zamartwiać się tym, co przeżyje jego matka, gdy dowie się, że jej syn ożenił się bez uprzedniego powiadomienia jej o tym.

Podczas ich krótkiego, miesięcznego narzeczeństwa Howard rzadko wspominał o swojej matce, więc Jane zdziwiła się tym nagłym niepokojem o jej uczucia. Próbowała uspokoić męża i wtedy łagodny, poprawny Howard zmienił się w demona. Jane nigdy przedtem nie widziała go takim. Nie miała nawet czasu, by włożyć na siebie swój cenny komplet bielizny. Nigdy przedtem nie doszło między nimi do zbliżenia. Teraz zaś ich pierwszy intymny kontakt przypominał raczej ćwiczenia seksualne, które Howard chętnie zakończyłby jak najszybciej.

Potem, gdy rzucał się i przekręcał nerwowo na ogromnym łożu, Jane usiadła na krześle i gapiła się przez podwójne drzwi tarasu na bardzo romantyczne tło tej całkiem nierealnej sceny. O świcie wstała i zapakowała głębiej swój peniuar. Następnego dnia polecili do Laurel i wprowadzili się do domu matki Howarda.

Jane odwróciła się od lustra i w obawie, by nie zmienić zdania, rozebrała się szybko i włożyła nocną bieliznę. Nigdy dotychczas nie

planowała nikogo uwieść, więc w rzeczy samej nie miała pojęcia, jak się to robi. Uparła się jednak, że sama stworzy sobie dziś wieczorem możliwości. Właśnie dziś wieczorem. Pożądała Wildera bardziej, niż mogła się tego po sobie spodziewać. Zawładnął nią już prawie całkowicie. Ale to przecież dzięki niemu się odnalazła. Dlatego pragnęła oddać mu się cała.

Po cichu wyszła na korytarz. Z pokoju Ginny dochodził głęboki głos Wildera. Jane przez chwilę wierciła się niespokojnie, aż wreszcie przemknęła po schodach w dół i wybiegła na zewnątrz. Zbliżał się początek maja. Wieczne powietrze przesycone było zapachem nowego życia. Jane, czując pod swymi nagimi stopami mokrą od rosy trawę, szła w stronę białej altanki, oplecionej pączkami pnącej róży. W pobliżu skrytej w zieleni altany stałą niewielka drewniana ławeczka, nad którą pochylała się stara wierzba.

Jane usiadła, zwracając twarz w stronę bladego kręgu księżyca. Kiedy była o wiele młodsza, spędzała w tym zakątku całe godziny, rozkoszując się jego spokojem i próbując znaleźć rozwiązanie swoich problemów. Dziś, gdyby posiedziała tu dłużej, być może zebrałaby się na odwagę, żeby wejść do sypialni Wildera. W tym szczególnym miejscu nabierała wyjątkowych sił do życia, przynajmniej kiedyś tak sądziła. Ale może trzeba być dzieckiem, by wierzyć w zaklęcia i czary. Może z wiekiem człowiek staje się zbyt dojrzały i doświadczony, aby zachować zdolność odbierania owej magii świata.

- Sądzisz, że zapomniałem o danej ci obietnicy? - Usłyszała nagle zza swoich pleców. Odwróciła się zaskoczona. Z cienia wyszedł Wilder. W świetle księżyca jego oczy miały kolor morza w porze sztormu.

- Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. Szukałem cię w całym domu.

- Och... - Serce Jane biło tak mocno, że była pewna, iż Wilder pomimo głośniejszej muzyki cykad, słyszy je.

- Ja... to znaczy... naprawdę, wcale mnie nie przestraszyłaś tak bardzo... tylko, że ja...

Wilder obszedł pochyloną ściankę altanki i usiadł przy Jane.

- Wyglądasz prześlicznie. - Przesunął dłoń po jej ramieniu. Jane czuła przez rękaw peniuaru, jak mężczyzna kreśli kręgi na jej ciele, doprowadzając ją tym do bolesnej niemal ekstazy.

- Czy to dla mnie?

Jane nie była pewna. Wzrokiem zamglonym przez pożądanie próbowała ogarnąć jego twarz. Usiłowała w spojrzeniu Wildera wyczytać

jego zamiary. Uświadomiła sobie przy tym, że mężczyzna ubrany jest tylko w wytarte dzinsy. Ogarnęło ją zupełnie oszołomienie, gdy zobaczyła na szerokiej piersi czarną gęstwinę włosów, zwężającą się w trójkąt nad szczupłą talią i znikającą pod spodniami.

- Ja... - Jane nie pamiętała już nawet, o co ją pytał. Wilder nie nalegał, by odpowiedziała. Zbliżył dłonie do twarzy kobiety i dotknął palcami jej karku. Przyciągnął ją czule do siebie.

- Pragnę cię. Tak bardzo cię pragnę... - Podniosła głowę, gdy on opuszkami palców pieścił jej kark. Wilder zbliżył wargi do ust dziewczyny. Nie było końca głodnym pocałunkom, którym Jane oddała się z nieznaną nigdy przedtem namiętnością, Wreszcie zabrakło im tchu... Usiedli na ławce, wdychając z trudem nocne powietrze i patrząc sobie w oczy.

- Chciałabym ci tylko... dorównać - szepnęła drżącym głosem. - Nie jestem chyba wyrafinowana w tych sprawach...

Odwróciła wzrok.

- Dałaś mi to już wcześniej do zrozumienia. - Wilder dotknął dłonią jej podbródka i unióśł głowę. - To nie ma znaczenia. Powinnaś jedynie ufać mi i słuchać głosu swego serca.

Chwyciwszy Jane za ręce, mężczyzna pociągnął ją lekko do siebie. Stali teraz zwrócenii twarz ku sobie. Ich splecione dłonie spoczywały na mocnych udach mężczyzny. Wilder spojrział czule na Jane.

- Czyż nie wiesz, że pragnę cię niemal od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłem cię w agencji?

- ... robiłaś wszystko, by mnie zmylić. Nie wyglądałaś na szczęśliwego, kiedy dowiedziałeś się, że musisz ze mną pracować. O ile sobie przypominam, poddawałaś nawet w wątpliwość moje kwalifikacje...

Była zdenerwowana. Ogromnie zdenerwowana. Mimo że pożądała Wildera, bardziej niż jakiegokolwiek innego mężczyzny przedtem, ogarnęła ją nagle chęć ucieczki. Ale pragnęła też, aby Wilder ujawnił swoje uczucia do niej.

Mężczyzna żartobliwie pocałował ją w nos, lecz jego głos zabrzmiał poważnie:

- Tak, jestem winny wszystkiemu. Nie chciałem brać na siebie odpowiedzialności za ciebie. Pomyślałem, że wystarczy mi już sprawowanie opieki nad Ginny. Więc przez cały czas walczyłem ze sobą, ponieważ, niewątpliwie, podobałaś mi się. Jestem pewien, że w

rezultacie nie wiedziałaś, co o mnie myśleć. Ale nie tylko ty masz monopol na mieszane uczucia.

Jane zaniepokoiła się. Wspomnienie przykrych doświadczeń z Howardem wzbudziło w niej obawy, że znów stanie się ofiarą czyjejś zaborczości.

- Czy dorośli ludzie naprawdę muszą się sobą przez cały czas opiekować.

- To naturalny odruch, pragnienie zapewnienia komuś bezpieczeństwa. Tak jest wówczas, gdy łączy ludzi głębokie uczucie.

- A ty od początku wiedziałaś, że pokochasz mnie tak bardzo?

- Tak, wiedziałem. - Oczywiście Wildera, błyszczące w świetle księżyca, były pełne miłości. - W głębi serca.

Przytulił Jane jeszcze mocniej. Własnym ciałem odczuła jego rosnące pożądanie.

Szumiało jej w głowie. Domagała się jednak odpowiedzi na męczące ją pytanie:

- Ale... dlaczego? Przecież tak się od siebie różnimy.

- Dlaczego? - spytał zachrypniętym głosem. - Naprawdę, nie mam zwyczaju prowadzić logicznej analizy swoich uczuć. Sądzę, że jeśli pochodzi się z rodziny, którą łączy miłość, człowiek po prostu umie obdarzać uczuciem, ufać innym... Ale skoro należasz na rzeczowe uzasadnienie, dlaczego mi się podobaasz, muszę powiedzieć ci, że... - Wilder pocałował Jane w głowę. -... Coś mnie w tobie oszałamia... jakby to było coś bardzo kruchego. Dzieje się tak chyba dlatego, że wiele wycierpiałaś. Ale ja zawsze wiedziałem, że stać się na to, by obdarzyć kogoś wspianiałym ciepłem i przyjąć ciepło drugiego człowieka - w odpowiednich okolicznościach.

- Tak - wyszeptwała.

- Z całą pewnością. Obserwowałem, jak się powoli otwierasz, dzień po dniu; widziałem, jak ujawniasz swoje pragnienia pomimo czynionych przez ciebie wysiłków, by je ukryć. Może to, co powiem, zabrzmi nieskromnie, ale muszę przyznać, że to ja pomogłem ci wydostać się z twojej twardej skorupki.

- Powinieneś raczej powiedzieć, że wyciągnąłeś mnie z niej - odparła Jane, uśmiechając się nerwowo.

- Niech będzie. Dla mnie to było i jest ważne zachodu. Ty jesteś tego warta.

Wilder mówił jej rzeczy, których nigdy przedtem z niczyich ust nie słyszała. Sprawiał też, że czuła to, czego do tej pory nie odczuwała przy

nikim innym. Ciepłymi słowami, perswazją i czynem Wilder poruszył w niej coś, do czego nie chciała się przyznać. Intuicyjnie odkryła, że pod osłoną praktycyzmu i ostrożności, tęskniła za tym, by udowodnić sobie, że może bez obaw powierzyć swoje serce mężczyźnie. Jane złożyła głowę na szerokiej piersi Wildera. Obezwładniała ją radosna świadomość, że chce kochać, że gotowa jest podjąć ryzyko i zwalczyć swój strach.

- Zimno? - spytał troskliwie Wilder.

- ... nie. Jestem tylko... oszołomiona. Nikt nigdy nie zadał sobie trudu, by mnie zrozumieć. Nikt oprócz mojego wuja i ciotki.

- Oni cię kochali. Ja też cię Kocham. Chodźmy do domu, Jane. Udowodnię ci, jak bardzo cię Kocham.

Wilder, trzymając Jane lekko za rękę, poprowadził ją w stronę domu. Gdy szli, obserwowała z zachwytem rytmiczny ruch bioder Wildera i grę księżycowej poświaty na nagim torsie mężczyzny. Słuchała jego przyspieszonego oddechu, który łączył się z jej własnym.

Weszli do domu. Wilder zamknął na klucz drzwi wejściowe i cicho poprowadził Jane na górę. Zawahał się przez moment, zanim otworzył drzwi do swojego pokoju.

- To nie ja jestem tutaj gospodarzem, ale myślę, że będzie nam lepiej u mnie niż wśród falbanek i pastelowych kolorów. Nie zrozum mnie źle. Bardzo mi się podoba to, co masz na sobie. Ale nie mam ochoty widzieć tego samego na zasłonach i poduszkach.

Pochylił się, by zapalić lampkę na toaletce. Pokój Wildera był kiedyś pokojem dla gości. Na ścianach była zwyczajna tapeta w biało-granatowe paski, ciotka Jane wstawiła tu także granatową sofę i powiesiła gładkie, muślinowe firanki. Jasne zawsze uważała ten pokój za miły i odpowiedni dla gości obu płci. Lecz gdy się teraz rozejrzała, zauważyła, że Wilder zdążył już zmienić go po męsku. Na komodzie leżały w nieładzie różne drobiazgi: pudełko cygar, garść bilonu, cały stos innych rzeczy, kilka par skarpetek. Męskie podkoszulki wisiały na krześle w rogu pokoju, a buty rozrzucone były w pobliżu szafy z ubraniami. Na stoliku nocnym piętrzyły się sterty książek. Zapach cygar mieszał się z wonią mydła, którego Wilder używał.

- Nie wygląda to może jak zdjęcie z „Idealnego Domu”, ale mnie się podoba - zauważył mężczyzna.

- Mnie też - zgodziła się Jane. I co dziwniejsze, mówiła prawdę. Pokój przypominał jej bardzo samego Wildera: był wygodny, urządzony z pełną wdzięku prostotą, bezpretensjonalny. Ten zwyczajny nieporządek

wzbudził w Jane pragnienie erotyczne. Tak jak wzbudzał je w niej sam Wilder.

On tymczasem przygarnął ją do siebie, jedną dłonią odgarniając kosmyk włosów z jej twarzy. Pochylił się, by móc obsypać szyję kobiety delikatnymi jak muśnięcia pocałunkami. Jane kołysała się w ramionach Wildera. Mężczyzna zaczął całować namiętnie jej usta, co przyprawiło ją o zawrót głowy i sprawiło, że całe jej ciało płonęło.

Wilder wsunął dłoń pod zwiewny peniuar i przez chwilę błędził palcami po nagim ciele Jane w okolicach jej piersi. Potem powoli zbliżył rękę do wypukłości podkreślonej koronkową bielizną. Zwlekał przez kilka bolesnych sekund, aż spragniona pieszczoty Jane sama przywarła piersią do jego dłoni. Wtedy Wilder płynnym ruchem zsunął z ramion kochanki cienki materiał koszuli Stała przed nim na wpół obnażona.

Mężczyzna dotknął lekko kciukiem nabrzmiałej sutki. Jane słodko jęknęła. Muśnięcia jego palców sprawiały jej rozkosz.

- Ach, jesteś taka piękna - szeptał, biorąc w obie dłonie piersi kobiety.
- Taka delikatna, taka śliczna...

Szalone pożądanie wyraziła jedynie urywanym oddechem. Nie przyszło jej łatwo poddać się całkowicie urokowi Wildera. Wszystko w nim było dla niej nowością. Niepokoił ją swoją otwartością i szczerością, niefrasobliwym podejściem do życia i do jej obsesyjnego perfekcjonizmu, który tłumił najgłębsze pragnienia. Teraz jednak wszystkie wątpliwości i obawy - nawet niechęć - zniknęły pod wpływem zmysłowego natarcia Wildera.

Drżała na całym ciele w oczekiwaniu całkowitego spełnienia. Nigdy przedtem nie pałała tak gwałtowną żądzą. Chciała zachęcić Wildera, by zaspokoił jej spragnione ciało. Podniosła na niego wzrok, zaś on zdawał się czytać w jej oczach.

- Wszystko dobrze... Pragnę cię tak samo, jak ty mnie. Zdejmijmy tę koszulę. Chce cię całą wycalować. No, pozwól, że ci pomogę.

Jane stała bez ruchu, oszołomiona pożądaniem. Prawie nie czuła, jak koszula i peniuar spadły na podłogę, nie pamiętała, kiedy Wilder zdjął dzinsy. Wreszcie wziął ją na ręce i, tuląc do siebie, zaniósł do łóżka i położył na posłaniu ostrożnie, jakby była z porcelany. Sam stał przez chwilę, wpatrując się w jej twarz. W oczach Wildera tańczyły iskierki radości.

Jane oddychała coraz szybciej. Mężczyzna zbudowany był pięknie i harmonijnie, od szerokich ramion aż po wąskie biodra i silne uda... Jane

nigdy nie myślała, że widok wspaniałego męskiego ciała może w niej obudzić tak pierwotne, bolesne pragnienie.

- Jesteś najwspanialszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem - szeptał Wilder namiętnie. - Pragnę cię od tyłu tygodni, że chyba nigdy nie nasycę się tobą... chcę, byś i ty to przeżyła, chcę pokazać ci, jak powinno być między mężczyzną a kobietą...

Pochylił się nad nią niska Zaczął obsypywać ją od czubka głowy w dół gorącymi pocałunkami, pod którymi pęczniały jej sutki, a rozgrzany brzuch i uda drżały... Wreszcie usta Wildera spoczęły pomiędzy jej nogami.

Jane krzyknęła. Zatopiła swoje dłonie w gęstwinie jego włosów. Wilder czule pieścił palcami miejsce, które przed chwilą całował. Jane wygięła się i w ostatnim błysku świadomości pomyślała, że gdyby ktoś kiedyś zaproponował jej takie pieszczoty, byłaby zszokowana. Teraz jednak opory zniknęły. Wiła się w rozkoszy, mrużąc imię Wildera w jednostajnym rytmie. Brakowało jej oddechu.

- Pragnę cię. Jak nigdy nikogo przedtem nie pragnęłam. Jane objęła ramionami jego talię.

- Tak, Wilderze, proszę cię, tak...

Wreszcie w nią wszedł. Poruszał się powoli, zagłębiał głębiej i głębiej. Słyszała nierówny oddech Wildera, widziała na jego twarzy namiętność, która była odbiciem jej własnej miłości. Wszystko to wydawało się Jane cudem, gdyż nie było samolubnym posiadaniem drugiej osoby. Poddawała się rozkoszy, unosząc biodra i zachęcając mężczyznę, by wypełnił ją całkowicie. Powtarzała miłosne słowa, które nigdy dotąd nie gościły na jej ustach. Wilder odwzajemniał wyznania, oddychając coraz szybciej. Jane zamknęła oczy. Serce tłukło się jej w piersi, gdy w samej głębi swej istoty poczuła gwałtowną eksplozję. Jej ciałem wstrząsnęły rozkoszne dreszcze. Wilder także osiągnął szczyt ekstazy. Złączeni w miłosnym uniesieniu, zapomnieli się całkowicie.

Rozdział VII

Obudziwszy się, Jane ujrzała Wildera, który, oparty na łokciu, wpatrywał się w jej twarz. Przez ułamek sekundy sądziła, że wciąż śni, ale wtedy mężczyzna wyciągnął rękę i odgarnął z jej czoła pukiel włosów.

- Która godzina? - zapytała.

- Czwarta.

- Rano?

- Gdyby było już po południu, to nieźle byśmy zaspali.

- Aha, rozumiem, ale skoro tak, to nieźle nie dospaliśmy. Wilder zaśmiał się i delikatnie ją pocałował.

- Nie należysz chyba do kobiet, które dbają o to, by się wyspać dla urody, prawda?

- Nie. Jestem pod tym względem inna. Potrzebuję tylko tyle wypoczynku, bym następnego dnia mogła się ruszać i mówić.

Jane stłumiła ziewnięcie.

- Hm, wiedziałem, Walker, że jest w tobie coś szczególnego. Ale do tej pory nie mogłem dojść... co to jest.. - Wilder uśmiechnął się do niej szelmowsko i wsunął dłoń pod kołdrę, pieścił palcami jej pierś.

- Wilder! To najmocniejsza gra słów i najślubsza wymówka jaką kiedykolwiek... Och, Boże! To takie...

- Erotyczne? - spytał niskim głosem, gładząc ją coraz mocniej. - Wspaniałe? Podniecające? Przyjemne?

Jane jęknęła.

- Och, tak. Myślę, że mogłabym znaleźć jeszcze parę innych określeń...

Wilder nagle znalazł się na niej.

- Tak? Dobrze, śliczna damo, lepiej oszczędzaj teraz oddech, bo będzie ci zaraz potrzebny.

Miał racje. Rzeczywiście potrzebowała oddechu.

„To naprawdę zadziwiające, jak mało snu potrzebuje człowiek” - myślała szczęśliwa Jane.

Przez tydzień większość nocy spędzali razem. Jane, na krótko przed godziną pobudki, wracała do swojego pokoju. W niedługim czasie stała się prawdziwą kobietą.

„Kiedy jest się zaspokojonym - odkryła - wszystko się udaje.” Drobne problemy, które dawniej potrafiły zepsuć jej nastrój na cały dzień, teraz przestały mieć znaczenie. Nudna papierkowa praca, którą kiedyś

wykonywała chętnie dla zabicia czasu, dziś wydawała jej się przykrym obowiązkiem. Starła się więc dopełnić go jak najszybciej, by więcej czasu spędzić z Wilderem lub tylko marzyć o nim. Nawet pogoda odzwierciedlała tę jej radość: na dworze było coraz cieplej i słoneczniej. Jane zauważyła u siebie nowe zachowania: uśmiechała się do ludzi, których mijala na ulicy, potrafiła oderwać się od swoich zajęć, by zapytać listonosza o jego niemowlę; wreszcie zdecydowała, że wcale nie trzeba odkurzać biurka częściej niż dwa razy w tygodniu.

Tego dnia Jane siedziała za biurkiem, pochłonięta swymi marzeniami. Myślała o Wilderze, o tym, co jej powiedział poprzedniej nocy, o tym, co ona wtedy mówiła...

Rozmyślania przerwała jej Ginny, która z hałasem wtargnęła do biura.

- Kupiłam papier do maszyny, bo tamten już się skończył, trochę tego białego mazidta do wymazywania błędów i taśmę klejącą, tak jak mi kazałaś.

Rzuciła torbę na biurko.

- I za chwilę będziemy tu mieć kolejną sprawę dla detektywa! Jane zmarszczyła brwi. Była zaskoczona.

- Sprawę dotyczącą czego?

- Nie czego, tylko kogo. Spotkałam w sklepie papierniczym faceta, który kręcił się niespokojnie i wyglądał tak śmiesznie, że go zagadnęłam. Okazało się, że ma poważny problem, więc powiedziałam: „Słuchaj, potrzebny ci jest do rozwiązania tej sprawy detektyw”. Przyznał mi rację. No i przyjdzie tu za chwilę. Ten facet trochę utyka, więc idzie powoli... - Dziewczyna wzruszyła ramionami, podciągając jaskraworóżowe skarpetki.

Jane wzięła głęboki oddech. Trzeba kogoś takiego jak Ginny, by poderwać, tak właśnie - poderwać klienta! Jeszcze dwa tygodnie temu złażałaby dziewczynę za takie zachowanie, ale teraz całe to zdarzenie rozbawiło ją. „Poza tym - zgodziła się w duchu - może ten człowiek ma naprawdę problem, który jedynie detektyw jest w stanie rozwiązać”.

- O, już go słyszę. - krzyknęła Ginny i rzuciła się do drzwi.

- Cześć Macaroni, proszę do środka.

Jane nie wierzyła własnym oczom. Mały człowieczek, około czterdziestki, ubrany był w żółty podkoszulek, spodnie w podobnym kolorze i czapkę baseballową, z której daszka zwisały nitki makaronu. Wielkie czerwone litery na koszulce głosiły: PASTA FORPEP.

- Niech się pan rozgości - zachęcała Ginny, prowadząc mężczyznę do krzesła przy biurku Jane.

- To jest Walker. Och, przepraszam, pani Walker, prywatny detektyw. Myślę, że może panu pomóc.

Jane zdobyła się na przyjazny uśmiech.

- Witam panie... Macaroni. Myślę, że najpierw powinnam dowiedzieć się o panu czegoś więcej. Jak brzmi pana pełne imię i nazwisko?

Mężczyzna założył nogę na nogę, zdjął czerwoną tenisówkę i zaczął masować sobie duży palec u nogi.

- John Albert Macaroni. I przepraszam panią, że nie wstałem, by się przywitać, ale mam na palcu bąbel, który zwałyby z nóg nawet konia.

Pokiwał ze smutkiem głową.

- Współczuję panu - odparła Jane, po czym zwróciła się do Ginny, która krążyła za plecami pana Macaroni.

- Czy mogłabyś sprawdzić kartotekę? - spytała z naciskiem, pamiętając lekcję, którą dała jej pani Svyha.

Ginny potrząsnęła głową,

- Och, to nie jest konieczne. Pan Macaroni nie jest świrem. Naprawdę. On się tylko tak ubiera.

Jane z trudem przełknęła ślinę, czując, że za chwilę na jej policzkach pojawiają się rumieńce.

- Ginny, przecież ja nic nie.

- Noszę ten strój dlatego, że jestem żywą reklamą „Pasta for Pep”, tej restauracji na Trzydziestej trzeciej ulicy.

Macaroni przemawiał dumnie, najwyraźniej nie uraziło go nietaktowne zachowanie Ginny.

- Rozumie pani, muszę przez cały dzień chodzić po mieście i zwracać na siebie uwagę ludzi. A gdy zaczynają zadawać mi pytania, dostają ode mnie kupony, za które mogą spróbować naszego makaronu. W ten sposób dorobiłem się tego bąbla na nodze. Bury, które nosiłem ostatnio, miały wąskie nosy. Na ich czubkach przyczepione były muszelki makaronu.

- Czy to nie śliczne? - spytała Ginny. - Takie jakieś niezwykle. Jane zastanawiała się, co na to wszystko odpowiedzieć, gdy w drzwiach stanął Wilder. Uśmiechnął się do niej szeroko, spojrział zaciekawionym wzrokiem na pana Macaroni i podszedł do swego biurka. Jane wstała i wskazała dłonią dziwaczego klienta.

- Wilder, to pan Macaroni. Przyszedł ze sprawą, którą trzeba się zająć.

Wilder zmarszczył czoło, jednak uprzejmie podał rękę mężczyźnie.

- Przepraszam, że nie mogę wstać, ale strasznie dokucza mi bąbel.

- Pan Wilder pracuje tu jako prywatny detektyw - wyjaśniła Jane.

- Kto z państwa poprowadzi moją sprawę? - spytał znużony Macaroni, ciągle masując duży palec u nogi. - Naprawdę jestem w kropce.

Jane uśmiechnęła się najłagodniej, jak potrafiła.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby panu pomóc. Ja i pan Wilder pracujemy zazwyczaj niezależnie, dlatego sama zajmę się pańskim problemem.

Wilderowi wyraźnie ulżyło. Wrócił za swoje biurko i zapalił cygaro, przerzucając poranną pocztę.

Jane z powrotem usiadła. Była rozbawiona. Wilder najpewniej uważał mężczyznę za stukniętego, ale ona podejrzewała, że ich klient jest tylko ekscentrykiem, który robi z igły widły.

- Dobrze, panie Macaroni. A przy okazji, czy to pana prawdziwe nazwisko?

Skinął głową,

- Oczywiście. Dlatego dostałem tę posadę, mimo że ubiegali się o nią trzej inni faceci. Beekermanowi, właścicielowi restauracji „Pasta for Pep”, spodobało się moje nazwisko, kojarzące się z makaronem. Nie widzieliście w gazetach reklam: „Szukajcie w swojej dzielnicy pana Macaroniego”?

- Ja widziałam - wtrąciła Ginny. - Odgadłam, kim pan jest, gdy tylko zauważyłam pana siedzącego na krześle w sklepie papierniczym. Tak pan smutno wyglądał.

Macaroni zwiesił głowę.

- Proszę nie mówić panu Beekermanowi, że odpoczywałem w godzinach pracy. Musiałem choć na chwilę usiąść, więc udawałem, że chcę kupić krzesło do biura.

- Ależ ja nigdy nie doniosłabym na pana, szczególnie teraz, kiedy dał mi pan cały plik kuponów.

- Tego też proszę mu nie mówić - prosił usilnie. - Dałem ci je, bo byłaś miła i wysłuchałaś mnie. Ale nie wolno mi dawać klientowi kilku kuponów jednego dnia.

Jane zerknęła na Wildera. Ten rzucił jej znaczące spojrzenie. Najwyższy czas, żeby wydobyć z dziwaka konkretne informacje.

- Może zechciałby nam pan przedstawić swoją sprawę, potem uzupełnimy informacje na pański temat, o ile będą nam potrzebne.

Niezwykły klient westchnął głośno.

- No dobrze. Cóż, pracuję w tym samym miejscu od blisko dwóch lat, ale nigdy przedtem nikt nie kradł mi naszyjników imitujących makaron.

To zaczęło się miesiąc temu. Z początku nawet nie byłem pewien, czy brakuje mi towaru - po prostu odniosłem wrażenie, że jest go mniej niż zwykle. Ale teraz mam pewność.

Wilder chrząknął. Jane bała się na niego spojrzeć, bo i tak trudno jej było powstrzymać się od śmiechu.

- Naszyjniki?

- Tak - wtrąciła Ginny. - Są naprawdę śliczne. Pan Macaroni zakłada je na siebie co wtorek, a potem rozdaje dzieciom. Rodzice dostają kupony. Dobrze mówię, panie Macaroni?

- Dokładnie tak jest. Moja firma robi sobie w ten sposób niezłą reklamę, ale ja muszę płacić za naszyjniki z własnej kieszeni. Sztuka kosztuje trzydzieści trzy centy, do tego dochodzi fracht za każde pudełko - w kartonie jest pięćset naszyjników. Sprowadzają je tutaj aż z Florydy.

Wilder zakasłał. Jane zagryzła wargę.

- Rozumiem. Dlaczego pan za nie płaci, a nie Beekerman?

- Tak się umówiliśmy. Rozumie pani, zawsze gdy do restauracji wchodzi dzieciak z naszyjnikiem, Beekerman daje mi dolara. Stać go na to, wierzcie mi. Kupony, które rozdaje, uprawniają do dwudziestoprocentowej zniżki, ale szef podniósł ceny wszystkich potraw, żeby pokryć ewentualne straty i mimo wszystko wychodzi na swoje.

Jane usłyszała, jak Wilder burknął coś pod nosem.

- Kapitalizm!

Ginny wydała z siebie pomruk niezadowolenia.

- Wspaniale! W takim razie te kupony, które mi pan dał, są nic nie warte!

Macaroni przybrał zboląły wyraz twarzy.

- Cóż, mając kupon, na pewno zjesz w „Pasta for Pep” taniej niż bez kuponu. Klienci, którzy go nie dostali, nie mają prawa do żadnej zniżki.

Ginny wykrzywiła twarz. Wreszcie jednak poklepała pana Macaroniego po ramieniu.

- Tak, to prawda. Przepraszam, że się uniosłam. Może teraz skończy pan opowiadać pani Walker o swoich problemach?

- Tak, słucham uważnie, panie Macaroni - odezwała się Jane, biorąc do ręki pióro. - Wspomniał pan o skradzionych naszyjnikach z plastikowych muszelek, prawda?

- Prawda - potwierdził. - Trzymam je w magazynie restauracji. W każdy wtorek biorę tyle, ile potrzeba mi na rano, a potem w południe wracam i zabieram jeszcze więcej. Jak mam dobry dzień i nie dokucza mi reumatyzm w ramieniu, to mogę rozdać nawet i sto naszyjników.

- Może pokazałby pan jeden naszyjnik pani Walker? - zaproponowała Giny.

Macaroni wzruszył ramionami.

- Pewnie. Mam jeden przy sobie.

Wyciągnął z kieszeni spodni naszyjnik i położył go na biurku Jane.

- Ten akurat jest fioletowy, ale mam je w sześciu kolorach. Wilder znowu odkasznął. Jane wzięła do ręki naszyjnik.

Zerknęła na zegar ścienny. Zbliżało się południe. Gdyby udało jej się zbyć Macaroniego jakąś rozsądną radą, wtedy oboje z Wilderem mogliby wyjść gdzieś na lunch.

- Panie Macaroni, zastanawiam się, czy przyszło panu do głowy, że skoro pracownicy kradną panu po kilka naszyjników - może po to, by dać je swoim dzieciom czy krewnym - to powinien pan trzymać je w innym miejscu?

- Och, myślałem już o tym. Chowałem je po całej restauracji od czasu, gdy zauważyłem, że giną. Trzymałem je w lodówce, w biurze pana Beekermana, pod zlewem w kuchni, wszędzie. Magazyn to miejsce, na które wpadłem dopiero niedawno.

- Dlaczego nie trzyma ich pan u siebie w domu? - zapytała spokojnie Jane.

Macaroni zrobił się czerwony jak burak.

- Och, nie mogę.

Ginny znów poklepała go po ramieniu.

- Pan próbuje ci powiedzieć, że nie ma domu. No, niezupełnie... Wiesz, on mieszka z innymi facetami pod mostem na północnym brzegu - przynajmniej wiosną i w lecie. Jesienią i zimą przenosi się z miejsca na miejsce. Jest bezdomny i dlatego uważa, że policja nie zechce go wysłuchać.

- Ale mam dość pieniędzy, by zapłacić wam za cały dzień pracy - wtrącił Macaroni. - Girmy powiedziała mi, jakie macie stawki.

Jane westchnęła. W drugim końcu pokoju Wilder znów odchrząknął.

- Panie Macaroni - zaczęła cierpliwie. - Nie chciałabym zabierać panu ciężko zarobionych pieniędzy w zamian za to, że zajmę się drobną kradzieżą czy raczej żartem jakiegoś dowcipnisa. Najlepiej pan zrobi, jeśli poprosi pan Beekerman a, żeby przechował naszyjniki u siebie i co wtorek przynosił panu sto sztuk czy nawet więcej.

Ginny pokręciła przecząco głową. Macaroni wyprostował się na krześle.

- Nie, nie. To coś większego niż drobna kradzież - zaprotestował. - Teraz zaczyna mi brakować więcej niż połowy pełnych kartonów. Regularnie. A pan Beekerman mówi, że nie będzie sobie zawracał głowy trzymaniem ich w domu. Powtarza, że to ja jestem odpowiedzialny za nie. I jeszcze coś...

Macaroni rozejrzał się po biurze i dokończył konspiracyjnie:

- Widzicie, powinienem powiedzieć wam o tym na samym początku, ale nie chciałem niepokoić Ginny.

- Nie powiedział mi pan wszystkiego? Wstyd!

- Przepraszam. Jesteś młodą dziewczyną i ja...

- Proszę pana - odezwała się rzeczowym tonem Jane. - Wolałby pan, żeby Ginny opuściła pokój, gdy będzie mi pan opowiadał...

- Nie złościsz się już o te kupony - wtrąciła oburzona dziewczyna. - I skoro byłam na tyle dorosła, że wysłuchałam pana za pierwszym razem, to z pewnością nie jestem za młoda, by usłyszeć całą historię.

Macaroni przybrał skruszoną minę i wreszcie dramatycznym głosem oznajmił:

- Ktoś próbował mnie zabić.

Jane dostrzegła kątem oka, że Wilder wstał z miejsca.

- Próbowali mnie najpierw zastraszyć, a potem - jak zobaczyli, że to nie skutkuje - chcieli przejechać mnie dużą, czarną limuzyną. Na szczęście w porę odskoczyłem na bok.

- Potrzebne nam będą dokładne dane, panie Macaroni. Proszę od początku - odezwał się stanowczo Wilder, siadając na brzegu biurka Jane.

Ta spojrzała na niego zaskoczona. Gdy wydawało się, że Macaroni należy do tej samej kategorii klientów, co pani Svyha, Wilder nie wtrącał się do rozmowy. Ale gdy usłyszał o zamachu na życie Macaroniego, od razu próbował przejąć sprawę.

- Wilder, dziękuję, że się tym zainteresowałeś, ale sama sobie poradzę.

- Mam pewność co do tego. Tylko mi ustąp. Jestem ciekawski. - Uśmiechnął się czarująco.

- Mnie to odpowiada - wtrącił Macaroni. - Co dwie głowy, to niejedna.

Jane próbowała opanować złość na Wildera. Czyżby nadal uważał, że brak jej kompetencji? A jak on by zareagował, gdyby Jane, nie proszona, zajęła się śledztwem, które prowadził w sprawie kradzieży w pewnej fabryce?

- Nie masz nic innego do roboty? A ta sprawa z fabryką?

- Hm, nie. Nie wziąłem jej. Nie ma żadnych dowodów. Panie Macaroni, kiedy miał miejsce ten incydent, o którym pan przed chwilą opowiadał?

- Dwa dni temu. Na parkingu przed restauracją. Dochodziła północ i restauracja była już zamknięta. Nawet pan Beekerman poszedł do domu. Zwykle kręcę się po restauracji najdłużej jak mogę, by dojeść resztki, które i tak wyrzuciliby na śmietnik. W każdym razie już wtedy brakowało mi coraz więcej naszyjników. Stałem przy wyjściu dla personelu i rozmawiałem z jednym z kucharzy. Próbowałem go namówić, by przechował naszyjniki w swoim domu. Przystał na to, ale chciał ode mnie zbyt dużo pieniędzy, więc starałem się wynegocjować niższą stawkę. Trwało to kilka minut, aż wreszcie zgodził się przetrzymać kartony u siebie za rozsądną cenę... - Macaroni przerwał, by złapać oddech,

- Czy stał pan przed drzwiami dla personelu? - spytała nerwowo Jane, bojąc się, że Wilder znów ją uprzedzi.

- Tak. Kiedy skończyłem rozmawiać z kucharzem, ruszyłem przez parking w stronę przystanku autobusowego. Byłem może w połowie drogi, gdy z ciemności wyszło dwóch wielkich facetów w czarnych garniturach i pochwyciło mnie za ręce. Nie widziałem ich twarzy. Pan Beekerman nie dba o oświetlenie terenu wokół swego lokalu. Jest zbyt skąpy.

- Co panu powiedzieli ci faceci? - Wilder jakby wyjął to pytanie z ust Jane.

- Mówili szybko, ale chodziło im o to, że nie chcą, bym wynosił naszyjniki poza restaurację. Nie wyjaśnili nic więcej. Pytałem więc, czy to oni kradną moje naszyjniki, a jeśli tak - to dlaczego. To ich rozwścieczyło. Wykręcili mi tak mocno do tyłu obie ręce, że krzyczałem z bólu wniebogłosy! Chyba dlatego przestraszyli się i pobiegli do auta stojącego w rogu parkingu. Straciłem równowagę i przewróciłem się. Wtem usłyszałem, że z piskiem opon jedzie w moją stronę samochód. Udało mi się odskoczyć na czas, ale ta cholerna limuzyna przejechała tak blisko, że drasnęła mnie w nogę.

Macaroni spiekł raka.

- Pokazałbym to panu, ale rana jest na lewym udzie, a w obecności pań...

- To nie jest konieczne, proszę pana - odparła natychmiast Jane.

- Ale to jest najgorsze! - wykrzyknęła Ginny. - Tym bandytom musi chodzić o coś innego niż naszyjniki. Są śliczne, ale nie warto dla nich zabijać człowieka.

- Czy zbadalaś dokładnie ten naszyjnik? - spytał Wilder Jane, podnosząc koraliki z biurka.

- Nie miałam okazji ku temu, ale mogę ci powiedzieć, że są zrobione z lichego plastyku. Każda muszla ma długość około półtora centymetra.

Wilder zdawał się być dotknięty jej oschłością,

- Tak.

Obracał naszyjnik w dłoni. Nacisnął mocno jedną z muszelek makaronu. Rozłupała się na dwie równe części.

- Tak myślałem - mruknął pod nosem. - Panie Macaroni, dzisiaj mamy czwartek. Pański przyjaciel, ten kucharz, nie otrzyma muszelek przed wtorkiem, prawda?

- Tak. On mieszka w dużym domu noclegowym. Dlatego pomyślałem sobie, że doskonale nadaje się do tego, by przyjąć przesyłkę z naszyjnikami. Rozumie pan, wszyscy żyją tam ze sobą już od dawna i bacznie się obserwują. Trudno więc byłoby coś ukraść, tak by nikt tego nie zauważył.

- Hm. Panie Macaroni, oto czego od pana chcę; po pierwsze - proszę przyjąć wtorkową dostawę z powrotem w restauracji; po drugie - proszę nikomu nie skarżyć się, że giną panu naszyjniki; po trzecie - proszę się o nic nie martwić, aż pana znajdę, by udzielić mu dalszych wskazówek. Po prostu niech pan się zajmie swoimi sprawami, jak gdyby nigdy nic, już od tej chwili.

- Wilder - Jane była wściekła. Obawiała się, że za chwilę wybuchnie w obecności klienta.

Wilder zszedł z biurka, pomógł Macaroniemu wstać i prędko wyprowadził go za drzwi.

- Może pan założyć but na korytarzu. Myślę, że musi pan natychmiast wrócić do swoich zajęć. To bardzo ważne. I proszę się nie martwić. Będziemy w kontakcie.

Mały człowieczek skinął głową trochę nieprzytomnie.

- Dobrze, pewnie, jasne. Pomachał dłonią, nie odwracając się.

- Cześć, Ginny. Pani Walker...

Wilder zamknął drzwi na korytarz, poczekał przez moment, aż usłyszał, jak Macaroni zamyka drzwi od windy, po czym wrócił do Ginny i Jane.

- Gin, kotku, może pójdziesz teraz na lunch... Masz całą godzinę przerwy.

- Ale, Wilder, martwię się o Macaroniego. Masz jakiś plan, czy coś takiego?

Skinął żywo głową.

- Tak. Idź, kochanie. Jedz, gdzie chcesz, tylko nie w Pasta for Pep, dobrze?

- W porządku.

Chwyliła torbę ze swojego biurka i czmychnęła z pokoju. Jane wstała z krzesła i wolno podeszła do Wildera. Stał przy biurku Ginny, w zamyśleniu marszcząc czoło.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała lodowatym tonem. - Jak mogłeś wystawić mnie na pośmiewisko, czyniąc ze mnie kompletną idiotkę?

Gniewna uwaga Jane oderwała Wildera od rozmyślań.

- Kochanie, nie masz pojęcia, w co możesz się wpakować, zajmując się tą sprawą.

- A kiedy miałam się zorientować? Wkroczyłeś do akcji, gdy tylko usłyszałeś, że Macaroni ledwo uszedł z życiem, i nawet nie miałam...

- Tu nie chodzi o to, że Macaroni ledwo uszedł z życiem. Gdyby ci faceci chcieli go wtedy zabić, to na pewno by to zrobili. Chodziło im tylko o to, by go przestraszyć.

- Skąd jesteś taki pewny? I dlatego nie zapytałeś go, czy widział tablicę rejestracyjną tej limuzyny?

Wilder wzruszył ramionami.

- Nawet gdyby widział, i tak jest to bez znaczenia. Ci faceci mają więcej tablic na zmianę, niż apteka proszków.

- Jacy faceci? Wiesz, kim są?

- Mam całkiem niezłą koncepcję.

- Dlaczego więc nie poprosiłeś mnie o rozmowę w cztery oczy, zamiast traktować jak swoją sekretarkę?

- Przepraszam, ale pomyślałem wtedy, że nie ma na to czasu. W każdym razie i tak jest to sprawa dla policji, nie dla nas.,

- Nie dla mnie, chcesz powiedzieć. Wilder wyglądał na zaniepokojonego.

- Cóż... wiesz, że mam z policją swoje układy. A ponieważ zależy nam na czasie, sądzę, że lepiej będzie, jeśli ja się tym zajmę.

Jane poczuła, że policzki płoną jej żywym ogniem. Zakręciła się na pięcie. Nagle uświadamiała sobie, że muszelka, którą otworzył Wilder, bez trudu złożyła się z powrotem. Odwróciła się gwałtownie.

- Te muszle są wystarczająco pojemne, żeby...

- ...napelnić je kokainą, zakleić z powrotem i wywieźć statkiem z kraju. - Wilder zbliżył się do niej. - Kochanie, myślę, że ten Beekerman znalazł bardzo sprytny sposób na przemyt narkotyków. Prawdopodobnie współpracują z nim wysoko postawione osoby spoza Nowego Jorku.

Jane na chwilę zapomniała o swoim gniewie, zastanawiając się nad tym, co powiedział Wilder. Jego teoria miała sens i Jane była pewna, że sama doszłaby do identycznych wniosków. Przecież nikt nie próbowałby zabić człowieka dla tandetnych plastikowych naszyjników, chyba że służyły do jakiegoś arcyważnego celu. Beekerman był tak przebiegły, że nawet postarał się, by jego nazwisko nie znalazło się na kartonach z naszyjnikami - posłużył się Macaronim. Nie spodziewał się jednak, że facet narobi takiego szumu o ukradzione muszelki. Zakładał, że kłozard nie odważy się mieszać w tę sprawę, przynajmniej przez kilka miesięcy, w czasie których zdołano by wykonać plan.

- Kiedy Macaroni zaczął narzekać, Beekerman prawdopodobnie kazał komuś go obserwować. Gdy Macaroni rozmawiał z kucharzem, faceci, wynajęci przez Beekermana, niewątpliwie mieli go już na oku. I chyba zabiliby biedaka, gdyby uważali, że nadszedł czas, aby zastąpić go kimś innym w przyszły wtorek. Muszą mieć naprawdę ogromne zamówienia, skoro potrzebny im jest szybki i łatwy dostęp do przesyłki naszyjników. Pamiętam, jak kilka lat temu w Nowym Jorku pewien gang narkotyczny kradł z fabryki sukienki i przemycał w przyszytych do nich koralikach kokainę. Lepiej dam natychmiast znać na policje. - Wilder podniósł słuchawkę.

- Zaczekaj chwilę. Zanim zadzwonisz, chcę, żebyśmy coś ustalili - mam zamiar wziąć w tym wszystkim udział. Macaroni jest moim klientem.

Wilder powoli zdjął rękę ze słuchawki.

- Kochanie, przepraszam, że się wtrąciłem, zanim przedyskutowaliśmy całą sprawę. Ale mam silne przeczucie, że coś jest nie tak. W tę sprawę zamieszane są grube ryby i nie ma za wiele czasu, by się zastanawiać.

Przeczesał palcami włosy.

- Kochanie, podejmujemy ryzyko przez duże „R”. W grę wchodzi, być może, nasze życie. Nie chcę, byś się w to mieszała!

Jane wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, pełna gniewu i żalu, że została zdradzona. Zamierzała jednak ostudzić zapał Wildera.

- Nie masz nade mną żadnej władzy - odparła drżącym głosem. - Nie jestem nastolatką, która uciekła z domu i potrzebuje twej ojcowskiej opieki. Jestem dorosłą kobietą i zawodowym detektywem, który z pewnością potrafi poradzić sobie z rozwikłaniem trudnej sprawy. Mylisz się głęboko, jeśli choć przez chwilę pomyślałeś, że chcę zajmować się jedynie głupstwami. Już pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy, próbowałam ci powiedzieć, że niebezpieczne sytuacje nie są mi obce. To część mojego zawodu.

Wilder zamknął oczy. Prawą ręką pocierał kark, mierzwiąc bujne fale swych włosów. Gdy znów podniósł powieki, miał ponury wyraz twarzy, w którym dostrzec można było coś, jakby wyrzuty sumienia. Zrobił krok w stronę Jane, lecz powstrzymał się gwałtownie i uczynił nic nie znaczący gest dłonią.

- Ja... posłuchaj, Walker... ja wiem o sprawie Malone.

RS

Rozdział VIII

Słowa Wildera wstrząsnęły Jane tak mocno, że przez chwilę serce przestało jej bić, a potem zaczęło uderzać ze zdwojoną siłą. Oparła się o brzeg biurka, ale Wilder porwał ją w ramiona i posadził na krześle.

- S...skąd... - Oddychała szybko. - ...Skąd wiesz o sprawie Malone?

Wildera, patrząc jej w oczy, oparł się dłońmi o biurko.

- Napisał mi o tym twój wuj w jednym z listów. Nie podał wszystkich szczegółów, ale opisał bolesne dla ciebie konsekwencje tej sprawy. Uważał, że powinienem to wiedzieć, na wypadek gdybym zdecydował się z tobą współpracować.

- Dziwię się, że wuj Bert zostawił mi firmę... przepraszam, połowę firmy, skoro najwyraźniej uważa, że nie nadaję się do niczego.

Wildera zachmurzył się.

- Źle to zrozumiałaś. On tak wcale nie myśli. Mój Boże, Walker, Bert zostawił ci swoją agencję, bo ci ufa, bo chciał, byś z powrotem odzyskała wiarę w siebie. Spodziewał się jednak, że będziesz przystępować do poważniejszych zadań stopniowo, że nie wpakujesz się w jakąś aferę.

Jane poważnie skinęła głową.

- Rozumiem. Po roku czy po dwóch latach zajmowania się takimi bzdurami, jak śledzenie niewinnej pracowniczki Double Dip, może będę gotowa, by rzucić się na głębsze wody.

Wildera uniósł w górę brwi.

- Celowo tak się zachowujesz. Dwa lata temu przeżyłaś przy sprawie Malone okropny wstrząs. Twój wuj miał nadzieję, że sama narzucisz sobie pewne ograniczenia odnośnie prowadzonych spraw... aż do chwili gdy poczujesz, że jesteś gotowa znów zająć się czymś... bardziej złożonym.

- Czyż to nie wspaniale, że postanowiłaś przyłączyć się do agencji, Wilderze? - Głos Jane brzmiał ostro. - Skoro ja, jak widać, nie mam dostatecznie dużo rozumu i rozsądku, by wiedzieć, co mogę, a czego nie mogę robić?

- Cholera! - Wildera uderzył dłonią o blat stołu. - Daruj sobie tę postawę obronną, dobrze? I wyzbądź się wreszcie pozy w stylu Zosi Samosi. Od pierwszego dnia walczę z tymi dwiema cechami w tobie... chyba w końcu zaczęłaś to rozumieć... albo tylko tak mi się wydawało. Kocham cię, Jane! Nie musisz już dźwigać na swoich kruchych barkach całego świata, bo teraz masz mnie do pomocy. Przejmujesz się tą sprawą

tak bardzo, że znów wracasz do starego sposobu bycia. Nie rób nam tego.
- Wilder ze smutkiem kręcił głową.

- Nie widzę miejsca dla nas, skoro nie ma go dla mnie, Wilder - odparła Jane z ciężkim westchnieniem. - I nie zmienię się, dopóki nie odzyskam wiary w swoje zawodowe kwalifikacje. Czyż nie widzisz tego? Przecież głównie dlatego zdecydowałam się przyjąć propozycję wuja Berta. Chciałam udowodnić sobie, że potrafię działać w sytuacji zagrożenia...

Zawahała się. Bała się mówić dalej; przeważało jednak pragnienie szczerości.

- I... przekonać się, że nie wpadnę w panikę... tak jak w przypadku sprawy Malone.

- Więc dlaczego, skoro tak bardzo chciałaś wrócić do zawodu, wahałaś się tak długo? - Wilder badał ją przenikliwym spojrzeniem. - Ta dwuletnia przerwa w samorealizacji to trochę zbyt długi okres na roztrząsanie własnego wnętrza.... Jeśli przez dwa lata nie przygotowałaś się do powrotu, jak to możliwe, że teraz nagle promieniejesz wiarą w swe profesjonalne umiejętności?

Kiedyś pierwszą reakcją Jane na trudne pytania Wildera byłby atak. Teraz jednak poznała go już na tyle, by wiedzieć, że w odpowiedzi oskarżyłby ją o ukrywanie za zasłoną gniewu swych najgłębszych uczuć. I miałby rację. Tak jak wtedy, gdy powiedział, że zbudowała wokół siebie mur obojętności, by obronić się przed własnymi uczuciami, które ją przerażały. Ale ona zmieniła się pod wpływem Wildera. Stała się bezpośrednia w stosunkach z innymi i szczerą wobec siebie.

Biorąc głęboki oddech, Jane zaczęła spokojnie:

- Żeby odpowiedzieć na twoje pytania, musiałabym najpierw zapoznać cię z okolicznościami. Dobrze?

- Więcej niż dobrze. Już dawno trzeba było to zrobić - odparł bez zająknięcia.

- Tak. Cóż, w sprawie Malone popełniłam błąd przy ocenie ludzkiej natury, co - jestem pewna - wcale cię nie dziwi... Do niedawna przecież nie chciałam zastanawiać się głębiej nad sobą, nie mówiąc już o zastanawianiu się nad innymi. W każdym razie, Angel Malone zaproponowała policji pomoc w ujęciu Mickeya Martina, przedstawiając się jako jego była przyjaciółka.

- Mickey Martin... ten król handlarzy narkotyków z Chicago, mam rację?

- Tak. Policja od lat usiłowała go zatrzymać, ale nigdy nie udało im się zarzucić samemu Mickeyowi nic konkretnego, choć od czasu do czasu udawało im się zaaresztować kogoś z jego ludzi. Z pomocą przyszła im nieoczekiwanie Angel Malone, od siedmiu lat dziewczyna Mickeya, z którą ten właśnie wtedy zerwał. Angel twierdziła, że wyrzucił ją na ulicę bez żadnych środków do życia. Postanowiła więc się zemścić i wsadzić Mickeya do pudła. Wyjawiała policji, gdzie i kiedy odbędzie się przemyt na wielką skalę. Mickey miał w nim bezpośrednio uczestniczyć. Policja wynajęła agencję Lockwood, by sprawdzić tę sprawę. Jako główny detektyw miałam obserwować Malone i ustalić, czy rzeczywiście rozstała się z Martinem i czy jest wiarygodna.

Wilder zapalił cygaro.

- I co zaobserwowałaś?

Jane zagryzła wargę, przypominając sobie, jak bardzo się wtfrł dy pomyliła.

- Że... Angel naprawdę skończyła z Mickeyem. Chodziłam za nią wszędzie... do nocnych klubów, restauracji, domów towarowych. W wielu miejscach Malone spotykała Mickeya; za każdym razem był z inną kobietą. Kilkakrotnie Angel i Mickey urządzali publicznie sceny: padały obelgi, groźby, wzajemne żale. Po miesiącu byłam przekonana, że Angel Malone i Mickey Martin naprawdę ze sobą skończyli. Ale drugi detektyw, który czasami pomagał mi w obserwacji, nie był tego tak pewny. - Jane uśmiechnęła się smutno.

- A dlaczego ty byłaś przekonana? - spytał beznamiętnie Wilder.

- Myślałam, że mam do czynienia z dwojgiem ludzi, którzy się nawzajem nie znoszą. Wydawało się, że gardzą nawet kawałkiem ziemi, na którym kiedykolwiek razem stanęli... Lecz weź pod uwagę, że moje pojęcie o wielkich namiętnościach ukształtowało się pod wpływem obserwacji licznych romansów matki, które kończyły się zawsze bardzo burzliwie, tak jak w przypadku Mickeya i Angel. Gdy moja matka uznawała, że powiedziała już ostatnie słowo, wiązała się z kimś innym i znów zaczynało się to samo. Według mojej oceny, Angel zachowywała się podobnie i miała ten sam gwałtowny temperament. Nie myliłam się zresztą, Malone okazała się w każdym calu równie przebiegłą lisicą, jak moja matka.

- Ale ten drugi detektyw zauważył coś, czego ty nie dostrzegłaś.

- Tak. Nazywał się Fred Stan ton, miał trzydzieści pięć lat i był niczym nie wyróżniającym się człowieczkiem, który większość wolnego czasu spędzał w kinie. Być może mu się to przydało. Fred był

przekonany, że Malone i Martin urządzili tę całą komedię, by wyprowadzić w pole szefa policji, który od dawna deptał Mickeyowi po piętach. Fred twierdził, iż pewne szczegóły w zachowaniu Angel i Mickeya zdradzają, że parę tę wciąż łączy uczucie. Gdy jednak nalegałam, by Stanton uzasadnił swoją tezę, nie potrafił powiedzieć nic konkretnego. Myślałam więc, że ponosi go kinowa fantazja i odrzuciłam jego podejrzenia jako nic nie warte.

- Ale myliłaś się... - odpowiedział Wilder.

- Tak... o mały włos nie przyplącałam tego życiem. Dzięki Bogu jednak nikt poważnie nie ucierpiał - przynajmniej nie fizycznie - choć zraniona została moja duma i moja ufność we własne siły...

- Stawka była wysoka - przypomniał Wilder skwapliwie. - Mów dalej.

- Dzięki sile moich argumentów szef policji dał wiarę zeznaniom Angel i zastawił na Mickeya pułapkę, zgodnie z instrukcjami dziewczyny. Ja i Fred udaliśmy się również na miejsce całej akcji. Przez kilka godzin leżeliśmy na trawie przed opuszczoną szopą. Kiedy policjant, który stał na czatach, dał znać, że limuzyna Mickeya i kilka dużych ciężarówek zbliża się w naszym kierunku, wszyscy wczłogałiśmy się do środka i ukryliśmy się w stogach siana.

- Gdzie ty się schowałaś? - spytał Wilder z napięciem w głosie.

- Za stogiem w pobliżu uchylonych drzwi wejściowych. Widziałam światła samochodu Martina i ciężarówek, słyszałam z zewnątrz głosy mężczyzn. Byli tak blisko, że dostrzegłam ich broń i żarzące się końce papierosów. Czekali na kupca. Oczywiście, my też czekaliśmy. Policja miała przyłapać Mickeya i jego mafię na gorącym uczynku, w trakcie przekazywania towaru, tak by tym razem Martin nie mógł się już wybronić.

Jane wzięła płytki oddech i przymknęła powieki, wracając myślami do tamtych wydarzeń. Wilder lekko musnął dłonią jej policzek. Spojrzała na mężczyznę i zobaczyła w jego twarzy wyraz współczucia. Jeśli kiedykolwiek zastanawiała się, czy on naprawdę się o nią martwi, to w tamtej chwili wszelkie jej wątpliwości rozwiały się.

Wyprostowała się na krześle i zaczęła mówić dalej.

- Czekaliśmy może z dziesięć minut. Z zewnątrz dochodziły odgłosy krzątania. Otwierano i zamykano drzwi ciężarówek, mężczyźni krzyczeli, wydając polecenia. A wszystko po to - jak się później okazało - byśmy pomyśleli, że w tym miejscu naprawdę za chwilę dojdzie do transakcji... I wtedy ją zobaczyłam. Jane skuliła się.

Wilder ukląkł przed nią, biorąc jej rękę.

- Kogo zobaczyłaś?

- Angel Malone - szepnęła. - Jeden z goryli Mickeya otworzył drzwi limuzyny i wtedy zobaczyłam Angel... tylko przez kilka sekund, ale rozpoznałam ją natychmiast Miała na sobie jakieś białe futro i tuliła się do Martina z drwiącym wyrazem twarzy. Z całą pewnością była to zasadzka. Po prostu Mickey i jego gang chcieli nas jeszcze trochę pozwoździć, by potem...

Wilder ścisnął jej dłoń.

- Jestem tu, opowiedz mi dalej, proszę cię.

- Spanikowałam. Ot tak, zwyczajnie. Obezwładniła mnie świadomość tego, że popełniłam niewybaczalny błąd. Zdawałam sobie bowiem sprawę, jakie będą jego skutki. W tamtym momencie wyparowała mi z głowy wszelka wiedza zawodowa. Wstałam... krzycząc, że to wszystko jest pułapką. Oczywiście zrobiło się natychmiast wielkie zamieszanie. Ktoś pchnął mnie na ziemię w chwili, gdy padły strzały. W powietrzu latały kule. Z jakiegoś tam powodu zaczęłam się czołgać do tyłu szopy. Chociaż wokół było ciemno, wiedziałam, że prawie wszyscy rzucili się do przodu, bo tam skierowano główne natarcie. Chyba resztki rozsądku podpowiedziały mi, że ktoś może próbować dostać się do szopy od tyłu...

Jane wstrząsnęła się na wspomnienie strachu i bezradności, jakiej doświadczyła tamtej nocy.

- W porządku, kochanie, wyrzuć to wszystko z siebie - nalegał łagodnie Wilder.

- Do... doszłam do tylnych drzwi, gdy jeden z ludzi Mickeya wyłamał kopnięciem spróchniałe deski... Krzyknęłam, by ostrzec swoich, wycelowałam pistolet w miejscu, w którym spodziewałam się zobaczyć bandytę i wtedy on... wystrzelił przez drzwi. Kula drasnęła mnie w głowę. Wszędzie było pełno krwi... Nic nie widziałam... Przewróciłam się na bok i gdy człowiek Mickeya wdarł się do środka, podłożyłam mu nogę. Upadł jak długi... obok mnie. Usłyszałam, jak jego broń potoczyła się po podłodze... Zaczęłam uderzać na oślep kolbą rewolweru... Tamten jęknął i znieruchomiał. Wtedy przybyły nasze posiłki. Mickey i jego gang poddali się. Kilku z nich odniosło niewielkie obrażenia. Natomiast po naszej stronie tylko ja na tym ucierpiałam.

- Mój Boże, kochanie, byłaś niewiarygodnie odważna - pochwalił ją Wilder. Uniósł jej dłoń i przycisnął ją do ust

- Odważna? Niezupełnie, Wilderze. Udało mi się cokolwiek zdziałać, mimo że ogarnęło mnie przerażenie... ale nigdy nie zapomnę, że moja pomyłka mogła kosztować życie wielu ludzi. Potem, na pogotowiu, nie

mogłam powstrzymać się od płaczu. Zostałam detektywem, gdyż uważałam, że potrafię mieć chłodne i racjonalne... analityczne... podejście do każdej sprawy. Po prostu nie doceniałam znaczenia, jakie ma w tym zawodzie zrozumienie ludzkiej psychiki, ludzkich namiętności... Myślałam, że można przewidzieć czyny człowieka, kierując się zasadami czystej logiki...

- Teraz jesteś zupełnie inna - odparł matowym głosem Wilder. - Wiesz o tym.

Przesuwał swą dłoń po jej ramieniu w delikatnej pieśczoście.

- Tak. O wiele bardziej niż to sobie kiedykolwiek wyobrażałam.

Jane uświadomiła sobie, jak bardzo związała się z Wilderem. Po raz pierwszy nazwała to, co czuła, miłością. Kochała Wildera. I dlatego jeszcze bardziej niż przedtem pragnęła się przekonać, czy potrafi być dobrym detektywem. Jeśli nie odzyska wiary w siebie, to jak może mieć nadzieję na ich wspólną przyszłość? Jane chciała być dla Wildera partnerką pod każdym względem... w życiu prywatnym i zawodowym. Musiała sprawić, żeby uwierzył w jej umiejętności i nie chciała być rozpieszczana. Inaczej bowiem oboje czuliby się sfrustrowani, a tego by nie zniosła.

- Wilder, proszę cię, posłuchaj, co powiem. Jestem detektywem. Zawsze chciałam nim być. Muszę sobie raz na zawsze udowodnić, że potrafię uporać się ze wszystkimi zadaniami, jakich dostarczyć może ten zawód. Pragnę to udowodnić także i tobie... żeby zdobyć twój szacunek, żebyś wierzył w moje siły i nie musiał się o mnie martwić. Wiem, że teraz niepokoisz się, ponieważ wuj Bert opowiedział ci o tej sprawie z Malone... i o tym, że wycofałam się z zawodu detektywa.

- Opowiedz mi o tym - nalegał. - Muszę poznać całą historię.

Prośba Wildera sprawiła, że Jane poczuła silne ukłucie w piersi. Doprawdy, nie chciała czuć się zmuszona do uzasadnienia swojej decyzji przyjęcia oświadczeń Howarda. Lecz nagle zdecydowała, że powie Wilderowi wszystko. Uśmiechnęła się ze spokojem.

- Byłam wtedy z Howardem już od miesiąca. Przyjechał do Chicago na konferencję wydawców gazet codziennych: do jego rodziny należy jedyna gazeta, jaka wychodzi w Laurel w stanie Tennessee. Po załatwieniu spraw służbowych został dłużej, żeby być bliżej mnie. Poznaliśmy się przypadkiem w restauracji. Był ode mnie dużo starszy. Wydawał się naprawdę czarujący, dobrze wychowany, choć trochę niedzisiejszy... Przez cały czas rozgłaszał, jak to on mnie kocha...

- A czy ty go kochałaś? - spytał bez ogródek Wilder, a Jane zdała sobie sprawę z tego, że przemawia przez niego zazdrość.

Podniosła dłoń, by pogłodzić go po twarzy.

- Wtedy nie wiedziałam jeszcze, co to miłość. Wiedziałam tylko, że Howard jest ujmujący i miły, i że wiele ode mnie nie wymaga... aż do tego wieczoru, kiedy wszedł do sali intensywnej terapii po sprawie Malone. Fred powiadomił go o wszystkim. Howard przeżył wstrząs, gdy mnie zobaczył. Jeszcze nie opatrzonej mojej rany i wyglądałam okropnie. Byłam wtedy w szoku. Howard wziął mnie w ramiona, pocieszał i zapewniał, że wszystko będzie dobrze, a potem błagał, bym za niego wyszła, porzuciła pracę detektywa i wyjechała z nim do Laurel. Mówił, jak bardzo wciąż martwi się o mnie... Nawet się rozplakał. Nikt nade mną nigdy nie płakał, a ja byłam taka...

- Wrażliwa.

- Tak. Właśnie. Poddałam się. Zgodziłam się wyjść za niego, gdy tylko będzie to możliwe.... Zaraz pierwszego dnia naszego...

nieudanego miesiąca miodowego Howard nalegał, byśmy wrócili do Laurel, żeby być razem z jego matką. Twierdził, że ona potrzebuje jego opieki... W rzeczywistości była wdową, która cierpiała na beznadziejną nerwicę i obsesyjną miłość do syna. Wprowadziliśmy się do niej. Howard zapewniał mnie, że zostaniemy tam na krótko. Lecz po kilku tygodniach zrozumiałam, że mój mąż nie ma zamiaru opuścić swej matki. To ona, zależnie od własnego kaprysu, kierowała domowym budżetem. Chciała decydować nie tylko o interesach firmy, ale także o życiu osobistym Howarda. Za każdym razem, gdy próbował się jej przeciwstawić, dostawała „ataku serca”. Byłam naprawdę nieszczęśliwa, popadłam w desperację...

Wilder kręcił z niedowierzaniem głową, wstając z kolan. Podniósł Jane z krzesła i objął ją w talii.

- Czy rozmawiałaś z Howardem o tym, co czujesz? Skinęła głową.

- Próbowałam. A on po prostu kazał mi chodzić ze swoją matką na różne spotkania towarzyskie... herbatki.... Twierdził, że jako jego żona mam obowiązek zachowywać się odpowiednio, bo on nie chce już więcej martwić się o mnie. Przekonywał mnie, że jeśli pogodzę się z życiem, jakie wybrał dla nas obojga, to wszystko potoczy się o wiele bardziej gładko... - Jane pochyliła głowę. - Jak na ironię, kilka miesięcy po naszym powrocie do Laurel, lekarz stwierdził, że Howard jest nieuleczalnie chory. Było to dziwne, gdyż mój mąż był człowiekiem,

który przez całe swoje życie postępował możliwie najostrożniej, a tu nagle okazało się, że umiera na nieuleczalną chorobę...

Wilder przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Dlaczego zostałeś tam po jego śmierci? Jane wzruszyła ramionami.

- Naprawdę nie wiem, to znaczy, nie myślałam wtedy, że mogę gdzieś wyjechać. Matka Howarda była zdruzgotana jego śmiercią. Błagała mnie, żebym jej nie zostawiała. Poza tym nie miałam własnych funduszy. Howard zapisał wszystko matce. Myślałam, że zwariuję. Wreszcie podjęłam pracę jako maszynistka w firmie prawniczej w Laurel, żeby zachować resztki przytomnego umysłu i mieć trochę pieniędzy na własne potrzeby. Martka Howarda wściekała się. Chciała, żebym cały czas była przy niej. Powtarzała, że wdowa po Howardzie nie powinna pracować...

- I wtedy twój wuj złożył ci propozycję... - Wilder pocałował ją lekko w czoło.

- Tak. Z początku myślałam, że jej nie przyjmę. Byłam taka rozbita, pełna poczucia winy; bałam się ryzyka. Matka Howarda wciąż powtarzała mi, co winna jestem pamięci swego męża. Gdybym opuściła Laurel i ją, popełniłabym według niej niewybaczalny błąd.

- Wiec jak to się stało, że się wreszcie zbuntowałaś.

- Właściwie nie wiem... Chyba zostało mi więcej odwagi, niż myślałam. Pewnego dnia, po nocy spędzonej na rozmyśleniach, po prostu wkroczyłam do sypialni teściowej i powiedziałam, że wyjeżdżam. Wpadła w histerię. Groziła mi, powiedziała, że nigdy nie kochałam Howarda, skoro stać mnie na to, by ją opuścić. W rzeczy samej ta jej reakcja ułatwiła mi odejście. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie chcę spędzić reszty życia w tej małej miejscinie, gdzie będę tylko wdową po Howardzie. Nie mogłam też żyć wśród ludzi, którym zawsze przeszkadzała dominacja Walkerów. To nie wszystko. Dopóki żyłaby moja apodyktyczna teściowa, pełniłabym tylko funkcję jej nieodstępnej opiekunki.

- Ale tobie była potrzebna zmiana trybu życia. Jane podniosła na Wildera oczy pełne łez.

- Nadal tego potrzebuje.

Nigdy w życiu z nikim nie doświadczyła tego, co przeżywała teraz z Wilderem, wciąż jednak trudno jej było mówić z nim otwarcie. Próbowwała więc dobierać słowa ze szczególną starannością.

- Stałeś się dla mnie... kimś szczególnym. Nie chcę, żebyś choć przez chwilę myślał, że nie czuję się wdzięczna za wszystko, czego mnie nauczyłeś; za to, co wniosłeś w moje życie... za ciepło, uczucie; za to, że

nareszcie odnalazłam swoje miejsce. Ale być może jestem trochę zachłanna... nie, to nieprawda... Teraz zrozumiałam, że jednak można mieć wszystko... Chciałabym pokazać ci się z jak najlepszej strony jako detektyw, by nasz związek rozkwit), Wilderze... Muszę więc najpierw sama poczuć się pewnie, wtedy nam obojgu będzie dobrze ze sobą. Rozumiesz mnie?

Wilder czule głaska! jej włosy, bawiąc się ich pasemkami.

- Teraz, gdy odkryłaś przede mną wszystko, rozumiem cię o wiele lepiej, kochanie. Naprawdę. Chodzi tylko o to, że... - zmarszczył brwi, kręcąc na palcu pukiel jej włosów - ...nic nie mogę poradzić na to, że się o ciebie martwię. Już ci mówiłem: jeśli się kogoś kocha, troska o niego staje się naturalnym odruchem.

- Tak, ale martwienie się, a zagłaskiwanie na śmierć to dwie różne rzeczy. Musisz pozwolić mi rozwinąć się zawodowo.

- Nie jestem całkiem pewien, czy jesteś gotowa na nieprzewidziane i niebezpieczne sytuacje.

- Jeśli nie jestem gotowa teraz, to nigdy nie będę. Dwa miesiące, sześć miesięcy... żeby nie wiem ile czasu upłynęło, nie przygotowuję się do tego lepiej. Muszę się dowiedzieć tej ostatniej rzeczy o sobie. Proszę, nie przeszkadzaj mi w tym.

Mówiła ochryplym głosem, który ją samą zdziwił. Nagle poczuła zmęczenie. Emocje ostatniej godziny wyczerpały ją całkowicie. Bezwiednie przytuliła się do piersi Wildera, rozkoszując się siłą i pociechą płynącą z uścisku jego ramion. W takiej chwili łatwo byłoby oddać mu się pod opiekę, która wcale nie przypominała zagłaskiwania na śmierć...

Czułym gestem zmierzwiła Wilderowi włosy.

- Tyle nauczyłam się od ciebie o ludziach. Pomogłeś mi odzyskać na nowo wiarę w siebie. Czy mogłam przygotować się lepiej na przyjęcie tego, co mnie czeka?

Nie potrafił ukryć uśmiechu.

- Pochlebstwem zajdziesz wysoko.

- Mówię poważnie.

Wilder położył ręce na ramionach Jane i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Ja też... jeśli chodzi o twoje bezpieczeństwo, kochana. Mój męski instynkt podpowiada mi, że bardzo zasługujesz na to, by się tobą opiekować, troszczyć się o ciebie... dlatego że nigdy nie zaznałaś tego w swoim życiu... z wyjątkiem krótkiego czasu, który spędziłaś z ciotką i wujem. Miałaś rację mówiąc, że martwię się o twoje bezpieczeństwo...

prawie od chwili, gdy cię spotkałem To dlatego na początku tak ci dokuczałem, podważając twoje kwalifikacje. Przypuszczam, że w pewnym sensie sprawdzałem, czy masz odwagę.

- Muszę ją sprawdzić w konkretnym działaniu, Wilderze.

- Tak, dobrze. Postaram się nie stawać ci na przeszkodzie.

Jane uśmiechnęła się. Wciąż widziała troskę w oczach mężczyzny i wzruszyło ją to, że chciał dać jej możliwość sprawdzenia się.

- Dziękuję ci - powiedziała szczerze.

- Nie spieprz tego - odparł z groźną miną, idealnie naśladowując Ginny.

Jane roześmiała się i stając na palcach musnęła ustami wargi Wildera.

- Hej, już to spieprzyłaś - skarżył się.

- Naprawdę?

Skinął głową. W jego oczach błysnęły diabelskie chochliki.

- Oczywiście. Jeśli już mnie całujesz, to porządnie.

- Och, może pokażesz mi, jak się to robi? - zaproponowała niewinnie.

- Z przyjemnością - zgodził się, biorąc ją gwałtownie w ramiona.

Ginny spóźniła się po lunchu półtorej godziny. Z początku ani Jane, ani Wilder nie okazywali zaniepokojenia jej opieszałością sądząc, że dziewczyna zatrzymała się w jakimś dziale kosmetyków, by przetestować na sobie najnowsze wody toaletowe. Wilder zadzwonił do szefa policji w sprawie naszyjników. Potem usiłował uporządkować stertę kwitów, które złożył w szufladzie biurka. Jane odpowiadała na telefony i doprowadzała do porządku własną księgę przychodów. Lecz za kwadrans trzecia oboje jednocześnie odłożyli swoje zajęcia.

- Idę poszukać Ginny. Zaczynam się już niepokoić.

- Ja też - zgodziła się Jane. - Nigdy przedtem nie zachowywała się tak nieodpowiedzialnie.

Nagle coś jej się przypomniało. Co będzie, jeśli mężczyźni, którzy zaatakowali Macaroniego, widzieli z nim Ginny? Jeśli będą chcieli zrobić jej krzywdę uznając, że za dużo wie?

- Chcę iść z tobą - postanowiła. - Możemy już zamknąć biuro. Wilder skinął głową z ponurym wyrazem twarzy.

- Świetnie. Chodźmy.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się z hałasem. Było to typowe „wejście Ginny”, z tą różnicą jedynie, że teraz dziewczyna nie była sama. Za jej plecami stał młody, może dwudziestoletni, niebieskooki blondyn z cielecym uśmiechem na twarzy.

- Cześć! - przywitała ich Ginny jowialnie. - Przepraszam, że się spóźniłam. Naprawdę przepraszam. Zagadaliśmy się z Tom-mym po lunchu no i... straciliśmy poczucie czasu.

Jane odetchnęła głośno, ale Wilder nie tak łatwo dał się przekupić słodyczą niesfornej nastolatki.

- Młoda damo - zacznij stanowczym tonem. - Właśnie szliśmy cię szukać. Myśleliśmy, że przytrafiło ci się coś poważnego. - Twarz Wildera miała surowy wyraz.

- Ojej, przykro mi, Wilder. Naprawdę. To się już więcej nie powtórzy. Ale... - uśmiechnęła się czarująco - w pewnym sensie, coś mi się przydarzyło. Wpadłam znów na Tommy'ego. Wspominałam wam już o nim. Pamiętacie, tego wieczoru, kiedy Monika urodziła dziecko. Byłam wściekła, bo myślałam, że on zadzwoni do mnie po naszym pierwszym spotkaniu... Ale, widzicie, zapomniałam podać mu numer telefonu, więc to naprawdę nie była jego wina.

Jane zdecydowała się wkroczyć do akcji.

- Ginny, może przedstawisz nam Tommy'ego. Ginny klepnęła się dłonią w usta.

- Ojej! Zawsze zapominam o dobrym wychowaniu. Skinęła na Tommy'ego. Chłopak wystąpił krok do przodu.

- Oto Tomasz Barrington Hamilton... trzeci. Z tych Hamiltonów - dodała z dumą.

Jane podała chłopakowi rękę.

- Cześć. Jestem Jane Walker. Miło mi cię poznać. Tommy uśmiechnął się miło.

- Dzień dobry, proszę pani. Ginny wiele mi o pani opowiadała. Wilder zmarszczył brwi.

- A czy powiedziała ci, Tommy, że ja jestem bardzo wymagający w pewnych sprawach? Na przykład, jeśli chodzi o punktualność.

- Och tak, proszę pana. Powiedziała, że będzie pan zły. Dlatego z nią wróciłem, żeby ją usprawiedliwić. To naprawdę moja wina, panie... Ginny powiedziała, że woli pan, aby do pana mówić po prostu Wilder, prawda?

- Prawda.

- Dobrze, proszę pana... Wilder... ja wprost uwielbiam rozmawiać z Ginny. Jest taka inna od dziewcząt, które znam. Tak naprawdę jest jedyna w swoim rodzaju. - Uśmiechał się, pełen podziwu dla Ginny.

- Jedyna w swoim rodzaju, ale spóźniona.

- Naprawdę przepraszam Nie chcieliśmy pana martwić.

- Jestem pewna, że nie chcieliście, Tommy. Ale następnym razem, gdy będziecie mieli zamiar wrócić później, niech Ginny do nas zadzwoni - wtrącała się Jane. - Myślę, że to rozsądne rozwiązanie, prawda? - zwróciła się do Wildera.

Wciąż wyglądał na zagniewanego, wpatrując się w Tommiego podejrzliwie.

- Och, to bardzo rozsądne - szczebiotała Ginny. Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Jane. - I z pewnością zadzwonimy, gdy kiedyś znów będziemy mieli się spóźnić. Obiecuję.

- Cóż, tylko niech ci nie wejdzie w krew to spóźnianie się, Ginny. Dobrze? - Wilder mówił już mniej surowo.

- Tak jest. No, a teraz kiedy już to wszystko ustaliliśmy, Tommy i ja chcemy z wami o czymś porozmawiać.

Chłopak wyprostował się, odchrząknął i nerwowo wygładził zakładkę na swych schludnych spodniach koloru khaki. Potem poprawił rękawy ciemnoniebieskiej koszuli studenta z Oksfordu.

Jane z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Wyglądem Tommy przypominał jej uczniaka ze szkoły podstawowej.

Kontrast między strojem Ginny a jego ubraniem rzucał się w oczy. Dziewczyna jak zwykle miała na sobie dziwną kombinację, którą nazywała „własnym pomysłem”. Składała się ona ze swetra w różowe paski i spodni w kropki. Wysokie adidasy i różowe skarpetki dopełniały stroju.

- Proszę pana... panie Wilder... - zaczął Tommy, tonem o oktawę wyższym niż poprzednio. - Chciałbym bardzo, jeśli pan nie ma nic przeciwko... spotykać się nadal z Ginny... Dostosujemy się do każdej pory, jaką pan wyznaczy, i zawsze będziemy mówić, dokąd się wybieramy.

- Tommy pochodzi z dobrej rodziny. Zajmują się, no, bankowością, więc muszą być uczciwi, nie?

- Hmm... - Wilder założył ręce na piersi. - A co ty robisz, Tommy?

- Jestem kimś w rodzaju gońca, na razie, proszę pana. Widzi pan, studiowałem aż do tego semestru, ale kiedy mój dziadek poważnie zachorował, wróciłem do domu, żeby być przy nim. Teraz mu się polepszyło... aleja chcę zapoznać się ze wszystkim, co dotyczy bankowości, więc jestem gońcem w banku, dopóki nie zacznie się nowy semestr. Moja rodzina uważa, że trzeba zawsze zaczynać od podstaw i piąć się w górę o własnych siłach, nawet jeśli ma się ojca prezesa, a dziadka przewodniczącego rady głównej.

- Dobra filozofia, zgadzam się. Mieszkasz z rodzicami, Tommy?

- Tak, proszę pana. Mieszkam na Wzgórzach Hamiltonów w Mount Haven.

- Wiesz, Wilder, rodzina Tommy'ego ma dobrą pozycję w tamtej okolicy i cieszy się szacunkiem. Poza tym mają dom, który jest zabezpieczony mnóstwem systemów alarmowych, prawda, Tommy? - Ginny wydawała się być bardzo podekscytowana.

Chłopak popatrzył na nią, jakby wypowiedziała jakąś głęboką myśl.

- Och tak, oczywiście... alarmy, psy i cała ochrona.

- Czyż to nie wspaniale? - zachwyciła się dziewczyna.

- Cudowne - mruknął Wilder, a Jane musiała zakasłać, by stłumić chichot.

- Posłuchaj, Tommy, jeśli dam wam pozwolenie, to gdzie i kiedy odbędzie się ta pierwsza randka?

- Chciałbym już dziś wieczór zabrać Ginny do kina, proszę pana, a potem na małą kolację. Będziemy z powrotem o godzinie, którą pan wyznaczy.

- Dziś wieczorem? - zachmurzył się Wilder. - Tak od razu? Czy to nie na ciebie wypada dzisiaj dyżur w kuchni, Ginny?

- Nie. Na ciebie. Ale uważam, że powinienes zabrać Walker na obiad. Masz znakomitą okazję.

Tym razem Jane uśmiechnęła się z wdzięcznością do Ginny.

- Strasznie mi się podoba ten pomysł. Czyż to nie byłoby przyjemne, Wilderze?

Odwrócił się do niej, wyraźnie zmieszany tym, że przyłączyła się do spisku.

- Cóż, pewnie tak. Obiad w restauracji byłby cudowny. Ale co myślisz o randce Ginny?

Jane głaskała go po ramieniu. Gdy czuł się zmieszany, miał w sobie tyle czaru. Jane żywiła nadzieję, że tego wieczoru będzie mogła ofiarować mu z siebie coś cennego.

- Myślę, że Ginny jest wystarczająco dorosła, żeby pójść dokądś z takim miłym chłopakiem jak Tommy. O której, twoim zdaniem, powinna wrócić do domu?

- Około północy, co Wilder? Tak będzie najlepiej. Nie chcesz przecież, żebyśmy się spieszyli. Film trochę potrwa, a wiesz, jaka będę potem głodna. Więc kolacja też zajmie nam trochę czasu. A kto wie, jaki będzie ruch na ulicach?

- Dobrze, Ginny, ale nie dłużej niż do północy. Tommy, spodziewam się, że przyjedziesz do nas po Ginny. Nie będzie żadnego spotkania się na ulicy. Rozumiesz?

- Tak, proszę pana. Nigdy bym nie pozwolił, by ktoś taki jak Ginny musiał czekać na mnie na rogu ulicy. Przyjadę dokładnie o dziewiętnastej. Ginny już podała mi adres.

- Wspaniale! Super! Wilder, naprawdę doceniam to, że mnie rozumiesz. I ty też. - Mrugnęła porozumiewawczo do Jane.

- Nie ma sprawy - odparła szczęśliwa Jane, zastanawiając się, co ją, u licha, skłoniło do używania takich wyrażen. Stwierdziła, że jest teraz o wiele swobodniejsza w kontaktach z ludźmi.

- Naprawdę - dodała uśmiechając się.

Wilder patrzył na nią zdziwiony. Ginny chwyciła Tommiego za ramię.

- Chodź. Odprowadzę cię do windy.

Twarz Tommiego rozjaśniła się, jakby ktoś zaproponował mu podróż do ciepłych krajów.

Ginny zachichotała i wyprowadziła chłopaka z biura.

Jane poczekała, aż zamkną się drzwi i objęła Wildera w pasie.

- Pięknie sobie z nią poradziłeś - pochwaliła go. - Ginny była oszołomiona.

Uniósł dłonią jej podbródek.

- Mam wrażenie, że ktoś mnie w tym uprzedził. Jane spuściła powieki.

- Och, Wilderze, to nieprawda. Po prostu wszystko przemawiało za tym, by pozwolić Ginny na tę randkę z Tommym. W każdym razie on wygląda na całkiem miłego chłopca. Czy twoja intuicja nie podpowiada ci tego?

- Tak, dobrze. Wszystko w porządku. Choć nie mogę pojąć, co oni mają ze sobą wspólnego. Czy kiedykolwiek widziałaś ludzi, którzy się tak bardzo od siebie różnią? Na czym polega, do licha, to wzajemne zauroczenie?

Jane wzruszyła ramionami.

- Co do pierwszego twojego pytania, to - tak. Przychodzą mi od razu na myśl tacy ludzie, jak Walker i Wilder. A jeśli chodzi o drugie pytanie, to czy nie pamiętasz już, jak tamci są sobą zauroczeni?

- Kochanie, odpowiadasz pytaniem na pytanie. - Wilder pochylił głowę, muskając wargami jej policzek. - Myślisz, że tak można?

- Hmm... - mruzczała, tuląc się do niego. - Pewnie nie. Ale zrozumiałeś mnie, jestem tego pewna.

Zsunęła swoją dłoń na jego udo.

- O, tak - przyznał. W jego głosie zabrzmiała namiętność. - Chociaż mam nadzieję, że dziś wieczorem wyrazisz się jeszcze lepiej, gdy zostaniemy wreszcie tylko we dwoje.

RS

Rozdział IX

Zgodnie z obietnicą, Tommy zjawił się u nich dokładnie o godzinie dziewiętnastej. Miał na sobie bawełniany sweter w delikatne wzory i popielate, starannie wyprasowane spodnie. Ginny powitała go okrzykiem radości. Ubrana była w purpurowy, obcisły trykot, czarną, skórzaną minispódniczkę i krótkie kozaczki z frędzelkami. Zwisające z jej uszu kolczyki sięgały niemal do ramion. Wilder odprowadził Tommy'ego i Ginny na zewnątrz.

Wcześniej, kiedy czytał gazetę w gabinecie, Jane przeszukała dom, by odnaleźć śliczne, kryształowe kieliszki, wino i korkociąg. Ustawiła to wszystko na małej, lakierowanej tacy i wróciła do pokoju stołowego. Wilder stał na korytarzu, wyglądając przez drzwi frontowe.

- Czy samochód Tommy'ego spełnia twoje wymagania co do bezpieczeństwa jazdy?

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Tak, na piątkę. To nowiutki mercedes. Zaraz jednak stropił się.

- Skąd wiedziałaś, że o to mi chodziło?

- Może to przecucie. Czy samochód wywarł duże wrażenie na Ginny?

Wilder roześmiał się.

- Niezupełnie. Jest ciemnoszary, więc Gin zaproponowała Tommy'emu, żeby go przemalował na jakiś żywszy kolor.

- Hmm. Nigdy nie widziałam purpurowego mercedesa.

- Ani ja, ale Tommy jest tak zadurzony w Gin, że założy się, i iż rozważy już możliwość wymiany samochodu.

- Mówiąc o zadurzeniu, dlaczego sam nie zabierzesz się do działania?...

- Przed czy po wyjściu na obiad, kochanie? - spytał idąc do niej, by wziąć ją w ramiona.

- W trakcie obiadu.

- W trakcie obiadu?

- Cóż, myślę, że jednak moglibyśmy...

- Kochanie, nie zrozum mnie źle. Podoba mi się odwaga, którą ostatnio w tobie odkryłem, ale czyż nie jest zakazane przez prawo... robienie tego, o czym myślimy, w miejscu publicznym?

- Twoja sypialnia nie jest miejscem publicznym, Wilderze. Jeśli pójdziesz teraz na górę i wskoczysz w jakieś wygodne ciuchy, to ja zadzwonię po chińskie potrawy i zaraz zjawię się u ciebie z winem.

Wilder ujął jej twarz w swe silne dłonie.

- Nie będziesz... rozczarowana, jeśli nie pójdziemy do prawdziwie wspaniałej restauracji, gdzie miałabyś nieograniczony wybór potraw?

- Absolutnie nie... dlatego, że tak naprawdę interesuje mnie tylko deser.

- Masz jakieś szczególnie życzenia? - spytał niskim głosem, ocierając się biodrami o jej biodra.

Jane oswoiła się z uścisku i pobiegła w stronę kuchni.

- Będę zachwycona wszystkim, co masz do zaoferowania... Do zobaczenia za chwilę na górze...

* * *

Późnym popołudniem w sobotę zadzwonił szef policji. Wilder był właśnie zajęty stryżeniem trawników przed domem, a Jane i Ginny kończyły sprzątanie w kuchni, gawędząc przyjaźnie.

Jane odebrała telefon. Słuchała uważnie przez kilka chwil, po czym wyjaśniła, że jest partnerką Wildera w sprawie Macaroniego. Szef policji poinformował ją o postępach w śledztwie, prowadzonym przez jego komisariat. Twierdził, że pojawiło się sporo problemów z udowodnieniem Beekermanowi winy na drodze prawnej.

Gdy tamten jeszcze mówił, w głowie Jane zrodził się pewien pomysł. Przedstawiła go komisarzowi, który przyznał - chociaż niechętnie - że ma on sens. Ostrzegł jednak, że oboje z Wilderem muszą działać z największą ostrożnością, by nie narażać się na niebezpieczeństwo, ani też nie próbować zmieniać biegu wypadków.

Kilkanaście minut po tym, jak Jane odłożyła słuchawkę, wszedł Wilder.

- Skończyłeś już z trawnikiem na dziedzińcu? Skinął głową, rozglądając się po pokoju.

- Gdzie Gin?

- Na górze, przygotowuje się na wieczorne spotkanie z Tommym.

Wilder uśmiechnął się do niej lubieżnie, biorąc ją w ramiona.

- A kochałaś się kiedyś na stole w kuchni?

- Bez obrusa jeszcze nigdy - odparła sucho.

- Hm, czy mamy zrobić napad na skład z obrusami? - Wilder ujął w dłoń jej pierś, palcami delikatnie drażniąc sutkę przez gładki materiał bawełnianej bluzki.

Jane przez chwilę walczyła z silną pokusą przekonania się, jak daleko posunie się Wilder, mimo obecności Ginny w pobliżu. Gdy przywarł swym napiętym ciałem do jej ciała, poczuła, że twardnieją jej piersi, a

znane ciepło pulsuje między udami. Opanowała się jednak wiedząc, że najpierw trzeba zająć się obowiązkami.

- Czy dokończysz to, co teraz przerwiemy, po naszej rozmowie? Kilka minut temu dzwonił szef policji.

Wilder zabrał rękę z jej piersi.

- Dlaczego po mnie nie przyszedłaś? Dzwonił z biura czy z domu? Lepiej spróbuję go natychmiast złapać. Prawdopodobnie chciał mnie poinformować, co nowego w śledztwie w sprawie Beekermana.

- Nie musisz do niego dzwonić. W każdym razie jeszcze nie teraz. Podał mi wszystkie informacje. Usiądźmy przy stole, napijmy się mrożonej herbaty, a ja opowiem ci, o co chodzi.

Jane wrzuciła lód do wysokich szklanek, potem nalała do nich herbaty z dzbanka stojącego na blacie. Gdy się odwróciła, Wilder siedział już za stołem z wyraźnie niezadowoloną miną.

Wiedziała, jak trudno będzie mu się pogodzić z tym, że Jane rozmawiała z policją bez jego wiedzy. Postanowiła jednak, że nie podda się urokowi Wildera na tyle, by wycofać się z pierwszej poważnej sprawy, która jej się trafiła. Podeszła do stołu, podała herbatę i usiadła naprzeciw niego.

- Co słyhać w biurze policji?

Jane zdecydowała, że od razu przejdzie do rzeczy.

- Komisarz podejrzewa, że Beekerman i gang handlarzy narkotyków z Nowego Jorku przemycają z kraju kokainę statkami, i to już od kilku miesięcy. Nie jest pewny, jak to robili do tej pory, ale przyznaje, że naszyjniki to niezły pomysł. Beekerman ma nieczyste konto. Piętnaście lat temu siedział nawet w więzieniu za przemyt heroiny. Policja widziała go ostatnio w towarzystwie znanych kryminalistów, którzy zazwyczaj działają jedynie w Nowym Jorku, ale kręcili się po Mount Häven i po restauracji „Pasta for Pep”.

- Rozumiem - rzekł Wilder beznamyślnie. - Czy komisarz ma tyle dowodów na to, że Beekerman działa niezgodnie z prawem, by otrzymać pozwolenie na rewizję?

Jane zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Żaden z informatorów komisarza nie ma nic przeciwko Beekermanowi. Tamten mądrze to rozegrał. Policja musi mieć konkretne dowody, by sprawdzić dom Beekermana... może to być zeznanie wiarygodnego świadka, który widział, jak przemycają narkotyki albo kogoś z zewnątrz - najlepiej obeznanego z prawem - kto zezna, że widział coś podejrzanego... Wtedy sędzia mógłby wydać nakaz rewizji.

Wilder bębnił palcami o stół.

- Cholera! Miałem nadzieję, że szef policji wygrzebie coś z tego bałaganu. Założę się o grube pieniądze, że Beekerman przygotowuje swoje największe przedsięwzięcie, skoro zdecydował się nastraszyć Macaroniego.

- Zgadzam się. I rozumiem, że komisarz ma niejako związane ręce. Już teraz jest nieźle sfrustrowany. Jego ludzie prowadzą obecnie trzy inne śledztwa. Policja nie chce ruszać tej sprawy, dopóki nie będzie miała niezbitych dowodów. Zaproponowałam więc komisarzowi, że oboje mu pomożemy i odegramy role owych obserwatorów. Jeśli zobaczymy coś, co uzasadniałoby od strony prawnej rewizję w domu Beekermana, to...

Wilder przecesał palcami włosy.

- Walker, powiedz mi, czy rzeczywiście myślisz, że Beekerman i jego koledzy kryminaliści będą na tyle głupi, by usiąść na trawniku przed domem i napełniać plastikowe muszelki kokainą? Na litość boską, musielibyśmy wdrzeć się do domu, by ich na tym przyłapać! Wtedy oskarżono by nas o włamanie, co rzucaloby cień na wszystko, co przekazalibyśmy policji. Poza tym, nie mamy żadnej wskazówki co do miejsca, gdzie Beekerman gromadzi skradzione naszyjniki! Może je składować wszędzie... nie tylko u siebie w domu! Ale nawet gdybyśmy to dokładnie określili, skąd będziemy mieć pewność, że napełniają muszelki kokainą, jeśli nie zobaczymy, jak to robią. I znów musielibyśmy się do niego nielegalnie...

- Nie bierzesz pod uwagę bardzo ważnej sprawy, Wilderze. Jak ci już mówiłam, musimy tylko dać szansę policji, by położyła temu kres. Moim zdaniem najprościej będzie, jeżeli zajmiemy się tym krok po kroku. Zauważ, że mamy klienta, który padł ofiarą złodziei. Naszym zadaniem jest zlokalizowanie skradzionego towaru. Jeśli stwierdzimy, że Beekerman ma naszyjniki... Zobaczymy na przykład, że wnosi je do swego domu, wtedy możemy poprosić policję, by to sprawdziła... A gdy przy okazji wyda się, że są to nie tylko skradzione naszyjniki, ale także oryginalne schowki wykorzystane do przemytu narkotyków... to...

Jane rozłożyła szeroko ręce.

Wilder przez długą chwilę milczał. Wreszcie niechętnie kiwnął głową.

- W porządku. Wszystko, o czym mówisz, jest możliwe, przyznaję.

Odwrócił prędko wzrok, by potem objąć ją spojrzeniem pełnym podziwu.

- Dobrze myślisz, Walker. Czy masz jakiś realny powód, by sądzić, że Beekerman zrobił ze swojego domu bazę przerzutową, zamiast wykorzystać w tym celu jakiś magazyn, zarejestrowany pod fikcyjną nazwą?

Jane uśmiechnęła się.

- Mam takie przeczucie. Wilder uniósł w górę brwi.

- Przeczucie? Myślałem, że tylko ja w naszym związku przywiązuję wagę do przeczuc.

- Bo naprawdę moje przeczucie oparte jest na logicznym rozumowaniu. Szef policji dał mi adres Beekermana. To odludna okolica - żadnych sąsiadów. Trudno się tam dostać, gdyż dom stoi na skałach... Myślę, że to najlepszy punkt na działalność niezgodną z prawem Beekerman sądzi pewnie, że mieszkanie prywatne jest miejscem mniej podejrzanym. Przecież każdy musi gdzieś mieszkać. Natomiast gdyby ktoś zobaczył, że jacyś ludzie często kręcą się w rejonie magazynu czy jakiegoś opuszczonego budynku... Rozumiesz, o co mi chodzi?

Wilder napił się herbaty i powoli odstawił szklanekę na stół.

- Tak, to całkiem dobra teza. Wcale niezła.

- Dziękuję.

Jane z każdą chwilą stawała się coraz bardziej podekscytowana. Czowała się dobrze, wykorzystując swój umysł do analizowania skomplikowanej sprawy.

- A teraz posłuchaj, co myślę, Wilderze. Powinniśmy zacząć obserwację domu Beekermana jutro wieczorem i spróbować przyłapać go na tym, jak wnosi do środka kartony z naszymi. Uśmiechnęła się.

- Oczywiście powiedziałam to w przenośni. Gdy go już zobaczymy z towarem Macaroniego, zadzwonimy na policję, która w takiej sytuacji powinna wydać nakaz rewizji.

- Dlaczego mamy odkładać to do jutra? Czy nie możemy zacząć już dziś wieczorem albo poczekać do wtorku, kiedy ma przyplłynąć ostatni ładunek dla Macaroniego?

- Twoje pierwsze pytanie jest proste. Szef policji dowiedział się od jednego z licznych informatorów, że Beekerman wyjechał dziś razem z żoną z miasta, by wziąć udział w zjeździe rodzinnym w Connecticut. Ma wrócić w niedzielę wieczorem. Jego żona zostanie z krewnymi do przyszłego weekendu. Co się tyczy czekania aż do wtorku, mam silne przeczucie, że wielka transakcja odbędzie się przyszłej nocy... więc Beekerman będzie musiał działać błyskawicznie... Zapewne postara się

zebrać jak najwięcej naszyjników napełnionych kokainą. A na to potrzeba czasu. Założę się, że zaczniesz działać już jutro, czyli w niedzielę wieczorem, po powrocie z Connecticut.

- Tak? A skąd mamy wiedzieć, że Beekerman już nie ma pełnych wszystkich naszyjników? - Patrzył na nią przenikliwie, tak jak to on potrafił.

- Och, prawda. Nie mówiłam ci jeszcze tego. Szef policji powiedział, że godzinę temu, gdy Macaroni zjawił się w restauracji, kartony z naszyjnikami nadal leżały w szafce. Nie brakuje więcej, niż brakowało, gdy Macaroni przyszedł do nas. Poza tym restauracja jest nieczynna w niedzielę i w poniedziałek, więc wydaje mi się, że Beekerman właśnie wtedy ukradnie resztę muszelek.

- Macaroni przyszedł do szefa z tą informacją? - spytał z niedowierzaniem. - Co go do tego skłoniło?

Tym razem Jane wyglądała na zakłopotaną.

- No cóż, wczoraj, kiedy nie było cię w biurze, Macaroni wstąpił do nas, a ja dałam mu wyraźnie do zrozumienia, że przyda nam się niezmiernie informacja, czy od soboty nie zginęło więcej naszyjników. Zasugerowałam, że to pomoże policji ustalić pewne fakty. Przez cały czas podejrzewałam, że na początku będziemy musieli zająć się tą sprawą, tak jak byśmy się zajmowali zwykłą kradzieżą... Nie ma przecież dosyć dowodów na to, że mamy do czynienia z przemytem kokainy... cóż, po prostu pomyślałam, że nie zaszkodzi, jeśli Macaroni zgłosi na policję kradzież naszyjników...

Jane z trudem przełknęła ślinę. Miała nadzieję, że Wilder nie będzie na nią zły o to, że posunęła sprawę do przodu bez konsultacji z nim. Ale przecież to jej sprawa, choć Jane bardzo chciała, by Wilder był jej partnerem.

- Rozumiem. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Jane pochyliła głowę.

- Chciałam. Powinnam była, Wilderze. - Podniosła na niego wzrok. - Chyba się zagalopowałam. Ta sprawa ma dla mnie duże znaczenie. To moja szansa na ponowne, poważne zaangażowanie się w pracę detektywa, tak jak ci opowiadałam. Przepraszam, Wilderze. Nigdy tak nie postąpię w przyszłości, kiedy będziemy pracowali razem.

Sięgnęła nad stołem, by położyć dłoń na jego dłoń.

- Proszę cię nie gniewaj się.

- Nie jestem wcale wściekły... naprawdę nie jestem. Jestem tylko zmartwiony. Im więcej dowiaduję się o tej sprawie, tym groźniej ona

wygląda. Nie jestem wcale pewien, czy warto ryzykować, obserwując dom Beekermana. Wiesz, że możemy odejść z kwitkiem.

- Wiem. Ale to nasza najlepsza szansa, by się odegrać na Beekermanie. Niewiele wiemy i nie mamy dużo czasu, by postąpić inaczej, nie łamiąc przy tym prawa. Bo wtedy Beekerman i jego faceci wykręcą się dzięki prawnym haczykom.

- Tak. Prawda. Dobrze. O której jutro zaczynamy?

- Myślę, że około dziewiętnastej. Będzie jeszcze widno, więc rozejrzemy się po okolicy, zanim zjawi się Beekerman.

- A jeśli Beekerman przybędzie po zmroku?

- Ma wokół domu światła.

- Może je wyłączyć.

Jane westchnęła. Nie była pewna, czy Wilder specjalnie szuka utrudnień, by nie narażać jej na niebezpieczeństwo, czy po prostu zachowuje się jak każdy odpowiedzialny partner: pomaga przemyśleć sprawę pod każdym kątem, aby uniknąć komplikacji i niepotrzebnego zagrożenia. Tak czy inaczej, Jane miała zamiar przekonać Wildera i samą siebie, że potrafi stawić czoła problemom w trudnej sytuacji. Był to konieczny warunek zaakceptowania siebie i zapewnienia powodzenia ich związku.

- No? - Wilder nie ustępował.

- Jeśli tak będzie, zastosujemy inną taktykę i wykorzystamy własne oświetlenie.

- Tak? - odosił się sceptycznie do tego pomysłu. Jane błyskawicznie znalazła odpowiedź.

- Tak. Wiesz, że ludzie czasami wożą ze sobą reflektor na wypadek, gdyby zepsuł im się samochód na drodze po zmroku? Cóż, możemy wpaść do sklepu motoryzacyjnego i kupić taki jeden. Myślę, że można wkręcić do niego żarówkę nawet o mocy stu pięćdziesięciu wat.... będziemy mieli dobre oświetlenie, jeśli ustawimy je odpowiednio podczas „naprawy” samochodu.

Wilder dłonią masował skroń, jakby bolała go głowa.

- Muszę przyznać, że to ryzykowne.

- Wilderze, nie ma gwarancji, że cokolwiek się uda, nie w tym zawodzie.

- Tak - zgodził się beznamytnie, kierując się ku wyjściu. - Szczególnie jeśli chodzi o bezpieczeństwo.

Wcześniej, tego samego dnia, Jane pokazała Ginny, jak piecze się ciasteczka jej ciotki i jak przyrządza się szwajcarski stek. Pieczeń dusiła

się w piekarniku przez całe popołudnie. Obie potrawy zostały Wilderowi podane na obiad. Rozmowa przy stole toczyła się głównie na temat smacznego posiłku oraz randki, na którą Ginny wybierała się tego wieczoru. Lecz mimo pozornego ożywienia, Jane wyczuwała, że między nią a Wilderem jest coś nie tak. Widziała to w jego oczach, słyszała w jego głosie, domyślała się tego tak wyraźnie, jakby powiedział wprost, że nie jest zadowolony.

Na szczęście Ginny nic nie zauważyła. Pochłonięta była słuchaniem pochwał wygłaszanych przez Wildera na temat jej umiejętności kulinarnych i opowiadaniem o Tommym. Gdy tylko skończyli jeść, dziewczyna przeprosiła ich i odeszła, by poprawić makijaż. Tego dnia Jane miała dyżur przy zmywaniu i spodziewała się, że Wilder zostanie z nią w kuchni na pogawędkę. On jednak wyszedł. Skoro tylko Ginny pobiegła na górę, wymamrotał coś o gabinecie i zniknął w holu.

Rozczarowana Jane pośpiesznie zmywała naczynia. Skończyła w momencie, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Omal nie zderzyła się z Wilderem w korytarzu, kiedy oboje biegli, by pożegnać się z młodzieżą. Stali patrząc, jak samochód rusza spod domu, a gdy jego światła zniknęły w mroku, Jane zwróciła się do Wildera:

- Skończyłam już zmywać.

Czekała, uśmiechając się zachęcająco. Czy teraz otworzy się przed nią, czy wyjawi jej to, co go gryzie? Ale czy ona naprawdę tego chciała? A jeśli Wilder wyzna, że martwi się zarówno jej brakiem umiejętności, jak i o jej bezpieczeństwo? A może są to dwie strony tego samego medalu?

Wilder objął Jane ramieniem.

- Chodźmy do gabinetu i pooglądajmy trochę telewizję.

- Nie sądzisz, że najpierw powinniśmy porozmawiać? Widzę, jak bardzo jesteś zdenerwowany.

Wilder bez słowa poprowadził Jane do gabinetu. Usiedli na kanapie; mężczyzna wziął ze stolika pilota i bawił się nim bezmyślnie.

- Nie uważam, że to nam pomoże w czymkolwiek. Jane położyła mu dłoń na ramieniu.

- To do ciebie niepodobne, Wilderze. Zawsze jesteś taki bezpośredni. Czy nie możemy sobie z tym jakoś poradzić?

- ...Nie wiem, jak... kochanie... to nowe uczucie jest dla mnie trochę dziwne. Zawsze, gdy miałem problem, potrafiłem wyłożyć karty na stół. Ale w tym przypadku jest inaczej.

Jane ujęła w dłonie jego twarz, delikatnie obracając ją ku sobie.

- Wilderze, wiesz jak bardzo pragnę się sprawdzić. Dlaczego nie chcesz tego zaakceptować, pomóc mi?

W półmroku pokoju niebieskie oczy Wildera pociemniały, jakby przemknął przez nie cień. Wydawało się, że walczy on z gwałtownym uczuciem, że zмага się z samym sobą.

- Dlatego, że... ale ty tego pewnie nie zrozumiesz... Kocham cię!

Serce Jane zabiło radośnie.

- Och, Wilderze, ja też cię Kocham.

Po policzkach ciekły jej łzy. Tak długo czekała na prawdziwą i trwałą miłość. Prawdę mówiąc, nie wierzyła nawet, że coś takiego istnieje. Przynajmniej dla niej. Choć czasem gdy przeczytała romans, obejrzała jakiś film o miłości czy zobaczyła parę młodych ludzi, którzy wyglądali na zakochanych, pojawiał się w sercu stary, dobrze znany jej ból.

- Kocham cię, Wilderze - powtórzyła, znajdując ulgę w tych słowach.

Wilder tak prędko otoczył ją ramionami, że prawie straciła oddech.

- Kocham cię tak bardzo i... tak mi to teraz dokucza. Rozumiesz. - Na chwilę ukrył usta w jej włosach. - Wiem dobrze, że Kochając kogoś, czasem trzeba przestać go kępować, pozwolić mu dojrzeć... ale moje serce buntuje się przeciwko tej prawdzie.

Odsunął się nieco, ujmując w dłoń podbródek Jane i szukając w jej oczach pociechy.

- Zawsze łatwo mi było mówić innym., dzieciakom, które uciekały z domu, przestępcom... że prawdziwa miłość niesie ze sobą odpowiedzialność przede wszystkim za siebie, tak by się miało odwagę kochać drugą osobę, która też nas chce pokochać... i stać się pełnowartościowym człowiekiem.

Jane poczuła przyływ uczuć. Zrozumiała, że Kocha Wildera tak bardzo, właśnie dlatego, że jest wrażliwy.

- Czasami trudno jest stosować się do tego, co uznaje się za właściwe, szczególnie w stosunku do ukochanej osoby. Martwię się o ciebie, Walker, ale spróbuję ci zaufać, dlatego że to co robisz, jest częścią ciebie.

Musnęła lekko ustami jego wargi.

- Zaufaj mi, proszę cię - nalegała zmysłowym tonem. Wilder pokrył jej usta serią namiętnych, głębokich pocałunków, jakby chciał ją całą pochłonąć. Jane objęła ramionami jego głowę, przyciągnęła go do siebie i zaczęła całować. Trzymając Kochanka za szyję, wyginała się niczym łuk, by całym ciałem poczuć, jak drżą jego silne mięśnie.

- Jesteś taka piękna. Taka śliczna. Wszystko w tobie jest śliczne... twoja skóra, włosy, oczy, usta... szczególnie usta...

Łaskotał wargami kąciki jej ust, by potem wpijać się w nie bez końca. Pilot wysunął mu się z dłoni i spadł miękko na dywan.

Gdy Wilder gorączkowo rozpiął guziki od bluzki Jane, ona czuła oblewające ją fale rozkoszy. Wsunęła mu dłonie pod koszulę i pieściła palcami jego sutki. Potem przesuwała swe ręce coraz niżej...

Wilder jęknął, zdejmując bluzkę z ramion kobiety i rozpinając biustonosz... Pieszczoty jego ust doprowadzały Jane do szaleństwa.

Pośpiesznie, jak w gorączce, zerwali z siebie resztę ubrań, rzucając je bezładnie na podłogę. Silne, nagie ciało Wildera połyskiwało w półmroku gabinetu. Jane błądziła rękami po jego szerokich ramionach i plecach. Pragnęła dotknąć go całego w jednej chwili. Mężczyzna również niespokojnie przebiegał po niej palcami, chcąc pojąć każdy centymetr jej nagiego ciała.

Opadli na miękkie poduszki kanapy.

- Boże, jak cię pragnę - jęczał. - Nie mogę się tobą nasycić. Chcę zostać w tobie... opiekować się tobą... i chronić cię moją siłą, moją miłością...

- Tak... Och, tak, moje kochanie...

Wszedł w nią, z początku ostrożnie, całując długo i namiętnie, aż rozpalila się w nich żądza, a ruchy stały się gwałtowne. Ogarnęło ich miłosne szaleństwo...

- Kocham cię, najdroższa... kocham cię - szeptał, łykając powietrze, gdy Jane przeżyła ciało, tak by wchodził w nią głębiej. Oboje osiągnęli pełnię rozkoszy, która eksplodowała w nich dziko, niczym u dwojga ludzi, którzy są w stanie pokonać wszelkie przeszkody na drodze do miłości.

Jane leżała potem długo pod ciężarem Wildera, słuchając jak powoli zwalnia się rytm jego serca.

- Dobrze ci? - spytał czule.

- Cudownie - westchnęła rozkosznie.

- Obiecuj mi, kochanie, że postarasz się za wszelką cenę, by to się nigdy nie zmieniło - wyszeptał przymykając powieki i składając głowę pomiędzy jej piersiami.

* * *

Wczesnym przedpołudniem Wilder przygotował dla Ginny, Jane i siebie obfite śniadanie. Potem zadzwonił do rodziców Tommy'ego z prośbą, by pozwolili Ginny spać u nich w domu tego dnia, gdyż, być

może, on i Jane będą przez całą noc poza domem. Rodzice chłopca zgodzili się chętnie i oznajmili, że Tommy odwiezie dziewczynę w poniedziałek rano do agencji, jeśli to będzie konieczne.

Ginny była oszołomiona. Zatrzymała się w połowie drogi do kuchni, z trudem utrzymując w równowadze stertę brudnych talerzy.

- Więc naprawdę się zgadzają? - spytała już trzeci raz od chwili, gdy Wilder odłożył słuchawkę. - I nawet zaprosili mnie na obiad?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko do Jane, która zbierała sztućce.

- Tak, skarbie. Powiedzieli, że umierają z pragnienia, by cię poznać i że Tommy przyjedzie tu po ciebie o szesnastej.

- Super! Zajmę się swoją kreacją. Naprawdę chcę zrobić na nich wrażenie.

- Nie sądzę, żebyś miała z tym jakieś kłopoty. - Wilder zrobił oko do Jane.

- Sądzicie, że będę musiała spać na sofie, czy na czymś takim? - Ginny zmarszczyła brwi. - Kurczę, a to kłopot. Nie będę mogła w takiej sytuacji założyć mojej piżamki z szortami. Bo przecież mógłby mnie zobaczyć służący, czy ktoś inny, nie?

- Jestem pewien, że dostaniesz własny pokój.

- Naprawdę?

- Tak. Pani Hamilton powiedziała, że mają sześć pokoi gościnnych.

- Och! Dobrze, mam nadzieję, że nie dostanę takiego z burymi tapetami, które niektórzy ludzie uważają za szalenie modne. - Ginny zrobiła mądrą minę. - Czerwony byłby najlepszy. Myślę, że zapytam mamę Tommy'ego, czy mają taki kolor tapet... Nagle westchnęła głośno. - O kurczę! Założę się, że używają przy posiłkach więcej niż jednego widelca! Co mam zrobić, powiedzieć im, że nie jestem głodna?

Jane podeszła do dziewczyny i otoczyła ją ramieniem.

- Nie ma się czym przejmować. Jeśli położą więcej niż jeden widelec, to po prostu zaczniesz brać sztućce od zewnątrz, aż do ostatniego. Jeśli ci się coś pomyli, to obserwuj panią Hamilton... tylko dyskretnie.

Ginny odetchnęła z ulgą.

- Dobrze. To proste. Mogę tak zrobić - Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Jane. - Dzięki. Wybaczcie mi, ale teraz pójdę już na górę. Muszę zrobić ze sto rzeczy: zastanowić się nad strojem, pomalować paznokcie, spakować się...

- Oczywiście. A gdyby nie udało nam się już porozmawiać przed twoim wyjściem, to chcę, żebyś wiedziała, że życzę ci wspaniale

spędzonego czasu u Hamiltonów. I nie martw się, Ginny. Z pewnością spodoba im się ktoś tak szczególny jak ty.

Ginny rozpromieniła się.

- Naprawdę? Och, jak to dobrze. Czuję się lepiej... tylko trochę... martwię się... o ciebie i o Wildera. Jesteście pewni, że to, w co się wplątaliście, to rutynowa sprawa? To znaczy, że wam się nic nie stanie? - Nerwowo kręciła kosmyk włosów.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła ją Jane, nie patrząc na Wildera.

- To tylko zwykła inwigilacja, która może przeciągnąć się do późna, dlatego chcieliśmy zapewnić ci opiekę na noc.

- Tak, w porządku - odetchnęła Ginny. - Jestem... - Wbiła wzrok w podłogę i zaczerwieniła się. - Bardzo mi na was zależy, wiecie?

Wilder żartobliwie uszczypnął Ginny lekko w policzek.

- Hej, my też cię lubimy, dzieciaku. A jeśli myślisz, że spadniemy ze skały, czy coś takiego, i że zostawimy cię samą, byś przez cały dzień objadała się słodyczami, to jesteś bardziej postrzelona niż pani S.

Ginny roześmiała się.

- Dobrze, już dobrze. Do zobaczenia jutro w biurze, tak?

- Tak - potwierdziła Jane, ściskając ją.

- Bez względu na pogodę - dodał stanowczo Wilder, patrząc na Jane.

Dom Beekermana okazał się ogromną budowlą, przypominającą bungalow: był pomalowany na żółto i miał białe okiennice. Wznosił się dumnie na szczycie stromej skały nad jeziorem. Żeby do niego dotrzeć, trzeba było zjechać w bok od autostrady na żwirową ścieżkę, przebyć niecały kilometr stromą, wyboistą drogą bez nawierzchni i skręcić ostro w wąską, asfaltową uliczkę, która z kolei może niecałe pięćdziesiąt metrów przed domem zakręcała w dół, do podnóża skały. W pobliżu owej uliczki znajdował się podjazd.

- Wcale mi się tu nie podoba - narzekał Wilder.

- Można się tu dostać tylko jedną drogą, co znaczy, że i wydostać się stąd trzeba tą samą. Gdybyśmy utknęli w ślepym zaułku na końcu tej skały...

Siedzieli w samochodzie wuja Berta. Był to nieduży garbus z napędem na przednie koła. Zaparkowali wóz, ustawiając go za gęsto rosnącymi tu drzewami. Była osiemnasta trzydzieści. Wolno zachodzące słońce przedzierało się przez płataninę gałęzi nad ich głowami. Siedzieli skapani w bładozielonym świetle.

- Nie wpadniemy w żadną pułapkę, Wilderze. Po prostu się wycofamy. Gdyby się coś działo, możemy błyskawicznie stąd uciec.

- Będę musiał pamiętać, żeby nie parkować samochodu tyłem. Kilka metrów w złym kierunku i wylądujemy w jeziorze.

Jane podniosła na niego wzrok.

- Musimy tylko udawać, że zepsuł nam się samochód, gdy Beekerman zbliży się do nas. Założę się, że widział tu już sporo ludzi, którzy zabłądzili, nie wiedząc, że jadą ślepą uliczką. Niektórzy pewnie wysiadali ze swoich samochodów, by rozejrzeć się po okolicy. Bo tu jest ładnie.

Pochyliła się nieśmiało, by pocałować go w policzek.

Odwrócił się powoli w jej stronę.

- Tak, i ty jesteś ładna.

- Dziękuję ci. To strój dla zmylenia przeciwnika.

- Naprawdę? - Ogarnął ją spojrzeniem pełnym podziwu.

- Hmm, gdybyś zobaczył kobietę w błękitnej sukience w marynarskim stylu, z dużym białym kołnierzem, i do tego w niedzielne popołudnie, czy nie pomyślałbyś, że przybyła tu po to, by cieszyć się wspaniałą wiosenną pogodą? - Sięgnęła na tylne siedzenie. - Zwłaszcza, gdyby miała na głowie słomkowy kapelusz z szerokim rondem i ze wstążkami? - Odłożyła kapelusz na miejsce. - Ubrałam się odpowiednio do roli, jak widzisz. Niewinny, romantyczny wygląd na niedzielnej przejażdżce.

Trzepotała rękami, uśmiechając się kokieteryjnie.

- Rozumiem. Cóż, kochanie, pozwól, że ci coś powiem. Wyglądasz wspaniale w każdym calu, ja jednak wiem, że nie jesteś niewinna...

- Wilderze! - próbowała go strofować. Jednocześnie poczuła ulgę, że wreszcie się odprężył. Pochyliwszy się wodziła palcem po jego szyi, zadając mu tym słodką mękę.

- Wsiądźmy i rozejrzyjmy się wokół, nacieszmy się przez parę minut widokiem, zanim zaczniemy obserwować dom. Myślę, że usłyszymy zbliżający się samochód.

- Kochanie, nie wiem, czy to...

- Nie każ mi iść samej, Wilderze.

Bębniąc palcami po kierownicy, Wilder patrzył przed siebie. Wreszcie, acz niechętnie, zdecydował się wyjść z samochodu. Poszli wąską ścieżką między drzewami w stronę porośniętej trawą polanki, wiodącej do połyskującego błękitem jeziora. Krajobraz zdominowały tęcze płamy dzikich kwiatów, które wysuwały swoje główki nawet pomiędzy rozpadlin w ścianie skalnej.

Lekki wiatr rozwiewał włosy Jane i plątał długie wstążki kapelusza, które kołysały się przy każdym podmuchu, łaskocząc jej policzki. Wilder wziął dziewczynę za rękę i okręcił tak, że znalazła się w jego ramionach. Próbował zdjąć jej kapelusz. Jane zabrała mu go, uśmiechając się i stając na palcach, by spotkać jego rozchylone usta. Całowali się długo, a kiedy puścił ją wreszcie, brakowało jej tchu.

Wilder popatrzył Jane w oczy, jakby chciał ją zatrzymać przy sobie na zawsze. Przyglądała mu się zauroczona. Był taki przystojny. Miał na sobie dzinsy oraz lekką, niebieską wiatrówkę z postawionym kołnierzem i płóciennymi wstawkami. Słońce ślizgało się po jego ciemnej czuprynie, połyskując na kilku srebrnych włosach na skroniach.

- Kocham cię - szepnęła.- Wszystko będzie dobrze. Skinął głową, nie odrywając od niej oczu.

- Tak? Czy masz przy sobie broń? Na wypadek, gdyby coś się zaczęło dziać.

Sięgnęła głęboko do kieszeni spodnicy i wyjęła broń, którą wyczyściła i sprawdziła kilka godzin wcześniej. Wilder wziął pistolet, obejrzał go krytycznym okiem i oddał Jane.

- Dobrze. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku.

- A ty? Gdzie masz broń? Poklepał tylną kieszeń.

- Tutaj. No i też ją już sprawdzałem.

- O, to dobrze.

Rozmawiając o broni, otrząsnęli się z marzeń. Jane zerknęła na zegarek. Za pięć siódma.

- Lepiej wróćmy na miejsce.

Wilder skinął ponuro głową, rozglądając się wokół.

- Zaraz zrobi się ciemno.

- Tak. Myślę, że Beekerman właśnie wtedy przyjedzie. Dotknęła przelotnie jego twarzy.

- Chodź. Wróćmy do samochodu i poczekajmy.

Minęła dziewiętnasta. O dwudziestej włączyły się automatycznie lampy wokół domu Beekermana. Wilder zapalił już trzecie cygaro tego wieczoru. Minęły następne trzy godziny, w czasie których nic się nie wydarzyło. Dwadzieścia po jedenastej Wilder przeciągnął się i cicho jęknął.

- Posłuchaj, czekamy do północy i jeśli do tej pory Beekerman się nie zjawi, wiejemy stąd. Wróćmy tu jutro.

Jane zaprzeczyła ruchem głowy, sięgając do łydki, by rozmasować skurcz.

- Nie. On tu jeszcze przyjdzie. Ja to po prostu wiem. Jeśli weźmie dzisiaj wieczorem naszyjniki, to będzie miał cały jutrzejszy dzień na przygotowanie ich, bo przecież restauracja będzie nieczynna. Myślę, że Beekerman celowo zwlekał tych kilka dni z kradzieżą reszty naszyjników. Macaroni prawdopodobnie zostałby zabity w zeszły wtorek, gdyby Beekerman nie potrzebował jego podpisu na dokumencie przy dostawie naszyjników w porcie w tym tygodniu.

- Tak. Zaczynam podejrzewać, że on rzeczywiście zamierza sprzątnąć biednego Macaroniego zaraz po tym, jak ten podpisze się na karcie przewozowej we wtorek.

Jane zagryzła wargę.

- W takim razie, tym bardziej trzeba powstrzymać Beekermana, zanim Macaroni znajdzie się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Zgadzasz się?

Wilder skinął głową.

- Tak, oczywiście, że się zgadzam.

Oparł głowę na siedzeniu i przymknął powieki.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że Beekerman może w tej chwili być gdzieś po drugiej stronie miasta i napełniać muszelki kokainą. Może pomyliliśmy się co do miejsca.

Nagle Jane wyprostowała się.

- Nie, nie sędzę, Wilderze. Patrz! Otworzył oczy, pochylając się do przodu.

- Może to są światła samochodów jadących drogą.

Ciemny samochód zakręcił powoli na podjazd do domu Beekermana. Kierowca wyłączył zapłon i światła, wysiadł z wozu, rozejrzał się wokół. Gdy odwrócił się, by spojrzeć w ślepą uliczkę, Jane zobaczyła go wyraźnie w świetle reflektora przy podjeździe.

- To Beekerman! - syknęła do Wildera. - Szef policji podał mi jego rysopis. Jest niski, krępy, ma ostre rysy twarzy, ciemne włosy i około czterdziestu pięciu lat. Widzisz? To Beekerman.

Wilder pochylił się niżej na siedzeniu i kazał Jane zrobić to samo.

- Tak. Masz chyba rację. Zobaczymy, co ten mały gnojek chce zrobić.

Siedzieli w milczeniu, obserwując Beekermana. Ten chodził tam i z powrotem przez kilka minut. Nagle podszedł prędko do końca podjazdu, gdy na wzgórzu zabłyśły reflektory samochodu.

- Wygrałam - powiedziała cicho Jane. - Oto jego pomocnicy.

Przed samochodem Beekermana zatrzymała się ciemnoniebieska furgonetka. Dwaj krzepcy mężczyźni średniego wzrostu wysiedli z wozu i co najmniej przez dziesięć minut rozmawiali ze swoim szefem.

- Teraz wyłączmy światła wokół domu, mogę się o to założyć - ostrzegł Wilder.

Dwie minuty później dziedziniec pograżył się w ciemnościach.

- Cholera! - zaklął Wilder pod nosem

- Może będziemy musieli poczekać, aż wszyscy wejdą do domu, i wtedy podjechać tam, udając, że popsuł się nam samochód, i że zabłądziliśmy - mówiła Jane z przejęciem. - Ja zagram rolę rozhisteryzowanej turystki, a ty oświetlisz okolicę reflektorkiem...

W ciemności rozległ się głośny krzyk:

- Cholera, Beekerman! Uderzyłeś mnie w kostkę. Zapal chociaż jedną z tych lamp, żebyśmy widzieli, co robimy. Nie zamierzam pieprzyć się z tą latarką i jeszcze nieść wszystkich kartonów. Tutaj nikt nas nie zobaczy.

- Dobrze już! Chciałem tylko zachować ostrożność.

- Beekerman. On nam pomoże - szepnęła Jane podniecona. W ciągu kilku chwil znów zapaliły się światła. Beekerman z dwoma osilkami podszedł z tyłu do ciężarówki; zaczęli z niej coś wyładowywać. Jane widziała jedynie sylwetki pochylających się mężczyzn.

- Cholera, za tą furgonetką jest za ciemno, żeby coś zobaczyć - narzekał Wilder.

Jane położyła mu dłoń na ramieniu. - Poczekaj. Przejdą obok lamp, gdy zabrają towar do garażu.

I Najbardziej krzepki z trzech mężczyzn pierwszy doszedł do lamp. Niósł coś, co wyglądało na pudełka przykryte kocem.

- Świetnie. Módl się o silny wiatr - mamrotał Wilder.

- Chyba będziemy musieli sami sobie pomóc - odparła Jane, kładąc dłoń na klamce. - Prześliznę się między drzewami wzdłuż skały i podejść do garażu od tyłu. Może zobaczę bez przykrycia choć jedno z tych pudełek, gdy wniosą je do środka. Drzwi są otwarte.

- Nie - syknął z naciskiem. - To zbyt ryzykowne...

- Ty wysiądź i schowaj się za ten żywopłot nie opodal podjazdu - poleciła mu Jane, wyslizgując się bezszelestnie z samochodu. - W ten sposób jedno z nas na pewno zobaczy coś, co przynajmniej dowiedzie tego, że Beekerman ukradł naszyjnik Macaroniego.

Walder kręcił stanowczo głową, próbując chwycić za rękę, lecz ona odskoczyła na bok i zniknęła między drzewami. Gdzieś w oddali odezwała się sowa, gdy Jane na czworakach posuwała się ukradkiem wzdłuż skały, starając się nie patrzeć w dół na ciemnobłękitne jezioro. Białe światło księżyca pomogło jej znaleźć drogę. Prawie naprzeciwno

garażu rosły drzewa, które zauważyła już wcześniej, gdy stali z Wilderem na skale.

Leżąc płasko na brzuchu w mokrej od rosy trawie, obserwowała, jak trzej mężczyźni kręcą się przy świetle i wchodzą do garażu. Wykorzystując stosowny moment, zerwała się do biegu i ukryła za drzewami. Skręciła kilka razy, by znaleźć się z tyłu budynku. Przyłgnęła do ściany w chwili, gdy drzwi garażu zamknęły się z hukiem. Księżyc zniknął za chmurami. Wtedy też wyłączono lampy wokół domu. Jane dotknęła ręką szyby w oknie, równocześnie w środku zabłysło światło. Pośpiesznie cofnęła dłoń, przywierając płasko do ściany.

Słyszała stłumione szepty mężczyzn w garażu. Ostrożnie zbliżyła się do okna. Szyby były bardzo brudne, ale dostrzegła, jak Beekermana prędko zerwał z pudełko koce i odrzucił je na bok. Przeczytała wyraźne napisy na kartonach: CLUTTER AND COMPANY, TAMPA, FLORIDA. Poniżej, nieco mniejszymi, czerwonymi literami było napisane: PLASTYKOWE NASZYJNIKI.

- Wygrałam - mruknęła Jane po raz drugi tej nocy. Kusiło ją, by zostać dłużej i zobaczyć, jak Beekerman i jego pomocnicy napełniają muszelki kokainą, ale wiedziała, że Wilder na nią czeka. Nie powinna zresztą kusić losu. Widziała już dostatecznie dużo, by szef policji mógł otrzymać pozwolenie na rewizję. Może Wilder też dojrzał coś ważnego.

Nagle w garażu zgasło światło. Jane przerażona wpatrywała się w miejsce ponad drzewami, gdzie za chmurami schował się księżyc. Została w ciemnościach. Wzięła głęboki oddech i nakazała sobie samej nie wpaść w panikę. Powoli czołgała się wzdłuż ściany. Chciała dotrzeć z powrotem do drzew, od których dzieliło ją zaledwie kilka metrów. Gdy zrobiła krok naprzód, po jej stopie przemknął cień. Nastąpiła na coś miękkiego i kudłatego. Opanowała krzyk, choć straciła równowagę i upadła twarzą na ziemię. Przestraszone zwierzę zaczęło piszczeć.

W garażu znów zapaliło się światło. Jane usiłowała wstać, z trudem łapiąc oddech, gdy wtem ktoś wyszedł zza rogu budynku. Podniósłszy się, Jane stanęła oko w oko z Beekermanem i lufą jego pistoletu.

- Wygląda na to, że koty naprawdę przynoszą nieszczęście - burknął.

* * *

Jane, siedząc przywiązana do drewnianego krzesła w piwnicy Beekermana, przyglądała się, jak szef i jego dwaj pomocnicy otwierają muszelki plastikowych naszyjników i ostrożnie napełniają je

odmierzonymi porcjami kokainy. O ile Jane mogła się zorientować, od chwili gdy ją schwytali, upłynęło blisko pół godziny.

Najszczęśliwszy z mężczyzn, ten który wnosił przy świetle reflektorów kartony, odwrócił się, by na nią popatrzeć.

- Gdybyśmy się tak nie spieszyli z tymi naszyjnikami, chyba zostalibyśmy oboje bliskimi przyjaciółmi, laleczko.

- Zamknij się, Max - ostrzegł go Beekerman. Drugi mężczyzna miał na imię Tony. Sapał głośno.

- Może zostanie nam później trochę czasu... zanim zdecydujemy, co z nią zrobić.

Jane przezornie milczała. Jak dotąd nikt nie zaproponował, by ją zakneblować, prawdopodobnie dlatego, że żaden z mężczyzn nie spodziewał się, by ktokolwiek mógł usłyszeć jej wołanie na tym odludziu. Czuli się tu pewnie i mogli zrobić z Jane, co chcieli... A jednak ona bardziej bała się o Wildera niż o siebie. Co się stanie, jeśli Beekerman i jego ludzie zwątpią jeszcze bardziej w prawdziwość jej opowiadania i pójdą na poszukiwanie jej towarzysza?

Jane powiedziała, że pokłóciwszy się ze swoim chłopakiem, wsiadła w samochód i uciekła. Jadąc przed siebie, natknęła się na ślepy zaułek. Siedziała jakiś czas w samochodzie łkając, a potem wysiadła, by powłóczyć się bez celu. Żaden z mężczyzn nie dał się do końca nabrać na tę wersję wydarzeń. Na szczęście jednak mieli tak mało czasu, że nie próbowali siłą wydobyć z niej prawdy. Tony odszedł, by uszkodzić jej samochód i uczynić go w ten sposób niezdolnym do jazdy. Wrócił nie podejrzewając, że Jane była z kimś jeszcze, co oznaczało, że Wilder wciąż ukrywa się przy drodze albo już poszedł szukać pomocy.

Jane próbowała obliczyć, ile czasu zajmie Wilderowi droga do najbliższego bezpiecznego miejsca, z którego będzie mógł zadzwonić po pomoc. Przypomniała sobie, że widziała przy autostradzie sklep całodobowy, może jakieś sześć i pół kilometra od domu Beekermana. Jeśli więc Wilder już wyruszył, to nie będzie go przez najbliższe czterdzieści pięć minut, może dłużej.

- Na pewno nikogo z tobą nie było, laleczko? - spytał naraz Max z za długiego stołu oddalonego od Jane o jakieś cztery i pół metra.

- Tony przysięgał, że wyczuł w tym twoim samochodzie świeży zapach cygara, a w popielniczce znalazł trzy niedopałki.

- Naturalnie. Był ze mną mój chłopak - odparła spokojnie, przerywając na chwilę dla odpowiedniego efektu: by po jej policzku spłynęła łza. - Ten gówniarz pali cygara. Często prowadzi mój

samochód. Rzeczywiście prowadził go dziś rano... zanim go wykopałam z domu. Ale to koniec, mówię wam! Skończyłam z nim.

- Postaram się, żebyś nigdy więcej nie musiała patrzeć na tego szczura. O ile w tej historyjce jest choć ziarno prawdy - odezwał się beznamiętnie Beekerman.

- To i tak nie ma żadnego znaczenia - odparł Tony. - Pozbędziemy się tej laluni, tak czy inaczej... Nie można ryzykować.... przynajmniej nie tym razem, jeśli mamy przeprowadzić we wtorek wieczorem taką wielką transakcję. Cholera, już się wygadaliśmy przed tym głupkiem Macaronim...

- Zamknij się - upomniał go Beekerman, tak jak wcześniej strofował Maxa.

Max rzucił na szefa złe, ponure spojrzenie.

- Nie miała przy sobie żadnego dokumentu czy broni? Jesteś pewien, Beekerman, że ona nie jest z policji?

- Mówiłem ci, że nie miała. Nic nie miała! - Beekerman obrzucił Jane spojrzeniem pełnym pogardy. - Jeśli ona jest z policji, to ja jestem świętym Mikołajem.

Tony zachichotał odrobinę za głośno.

- Tak, nigdy nie widziałem policjantki w marynarskiej sukience. One noszą spodnie. Myślą, że są równie dobre jak faceci - sapał wzburzony.

Jane o mały włos nie odetchnęła z ulgą. Gdy Beekerman ciągnął ją za sobą tutaj, trzymając lufę pod jej żebrami, udało się jej włożyć rękę do kieszeni. Gdy tylko wyszli poza krąg światła, które sączyło się przez okno, upuściła broń w gęstą trawę. Tak było bezpieczniej.

Beekerman popatrzył groźnie na Maxa i Tony'ego.

- Przestańcie się na nią gapić i pospieszcie się. Mam tyle tego do napełnienia, a we wtorek będziemy mieli jeszcze więcej...

- Tak - zgodził się Tony. - Jeśli nie przyjdziemy na molo we i wtorek o północy, Zieloni Bracia wściekną się jak diabli. Słyszałem, że nie cackają się z tymi, którzy zawalają robotę...

- Zamkniesz się wreszcie! - krzyknął Beekerman. - Pracuj, a nie miel ozorem.

Tony popatrzył wyzywająco na tamtego.

- Słuchaj, ty gnojku, nie podnoś na mnie głosu, dobrze! Gdyby nie Max i ja, sam byś się bawił tymi plastikowymi muszelkami. Zieloni Bracia nie brudzą sobie rączek czarną robotą. Ich specjalność to kontrakty zagraniczne.

- Myślę, że dlatego właśnie Beekerman jest tak wkurzony. Wścieka się, bo musi robić czarną robotę, gdy oni siedzą sobie w Nowym Jorku i obmyślają, jaki procent przypadnie im w udziale.

- Tak - zgodził się Tony. - Ale my byśmy nigdy nie zawarli układu z tym Fredem... Kim on jest? Jak go nazywają?

- Dyktator.

- Powiedziałem wam obu, żebyście się zamknęli - warknął Beekerman. - Kur... z każdym rokiem stajecie się coraz gorsi. Co wy robicie, że jesteście tak beznadziejnie głupi?

- Uważaj, co mówisz - ostrzegł go Max. - Wychowałeś się w tej samej dzielnicy, co my. Nie jesteś wcale lepszy. I nam przynajmniej możesz ufać, czego nie da się powiedzieć o większości twoich znajomków z kryminału.

Gdyby Jane nie znajdowała się teraz w tak niebezpiecznej sytuacji, cała scena rozśmieszyłaby ją do łez.

Przez następne kilka minut mężczyźni pracowali w milczeniu, ale napięcie stało się nie do zniesienia. Wykorzystując moment ich nieuwagi, Jane rozejrzała się po pomieszczeniu, ustalając trasę ucieczki na wypadek, gdyby zdarzyła się ku temu okazja.

Gdzie, do licha, podział się Wilder? Dlaczego do tej pory nie sprowadził pomocy? Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl. Może Tony zranił Wildera, a teraz tylko czekał, by ich o tym poinformować. Może już wcześniej zamierzał podroczyć się z Jane udając, że wierzy w jej opowiadanie. Przeszły ją ciarki, lecz starała się zachować zimną krew.

Wróciła do studiowania możliwej trasy ucieczki. Dokładnie naprzeciw niej, w odległości jakichś czterech metrów, znajdowały się drzwi prowadzące na górę do kuchni. Jedyne wyjście okalało się maleńkie okno, lecz nawet dziecko nie mogłoby się przez nie prześliznąć. Jane uporczywie wpatrywała się w drzwi, pragnąc ujrzeć w nich Wildera. Ale zdała sobie sprawę, że stół, przy którym pracują mężczyźni, stoi właśnie przy drzwiach w wąskiej części piwnicy.

Gdyby Wilder czy ktokolwiek inny próbował ją uratować, bandyci mieliby wyraźną przewagę. Jane musiała jakoś zmienić tę sytuację.

Nagle usłyszała nad głową ledwie słyszalny dźwięk. Czyżby podłoga z desek skrzypiała pod ciężarem kogoś, kto skradał się na palcach? A może to tylko jej wyobraźnia... W każdym razie Jane wołała, by Beekerman i jego kompani nie usłyszeli owych odgłosów.

Zacząła śpiewać, z początku bardzo cicho, potem coraz głośniej. Jedyną piosenką, jaka przychodziła jej na myśl w tej chwili, była ta,

której Ginny bez końca słuchała ze swego magentofonu: „Nie jestem niczym dzieckiem”.

„Nie jestem niczym dzieciakiem, lecz nie mam pewności takiej...”

- Zamknij się do cholery! - krzyknął Beekerman. - Nie potrzebujemy twojego wycia!

- Podoba mi się ta piosenka - powiedział Tony. - Niech śpiewa. I tak nikt, z wyjątkiem nas, jej nie usłyszy.

Nad głową Jane znów zaskrzypiała podłoga. „Jeśli chcesz zobaczyć, co jestem warta, po prostu zdaj się na farta...”

- Mówiłem ci, żebyś się zamknęła! - powtórzył ze złością Beekerman.

„Zadzwoń do mnie od niechcienia, nie masz przecież nic do stracenia...”

- Starczy! - krzyknął Beekerman. - Tony, idź tam do niej i przyłóż jej lufę do głowy. Jeśli nadal będzie śpiewała, zastrzel ją! Nie mogę dłużej babrać się z tymi naszyjnikami w takim hałasie. Tony zawahał się i szepnął coś do Maxa.

- Na co, do cholery, czekasz? - grzmiał szef. - Na gwiazdkę?

- Nie... - Tony zrobił się czerwony. - Ja tylko... ja nigdy przedtem... nie zastrzeliłem kobiety.

Max stanął w obronie kolegi.

- Ja też nie, Beekerman. Choć obaj z Tonym zastrzeliliśmy kupę facetów. Wiesz o tym.

- Tak - potwierdził Tony. - Więc nie chodzi o to, że tchórzymy, Beek.

Beekerman wstał tak szybko, że omal nie przewrócił stołu.

- Mówiłem ci nie raz, nie dwa, żebyś nie zwracał się do mnie w ten sposób. To idiotyczne przyzwyczajenie i wcale mi się nie podoba!

Tony podniósł do góry ręce.

- Dobrze, już dobrze. Nie musisz się tak unosić. Trudno mi zwalczyć ten nawyk. Mówię tak do ciebie od czasu, gdy zostaliśmy sąsiadami, stare dzieje...

- Czy to miejsce wydaje ci się starą rudera? - Beekerman był tak wściekły, że jego głos przeszedł w belkot - A jeśli już tak się boicie zabić kobietę, to po co wcześniej tyle gadaliście, że i tak się jej pozbędziecie?

Tony i Max popatrzyli na siebie.

- Cóż - zaczął powoli Tony - myśleliśmy, że ty to zrobisz, gdyby to było konieczne, oczywiście.

- Pięknie! - krzyczał Beekerman. - W Mount Haven mieszka pięćset tysięcy ludzi, a ja wziąłem sobie na współników takich idiotów.

Zbliżył się do Jane i wycelował w nią pistolet

- No, zamkniesz się, czy nie?

- Przepraszam - mruknęła Jane, w momencie gdy drzwi do piwnicy otworzyły się z hałasem. Zdażyła tylko zauważyć, że Wilder jest sam.

- Za tobą! - krzyknęła przeraźliwie, kopiąc jednocześnie Beekermana prosto w czule miejsce. Upadł na podłogę, wijąc się z bólu. Broń wyleciała mu się z dłoni. Wilder wykonał błyskawiczny obrót i wymierzył pistolet w Toniego i Maxa. Obaj mężczyźni wciąż siedzieli przy stole, gapiąc się bez słowa na swego szefa leżącego na ziemi. Beekerman wciąż jeszcze wił się i jęczał.

- Nic ci się nie stało, kochanie? - zapytał Wilder, wycofując się powoli w jej kierunku i nie spuszczać wzroku z pomocników Beekermana.

- Czuję się świetnie - odparła, dziwiąc się swemu opanowaniu. - Ale proszę rozwiąż mnie.

Wilder znalazł się za jej krzesłem. Jedną ręką manipulował przy węzłach, w drugiej ciągle trzymał pistolet. Klął przy tym raz po raz. Wreszcie udało mu się rozplatać sznur. Jane zerwała się i pobiegła po broń Beekermana.

- Kto cię tak związał, co cholery? - mruczał pod nosem Wilder. - Zupełnie, jakby dziecko usiłowało zawiązać sobie sznurowadła.

- To ten - odpowiedziała, wskazując jednego z mężczyzn. - No Tony, zobaczymy, czy zapłaczesz Beekermana równie dobrze, jak mnie.

- Nie przyjmuję rozkazów od żadnej kobiety - oznajmił. Wilder zrobił krok naprzód, ale Jane dała mu znak, żeby się odsunął.

- Aleja nie zawaham się i zastrzelę mężczyznę.

Tony wstał natychmiast, ukląkł przy Beekermanie, wziął sznur, który podał mu Wilder, i zabrał się do związywania rąk szefa.

- Mówiłem ci, żebyśmy ją wykończyli - mówił do Beekermana, który gapił się na niego z niedowierzeniem.

- Co cię tak długo zatrzymało, Wilderze? - spytała tymczasem Jane.

- Powiem ci, ale najpierw idź na górę i wezwij policję. Wierz mi, sam się już trochę niepokoiłem. Dopóki nie usłyszałem, jak śpiewasz.

Uśmiechał się szeroko.

- Nie mogłem w to uwierzyć. Piosenka z Dzikiego Zachodu, którą nuci dama, nadająca się raczej do opery. Idź kochanie, prędko. Później będziemy mieli dużo czasu na rozmowy.

Jane ruszyła do drzwi.

- Jeśli jesteś taka twarda, to dlaczego słuchasz jego rozkazów? - zawołał za nią rozdrażniony Tony.

Jane odwróciła się.

- To proste. Po pierwsze, Wilder wcale mi nie rozkazuje, tylko prosi. A to duża różnica, Tony. Może zastanowisz się nad tym w więzieniu. Będiesz miał tam dużo czasu. Po drugie - uśmiechnęła się czule do Wildera - ja go kocham.

Brygada do walki z przemytem narkotyków przybyła kilka minut po telefonie Jane. Podczas gdy kilku mężczyzn zajęło się dokładnym zbieraniem kokainy, pozostali eskortowali Beekermana i jego dwóch pomocników do wozów policyjnych. Jane i Wilder poszli za nimi.

- Powinniśmy byli ją wykończyć - krzyknął Max do Tonie-go. - Wiedziałem, że jest z policji.

- Ona jest prywatnym detektywem - poprawił go Wilder, przytulając Jane. - I to cholernie dobrym.

- Nie widziałem, żebyś ty miał zamiar to zrobić - odszczeknął Tony Maxowi. - A jeśli o mnie chodzi, to lepiej niech nas posadzą w oddzielnych celach, bo inaczej zatłukę cię na śmierć!

- Ty, czy może ktoś inny?

- Lepiej obaj się módlcie, żeby Zieloni Bracia nie znaleźli się w tym samym więzieniu, co wy - przypomniała im Jane spokojnie. - Jeśli już mówicie o tych innych osobach.

Tony i Max wymienili zdziwione spojrzenia, gdy policjanci pomagali im wejść do osobnych pojazdów. Za nimi, w trzecim samochodzie, miał jechać Beekerman.

- Szef policji czeka na was w swoich biurze - zawołał do Jane i Wildera mężczyzna w mundurze. - Chce usłyszeć od was pełne zeznania.

Wilder skinął głową.

- Dobrze, ale musicie nas podwieźć do miasta. Wygląda na to, że nasz samochód nie zajedzie daleko.

- Nie ma problemu. Poczekaście tu chwilę, któryś z nas podwiezie was na miejsce.

Włączono z powrotem wszystkie światła przed domem. Wilder wziął Jane za rękę i pociągnął za sobą, stanęli z dala od migających czerwonych świateł policyjnych.

- Usiądźmy na trawie i porozmawiajmy o tym, co się każdemu z nas przydarzyło.

Usiedli u podnóża skały, tonąc w gęstej, zielonej murawie. Wilder objął Jane ramionami i odwrócił ją ku sobie. Palcami delikatnie pieścił jej policzki. Fale na jeziorze kołysały się sennie.

- Tak się o ciebie martwiłem - szepnął.

Jane westchnęła. Była taka szczęśliwa, że jest już bezpieczna i że Wilderowi nic się nie stało.

- I ja się o ciebie martwiłam.

- Czekałem tak długo na ciebie... Nie mogłem zobaczyć żadnych napisów na tych kartonach. Już miałem iść cię poszukać, gdy usłyszałem pisk kota.

- Gdzie wtedy byłeś? - Jane podniosła dłoń, by wygładzić jego ciemne włosy.

- W tym cholernym dole po drugiej stronie drogi. Przyciłem się. Próbowałem dostać się na żywopłot, ale Beekerman i jego ludzie przez cały czas kręcili w pobliżu.

- Widziałeś, jak Beekerman wyszedł na zewnątrz, wyłączwszy światła wokół domu i zamknąwszy drzwi do garażu...?

- Nie. Ale przez cały wieczór zdążyłem obejść okolicę. Zauważyłem, że garaż ma także tylne drzwi, po przeciwnej stronie wjazdu. Beekerman musiał się tamtędy wydostać.

Wilder sięgnął do tylnej kieszeni spodni.

- Jeśli chodzi o ścisłość, znalazłem tam twój pistolet: leżał w trawie.

Jane odłożyła broń za siebie.

- Ukryłam go, bo nie chciałam, by domyślili się, że mam coś wspólnego z policją. Beekerman usłyszał mnie, gdy nastąpiłam na tego kota.

Wilder pocałował ją w czoło.

- Miałem przecucie, że ten kot ma coś wspólnego z twoim zniknięciem. Gdy usłyszałem jego pisk, odczekałem kilka chwil i poszedłem cię szukać. - Przeczesał dłonią włosy. - Nie mogąc cię znaleźć, domyśliłem się, że na pewno cię złapali i że jesteś gdzieś wewnątrz domu. Biegałem wokół, próbując zorientować się, jak wejść do środka, ale całe to miejsce jest tak chronione, że bałem się krzyczeć albo strzelać. Nie byłem pewny, czy gdybym to zrobił, Beekerman nie zastrzeliłby cię... - Przytulił ją jeszcze mocniej. - Boże, byłem jak oszalały... Więc ruszyłem w kierunku samochodu, przedzierając się między drzewami... Ale ktoś wyrwał stacyjkę.

- Tony.

- W każdym razie, wtedy powziąłem decyzję. Pomyślałem, że zanim wezwę pomoc, zdemontuję system alarmowy. Okazało się to jednak o wiele bardziej skomplikowane, niż myślałem, a miałem przy sobie jedynie scyzoryk. Musiałem bardzo uważać, bo gdybym włączył alarm, Beekerman mógłby paść w panikę i zabić cię.

- Och, jestem pewna, że miał takie zamiary. - Jane podniosła rękę Wildera do ust. - Na szczęście brakowało mu czasu, bo miał do napełnienia mnóstwo naszyjników. Trzymał mnie więc w niepewności...

- Tak. Podejrzewałem, że musisz być gdzieś w piwnicy. Próbowałem tam zajrzeć przez to okienko, ale było tak brudne, że widziałem jedynie kwadrat światła.

- A jak się w końcu dostałeś do środka? - Jane złożyła głowę na ramieniu Wildera.

- Tylne drzwi do garażu okazały się jedynym wejściem, przez które mogłem przejść, nie uruchamiając alarmu. Potem zacząłem iść po omacku w ciemnościach. Nawet nie próbowałem szukać telefonu, żeby zadzwonić po pomoc, bałem się, że zajmie mi to za dużo czasu.

Wilder trzymał w dłoniach twarz Jane, wpatrując się w jej oczy.

- W tym domu trzeba wymienić podłogę. Staralem się zachowywać jak najciszej, ale deski przez cały czas skrzypiały pod moimi stopami.

- Wiem. Słyszałam cię. Dwa razy. Wilder zmarszczył czoło.

- Czy to dlatego zaczęłaś śpiewać? Żeby zagłuszyć hałas? Jane skinęła głową uśmiechając się.

- Tak, i po to, by dać ci znać, gdzie jestem.

- Kochanie, byłaś taka odważna. - Wilder czule gładził pukle włosów nad jej karkiem. - Taka odważna i mądra. Nie straciłaś głowy.

- No, przecież ty też nieźle się spisałeś, Wilderze - pochwaliła go Jane. Odsunawszy mężczyznę od siebie, przyglądała mu się przez chwilę, urzeczona wspaniałym wyglądem jego twarzy i silnego ciała.

- Tak bardzo cię kocham. Odzyskałam to, Wilderze.

- Co odzyskałaś, kochanie? - spytał, wpatrując się w jej płonące źrenice.

- Wiara w siebie - odpowiedziała radośnie. - Teraz mam wszystko, czego zawsze pragnęłam.

Wziął ją znowu w ramiona, całując tak, jakby nigdy nie chciał uwolnić jej z uścisku. Po długim pocałunku, gdy ich wargi oderwały się wreszcie od siebie, powiedział:

- Zrobiłaś wcale niezłą robotę. Dzięki twojemu sprytowi udało nam się przechwycić kokainę wartą miliony dolarów. Taki jestem z ciebie dumny, ufam ci i kocham cię, i chcę, żebyś była moją partnerką na zawsze.

- W pracy? - zapytała przekornie.

- W życiu - odparł miękko, znów szukając jej ust.

Jane patrzyła, jak nad ramieniem Wildera zza chmur wysunął się księżyc. Mimo wszystko ta noc była bardzo piękna.

Jane zerknęła na zegarek, gdy oboje z Wilderem, trzymając się za ręce, wysiedli z windy. Było kilka minut po dziewiątej rano. Poprzednich kilka godzin spędzili u szefa policji, udzielając wyjaśnień w sprawie przemytu narkotyków. Podali wszystkie znane sobie szczegóły dotyczące nielegalnej działalności Beekermana. Dopiero przed chwilą policjant wysadził ich na parkingu przed biurowcem.

Gdy zbliżali się do drzwi agencji, usłyszeli głośną muzykę rockową. Spojrzeli na siebie. Wilder wzruszył ramionami i przepuścił Jane przed siebie.

- Tchórz - zażartowała. Zachichotał.

- Cóż, nie boję się pistoletów, ale jeśli chodzi o taką muzykę... to...

Jane śmiało weszła do agencji. Zatrzymała się jednak tak gwałtownie, że Wilder prawie wpadł na nią. Ginny uczyła Tommy'ego tańczyć!

- Ruszaj lepiej biodrami! No właśnie! Rusz się, Tommy, odpręż się! Staraj się złapać rytm! A teraz utrzymaj rytm!

Ginny wirowała jak szalona, podczas gdy Tommy nerwowo usiłował ją naśladować, obserwując swoje stopy, a potem gibką instruktorkę. Robił jeden obrót po drugim, aż w końcu jego ruchy stały się pewniejsze.

Ujrzawszy Jane i Wildera, zatrzymał się tak gwałtownie, że omal się nie przewrócił. Spurpurowiał na twarzy i dał znak dziewczynie, która była tak pochłonięta tańcem, że nic nie zauważyła. Wilder poklepał chłopaka po ramieniu, podszedł do biurka i wyłączył magnetofon.

- Wilder! - krzyknęła Ginny, ujrzawszy go. - Walker! Rzuciła się w podskokach w ich stronę.

- Wróciliście!

- Może trochę wcześniej, niż się spodziewaliście? - spytał Wilder drwiącym tonem, siłąc się na powagę.

- Co? - Ginny zmarszczyła brwi. - Och, chodzi ci o muzykę? Zerknęła na zegar ścienny. - Ojej! Straciłam poczucie czasu. Mieliśmy przerwać o dziewiątej, tuż przed otwarciem biura... - Ginny przyjrzała się bliżej Wilderowi i Jane.

- Hej, macie ubrania pobrudzone ziemią! Co się stało?

- To długa historia. Ale wynika z niej jedno: kłopoty Macaroniego już się skończyły.

- Z małym wyjątkiem. Będzie musiał poszukać sobie innej pracy - dodał Wilder, bezwiednie otaczając Jane ramieniem.

- Moja partnerka odkryła, że to jego pracodawca kradł naszyjniki.

Uśmiechnął się do Jane pełen dumy.

- Tak? - Ginny zwróciła się do Tommy'ego, który wciąż jeszcze był zakłopotany. - To chyba znaczy, że nie będziemy mieli okazji, by wykorzystać te kupony z Pasta for Pep. Och, trudno, cieszę się tylko, że panu Macaroniemu nic się nie stało.

Pstryknęła palcami.

- Wiem, jaka praca będzie dla niego najlepsza.

- Wiesz? - spytał Tommy.

- Tak, pamiętasz, jak powiedziałam twojej mamie, że powinna zająć się ważniejszymi sprawami niż gra w brydża, czy też prozzone podwieczorki?

- E, Gin, to nie było zbyt grzeczne z twojej strony - strofował ją Wilder. - Zwłaszcza, że byłaś gościem w domu Hamiltonów.

- Och, mama była Ginny zachwycona. Powiedziała, że od lat nie bawiła się tak dobrze i że Ginny to żywe srebro.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Wzięłam to za komplement, zanim wyjaśniła mi, co znaczy „żywe”. W każdym razie. Hortensja - to znaczy pani Hamilton - nalegała, bym mówiła jej po imieniu - opowiadała mi o swoich codziennych zajęciach, a ja powiedziałam, że to bardzo nudne...

Jane z trudem powstrzymała się od śmiechu. Nie miała śmiałości spojrzeć na Wildera.

- Więc Ginny powiedziała, jakie pożyteczne rzeczy mogłaby robić moja mama - wyjaśnił Tommy.

- Och, Boże - mruknął Wilder.

- Tak. - Ginny poprawiła pięciocentymetrowy kolczyk. - Zapropnowałam Hortensji, by poświęciła trochę pieniędzy i swego czasu na program doktor Lucy, dotyczący bezdomnych dziewcząt, także i tych w ciąży. Poza tym powiedziałam jej, że powinna udzielić pomocy oddziałom dziecięcym w szpitalach - i tu pasuje pan Macaroni. Rozumiecie, Hortensja mogłaby płacić Macaroniemu za to, że ten będzie kłownem! On lubi się przebierać... tak jak ja... cóż, byłoby wspaniale! Nie sądzicie, że tak?

- Ja bym z całą pewnością nigdy tego sam nie wymyślił - powiedział z zalem w głosie Tommy. - Ale to dlatego wszyscy tak kochamy Ginny. Ma bogatą wyobraźnię i jest taka dobra.

Patrzył, promieniejąc, na obiekt swych uczuć. Wilder mocniej przygarnął Jane do siebie.

- Zgadzam się całkowicie, wiesz, Tommy? - Uśmiechnął się do Ginny, potem do Jane. - Niektórym facetom zawsze się wszystko udaje. Pomyśl o nas, Tommy, chyba trafiły nam się dwie najwspanialsze kobiety, jakie tu mieszkają, a bądź co bądź bierzemy pod uwagę obszar dziesięciu stanów.

- Tak, panie Wilder - zgodził się Tommy. - I dlatego oboje z Ginny rozmawialiśmy o naszej przyszłości.

Wyraz twarzy Wildera zmienił się natychmiast

- Przyszłości? Razem? Poczekaj chwilę, Gin. Jesteś o wiele za młoda i ja nie...

- Posłuchajmy najpierw, o co im chodzi - wtrąciła Jane. - Nie ma sensu zakładać czegoś z góry. Mam rację, Wilderze?

Skinął głową niechętnie.

- Tak. W porządku. Mówcie.

- Cóż, Tommy wraca na jesieni do college'u. Zaczęłam więc zastanawiać się, czego chcę ja sama. Wiecie, zaczęłam myśleć o swoim życiu i przyszłości. Tommy powiedział mi o dwuletnich studiach w City College, tutaj, w Mount Haven. Mogłabym uczyć się projektowania mody i skończyć studia właśnie wtedy, gdy Tommy otrzyma dyplom. Wówczas moglibyśmy zastanowić się, czy chcemy zostać ze sobą na stałe, rozumiecie?

Wilder głośno odetchnął.

- Tak, Ginny, myślę, że to wspaniały pomysł. Byłbym bardzo zadowolony, gdybyś poszła do szkoły i znalazła sobie zawód, który by ci odpowiadał, a projektowanie mody... cóż, masz pewien...- ...połot - odpowiedziała mu Jane, uśmiechając się ciepło do Ginny.

- Tak. Zgadza się. - Wilder spojrział na Jane z wdzięcznością. - I cieszę się bardzo, że jesteście z Tommym na tyle rozsądni, by poczekać na razie z podejmowaniem decyzji o ślubie. Oboje jesteście tacy młodzi...

- Ale ty i Walker nie jesteście zbyt młodzi - przerwała Ginny. - Tacy młodzi, jak my. I znacie się już od jakiegoś czasu.

Patrzyła Wilderowi prosto w oczy.

- Więc... masz zamiar poprosić Walker, by za ciebie wyszła, czy nie?

Jane wiedziała, że Wilder rzadko traci fason i że od czasu, jak go pokochała, zdarzyło mu się to zaledwie raz. Ale szczerść Ginny wprawiła go wyraźne zakłopotanie. Zaczął się jąkać, próbując udzielić odpowiedzi.

- Ech, Gin. Ja... cóż...

Jane rozkoszowała się obserwowaniem całej tej sytuacji. Nie miała wątpliwości: oglądanie męki Wildera sprawiało jej wyraźną przyjemność.

- Och, Ginny, nie mogę wyjść za Wildera - mówiła smutno Jane. - Chyba, że będzie ze mną całkiem szczerzy.

Trzy pary oczu zwróciły się w kierunku Jane. W oczach Wildera malowało się największe zdziwienie.

- O czym ty mówisz? - Wpatrywał się intensywnie w jej twarz. - Powiedziałem ci, że chcę, żebyś była moją partnerką w życiu, na zawsze. Pamiętasz?

- Nie uważam, Wilderze, żeby to było bardzo romantyczne - oznajmiła Ginny.

- Nie, panie Wilder. Ja także nie sądzę, że to było romantyczne. Wie pan, Ginny wiele mnie nauczyła. Najważniejsza jest bezpośredniość.

Jane zacisnęła wargi, żeby powstrzymać uśmiech. Widok zdziwionej twarzy Wildera nie miał ceny.

- Czy chcesz, żebym ukląkł przed tobą, kochanie? Zrobię to, jeśli o to chodzi. Spędziłem trzydzieści siedem lat, a raczej ich najlepszą część, na szukaniu odpowiedniej kobiety i znalazłem cię. Kocham cię. I chcę cię poślubić najszybciej jak to możliwe. Jutro! Nawet dziś po południu, ale chyba jesteśmy zbyt zmęczeni po tej burzliwej nocy, więc nie wiem...

Jane położyła palec na jego wargach.

- Wilderze, nie musisz klękać przede mną. Kocham cię, chcę za ciebie wyjść i wiem, że oboje to zrozumieliśmy w czasie naszej ostatniej rozmowy. Mam tylko jeden dylemat - twoje imię.

- Chcesz zatrzymać swoje własne nazwisko? - spytała Ginny. - Ojej, myślę, że to szalenie nowoczesne, ale Wilder jest trochę staroświecki, jeśli chodzi o pewne sprawy...

- Zgodzę się na to - przerwał Wilder. - Jeżeli tylko tego chcesz, kochana.

- Nie, Wilderze, nie tego chcę. Pragnę tylko poznać twoje imię, pierwsze i drugie. Jak mogę wyjść za kogoś, kto nie chce mi powiedzieć, co znaczą inicjały, którymi się podpisuje?

- Tak. Rozumiem, o co ci chodzi - przyznała Ginny.

- Prawda - potwierdził Tommy. - Myślę, że potrzeba tutaj szczerości, Wilder... proszę pana.

Wilder wpatrywał się przez kilka sekund w swoje buty. Jane dostrzegła na jego naturalnie ciemnej twarzy nikły rumieniec.

- Teraz ci już powiem - mówił, powoli podnosząc wzrok. - Jeśli obiecasz, że nigdy później nie wspomnisz o tym. Zrozumiano?

Ginny skinęła głową z powagą. Tommy uczynił to samo.

- Obiecuję. - Poddała się Jane.

Wilder odchrząknął i wymamrotał coś, co przypominało: „Samszpel”.

- Musi pan mówić głośniej - nalegał Tommy. Wilder znów odchrząknął.

- S.S. oznacza Sama Szpadla - oznajmił głośno. - Wszyscy moi czterej bracia mają podobne imiona. P.M. Wilder - Peny Mason Wilder, N.C. Wilder to naprawdę Nick Charles Wilder. S.H. Wilder to Sherlock Holmes Wilder.

Westchnął.

- A mój najmłodszy brat nazywa się CG.Wilder.

- C.G.? Który sławny detektyw ma takie inicjały? - spytała Jane.

- Nie znam takiego. Mój ojciec... ponieważ przez całe życie zajmował się strzeżeniem i egzekwowaniem prawa... nalegał, by jego pierwsze cztery pociechy nosiły imiona znanych detektywów. Ale kiedy urodziło się ostatnie dziecko, moja mama sprzeciwiła się temu. Chciała, by nazwać go po kimś, kogo sama podziwiała... a był to Cary Grant.

- Ojej! - krzyknęła Ginny. - Nie rozumiem, dlaczego tak się wstydzisz. Podobają mi się te imiona. Są takie... oryginalne. - Zmarszczyła czoło. - ...A że inni ludzi już tak się kiedyś nazywali... Och, wiesz, o co mi chodzi. To takie sprytne.

- Tak, panie Wilder, to są cudowne imiona. Bardzo pomysłowe - dodał Tommy.

- A co ty o tym sądzisz, kochanie?

Jane wyciągnęła dłoń, by pogłodzić czule twarz Wildera.

- Myślę, że twoja rodzina jest bardzo wesola. Strasznie mi się podoba imię Sam Szpadel. Mam też nadzieję, że znajdziemy równie wspaniałe imiona dla naszych dzieci.

- Och! To znaczy, że wyjdiesz za Wildera. Prawda? - pytała podniecona Ginny.

- Oczywiście. Bez wahania.

- Tak bardzo cię kocham - szeptał, biorąc ją w ramiona.

- I ja ciebie kocham. - Utonęła w jego zachwyconym wzroku. Zanim ją pocałował, wyjął z kieszeni banknot i pomachał nim za swoimi palcami.

- Masz Ginny, weź Tommy'ego na lunch.

- Ale jest dopiero dziesiąta rano - zaprotestowała Ginny.

- To zrób z tym coś... - mówił Wilder, wodząc palcem po ustach Jane.

- To bardzo miło z pana strony, panie Wilder, ale nie jestem w tej chwili głodny - odezwał się Tommy.

- Tommy, nie bądź taką zakutą pałą - zgañała go Ginny. - Oni chcą zostać sami.

- Och, oczywiście. Teraz rozumiem. Pan chyba nie wyraził się jasno na początku.

- Zwiewaj, Tommy - rzekł dobrodusznie Wilder, patrząc z miłością na Jane. - Czy teraz wyraziłem się jasno?

- Tak, proszę pana, Wilder, proszę pana. - Zmieszał się. -Bez wątpienia. Chodźmy, Gin. Na co czekasz?

- Na co czekam? Tommy, czy mam ci wszystko wyjaśniać? To ty przecież stoisz tu jak wryty.

- Przepraszam, Ginny. Ta jasność jest dla mnie całkiem nową rzeczą. Może pójdziemy zrobić zakupy i jeszcze raz popatrzymy na tę sukienkę mini z purpurowymi cekinami?

- Naprawdę? Och, tak! Byłoby wspaniale! Mogłabym ją... no, wiesz... włożyć... na ten ślub.

Po chwili rozległ się odgłos trzaśnięcia drzwiami.

- Myślisz, że zbyt jasno się przy nich wyraziłem? - spytał Wilder, pokrywając twarz Jane pocałunkami.

- Nie - odpowiedziała. - Ale teraz przy mnie nie wyrażasz się jasno, Wilderze.

- Nie wyrażam się?

Jane wsunęła dłoń pod jego koszulę.

- Teraz rozumiesz? - spytała zmysłowo. Wilder jęknął cicho.

- Och, tak. Muszę tylko zamknąć drzwi na klucz.

RS